



TADEUSZ RITTNER

MIĘDZY NOCĄ
A BRZASKIEM

POWIEŚĆ



WARSZAWA 1921
INSTYTUT WYDAWNICZY »BIBLIOTEKA POLSKA«

MIĘDZY NOCĄ A BRZASKIEM

TADEUSZ RITTNER

MIĘDZY NOCĄ A BRZASKIEM

POWIEŚĆ



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72,
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA 1921
INSTYTUT WYDAWNICZY BIBLIOTEKA POLSKA



Zakłady Graficzne Instytutu Wydawniczego »Biblioteka Polska« w Bydgoszczy

2484
<http://rcin.org.pl>

I.

W samo południe wracały Kora i Marta z pustemi menażkami do domu. Wracały — powolutku, bo paliło słońce — od murarzy, zajętych przy budowie nowego gmachu rządowego. Jako przyjaciółki trzymały się razem, a zdaleka od innych kobiet. A nie spieszyły się i przedtem, idąc tam. Bo nie łączyło ich nic z mężczyznami, którym codziennie nosiły jedzenie. Zresztą to, co zgottały, dostawało się coraz to innym mężczyznom.

Taki był porządek.

A kilka kroków za niemi szło trzech żołnierzyków. Biedne to było, nędznie odziane, a jeden z nich, najstarszy, łysy jak kolano. Co do tamtych, to jeden nazywał się Mucha, drugi zaś, z wszystkich najmłodszy, Piorun.

— Patrzcie, znowu prowadzą się dwie baby pod rękę — dziwił się Piorun; — dawniej, przypominam, chodziły tak tylko dziewczynki do szkoły. A te dwie już starsze, pewno nawet matki.

— Większa musi mieć pięćdziesiąt zgórą — uważał Mucha.

A Łysy mówił:

— Ot, co się dzieje. Familja rozdarta. Ja nie narzekam, tylko mówię, jak jest. Człowiekowi trzeba ludzi. Trzeba ciepła. Więc znowu przypomnieli sobie przyjaźń.

— Ja o przyjaźń nie stoję — oświadczył Piorun.
— Mnie trzeba kochania. A o to teraz nie trudno. Spособności poddostatkiem.

Ot, co się dzieje... — zaczął znowu Łysy.

Nazywali go także filozofem.

Naród pocił się i stękał z gorąca. Powietrze gęste, ciężkie, nieruchome.

— Tych trzech idzie za nami — utrzymywała Kora, — zobaczysz, że nas zaczepią.

— Bardzo wątpię — odrzekła obojętnie starsza. Ale Kora uśmiechała się mile, wyczekująco.

— Tak, tak — powtórzyła — idą za nami.

I dodała nieszczercze:

— Nie można się dziś opędzić mężczyznom.

Marta szła dalej spokojnie, leniwie, obojętnie. Ale po chwili ocknęła się. Wskazała głową na przejeżdżający powóz i mruknęła:

— Widzisz?

— Aha.

Obie poznały Niemego i Sprawiedliwego w powozie. Rosłe, siwe koniki parskwały wesoło. Kłaniali się przechodnie. A Niemy odpowiadał na każdy ukłon, poważnie, szeroko, sumiennie.

— Ale Sprawiedliwy nawet nie mrugnie okiem — rzekł Piorun.

— Nie z dumy albo z niegrzeczności — bronił Mucha Sprawiedliwego, — tylko z tego względu, że to człowiek straszliwie pilny i różnemi sprawami zajęty. A teraz mówi właśnie coś bardzo ważnego do swego przyjaciela.

Ot, co się dzieje — odezwał się Łyсы — ta przyjaźń kłamię. Rozedrze się, prędzej czy później.

Piorun roześmiał się.

— Według Łysego wszystko rozedrze się albo już rozdarło. Nawet Niemy i Sprawiedliwy.

— Nie mówię na wiatr — powiedział Łyсы — nie moja wina, że wszystko djabli biorą.

Mucha się rozgniewał.

— Cóż ty wiesz?! Co?! Papłasz i papłasz, jakbyś był conajmniej komisarz. — Taki zdechlak z przeproszeniem śmierdzący. Czy ty ich znasz, czyś ty z nimi świnię pasł, że niby wiesz o nich to i tamto?! Czy mówiłeś kiedy z nimi, he?... Czy choć może w przedpokoju jakimś stałeś, jak ja u mego pana ministra?

Łysy odrzekł pogodnie:

— Znać nie znam, ale mam sąd. Ot, co się... Mnie nikogo nie trzeba znać... To, co się tak nazywa. Ale dusza moja ma oczy.

Co się zaś Sprawiedliwego tyczyło, to w rzeczy samej gadał. Miał szybko i namiętnie językiem. Przytem ruszały się wszystkie członki jego ciała, a okulary połyskiwały w słońcu. Chudy był, strasznie żywy i chudy. Gadatliwość jego dawała się Niememu we znaki. Biedak odsuwał się, jak mógł, od zawzięcie plującego kolegi swego. Przytem niedobrze słyszał, co tamten wywodził, bo bruk, po którym toczył się powóz, był podły.

Sprawiedliwy mówił:

— Ostatni czas, żebyś wreszcie pojął, o co chodzi. Jak teraz nie zrozumiesz, to nigdy. A jeżeli nie jesteś tego samego zdania, co ja, to przynajmniej siedź cicho. Nie kompromituj nas. Na zewnątrz musimy być zawsze w zgodzie, bo inaczej... Mówisz, że przesadzamy, a ja ci mówię, że tak trzeba. Kto nie przesadza, ten nie robi wrażenia. Mówisz, że mordujemy za dużo ludzi, a ja pytam: alboż nie mamy dużo nieprzyjaciół?... Czy wygraliśmy już partję?... To, co do mnie wczoraj napisałeś, dowodzi żeś warjat. Poco posyłasz mi codziennie te głupie kartki: I tak ich nie czytam. Opamiętaj się nareszcie. Jak będziesz słuchał dalej twego sławnie litościwego

serca, zgubisz mnie i siebie. Zresztą, kto wie, czy rzeczywiście nie jesteś obłąkany.

Te ostatnie słowa powiedział niemal płacząco, jakby litował się nad kanclerzem.

— Kto wie... Nieraz zastanawiam się nad tem, zwłaszcza w nocy, jeśli nie mogę usnąć. To, że masz oczy pogodne, jasno-niebieskie, niczego nie dowodzi. Dużo obłąkanych ma takie same. Zresztą, nie myśl, broń Boże, że zdradzę się przed światem z tem, co o tobie myślę. Przecież wiesz sam, że nikt ci tak dobrze nie życzy, jak ja. Byłbyś zgubiony, gdybym komukolwiek... Ale tu nie o to chodzi, tylko o mój własny spokój.

Niemy nagle się roześmiał. Zaproponował:

— Zamknij mię do domu warjatów.

Sprawiedliwy zachnął się.

— Nie żartuj, radzę ci. Potrzebujesz mnie tak samo, jak ja ciebie. Musimy wspólnie działać. Ale konsekwentnie. Bez słabości, bez sentymentów. Co powiedzą inni, jeśli ty sam nazywasz nas zbójami? Zresztą, nie nasza wina, że krew się leje. Nie wyłącznie nasza. Przecież są „młynki“, jest cała moc tych małych sądów, które robią, co im się żywnie podoba. Wydają masę wyroków śmierci, nie prosząc nas wcale o zatwierdzenie. Czyż nie? Młynki kręcą się same, ja ich nie popędzam. Ale przecież nie mogę ich wstrzymać... Bo przestrzegają praw naszych. Czy nie?

Westchnął.

— Nigdy się nie wie, co sobie w duszy myślisz. Wygodna to rzecz, być Niemym. Odpowiadasz tylko wtedy, jak masz ochotę.

Niemy spojrział na niego. Bardzo dziwnym wzrokiem. Jakby coś mówił, jakby wyraził pewną myśl.

A Sprawiedliwy odpowiedział niejako na te (nie-mówione) słowa:

— Mylisz się, jeśli sądzisz, że mnie chodzi jedynie o jakieś własne cele. Mój los osobisty jest mi obojętny. Nie zależy mi nic na życiu.

Zajechali przed stary gmach rządowy. I znowu kłaniali im się ludzie, nisko, z szacunkiem, z nieopisanym strachem.

II.

Marta i jej przyjaciółka miały własne mieszkanie, bądź co bądź wspólny pokój dla siebie. Kto je chciał odwiedzić musiał przejść najpierw przez dwa nie pachnące podwórza, a dopiero na trzecim, na dole u szewca, mieszkały one. Ale właściwie nikt tak dalece ich nie odwiedzał. Tylko jedna osoba czyniła to często; mężczyna o twarzy wiecznie markotnej i niezbyt urodziwej, syn Marty, jednak.

Łzdebka przyjaciółek nie była przestronna, a jednak przedstawiała coś w rodzaju niezasłużonego szczęścia. Bo według przepisów obowiązujących miało się prawo tylko do pewnej porcji powietrza, a pokój zawierał o kilka centymetrów kubicznych za dużo.

Wymierzył to raz dokładnie pomocnik komisarza dzielnicy, który piastował oprócz tego urząd inspektora przy budowie nowego gmachu rządowego. Zresztą stwierdzenie to nie pociągnęło za sobą żadnych przykrych następstw. Bo dostojnika łączył z Korą oddawna stosunek miłosny.

Oprócz dziecka tego pana urzędnika, który lubił, jeśli go tytułowano króciutko „panem komisarzem“, posiadała Kora inne jeszcze dziatki. Gdzieś w tem lub innem mieście. Nie zależało jej bynajmniej na tem, żeby wiedzieć, jak się powodziło robaczkom i gdzie się chwilowo znajdowały. Zresztą nie wypadało wówczas, interesować się zanadto takimi kwestjami.

Ale syn Marty, Piotr, był już naturalnie dorosły, tak, że obcy mogli go mieć nawet za jej kochanka.

Pochodził z jej dawnego małżeństwa i z dawnych (lepszyc) czasów. Wolno mu było przychodzić, ile razy zechciał. Matka nie przyjmowała go jednak nigdy wybuchami radości.

Bo zbyt zajmowało Martę gotowanie, przeważnie dla nieznanycy jej osób. A musiała się śpieszyć, bo w samo południe był obiad dla wszystkich. Godzinę przedtem musiała uporać się z kuchnią, żeby przynieść jedzenie na czas robotnikom. A potem trzeba było przyrządzić kolację.

— Żebyś wiedział, jak mało mam czasu... — mówiła Marta do syna.

Ale syn przecież dalej ją odwiedzał. Może traktowała go właśnie dlatego tak oschle, że była pewną, iż przyjdzie mimo wszystko.

Codziennie między czwartą a szóstą siedział w tym samym kącie pokoiku.

A koło piątej prosiła go Kora:

— Pan będzie łaskaw, na chwileczkę... Wyjmę tylko kapelusz z komody.

I Piotr wstawał, żeby ustąpić się Korze, poczem zaraz znowu sobie siadał.

Kora zaś mówiła (z pewną afektacją):

— Żegnam pana, panie Piotrze. Żałuję bardzo, ale obowiązek przedewszystkiem...

(Obowiązkiem był pan komisarz.)

Zresztą Piotr nie zwracał na nią — ani przy tej ani innej sposobności — najmniejszej uwagi. Pomimo, że jak się rzekło, posiadała kapelusz. Przedmiot ozdobny, na którym mieścił się cały ogród warzywny i botaniczny, a już choćby dlatego na całą dzielnicę sławny, że nikt

nie śmiał, otwarcie lub potajemnie, skonfiskować go właścicielce. Usiłował raz przed rokiem przywłaszczyć go sobie pewien niegodziwy tragarz. Spotkał dziewczynę na odludnem miejscu, po zachodzie słońca i zerwał jej z głowy tę rzecz drażniąco zbyt kowną. Tak gwałtownie, że straciła przytem także dużo włosów. Ale gniew tragarza, który tego samego dnia ukradł był butelkę czystego alkoholu, przewyższał wartość tych drobnostek.

— Więc to tak?! — wrzeszczał — to moja kobieta nie ma nawet nędznej chusteczki na głowę, a taka krowa z burżuazji nosi drogie kapelusze paryskie? Czy to się godzi?! Czy to ma być sprawiedliwość?!!

Postępowanie jego bynajmniej nie było niezwykle a już — (absolutnie biorąc) — wcale nie karygodne. Kiedy jednak dowiedział się o tem pan komisarz, polecił tragarza gorąco jednemu z najsurowszych „młynków“ i oznajmił wszystkim osobom, z którymi stykała się Kora, że kapelusz tej dostojnej damy uważać należy za własność Państwa i że każdemu, kto się go dotknie, stanie się to samo, co tragarzowi.

Oto, co wiedziano o przyjaciółce Marty. Ale opowiadanie o takich zajmujących rzeczach nie sprawiało Marcie najmniejszego zadowolenia, kiedy siedziała sama z synem w pokoju. Bo Piotr nie był bynajmniej wdzięczną publicznością. Zdawało się, jakby wcale nie słuchał. Szkoda było każdego słowa. Siedział obojętny, jak kamień, mimo swą młodość, zgarbiony, nudny i znudzony.

Poco właściwie się trudził i chodził do matki? Wysiedział swoje sumiennie do szóstej, a potem szedł do restauracji, gdzie był kelnerem i jako uosobiona zręczność zapewne bił całe tuziny szklanek i talerzy.

Niesłychane było jego roztargnienie. Gdziekolwiek się znajdował, wszędzie zapominał jakieś przedmioty,

których braku potem nigdy nie zauważył. Bo nie wiedział sam, co posiadał. Istny dobroczyńca dla wszystkich, którzy niezbyt subtelnie rozróżniali między swoją a obcą własnością.

Kiedy zostawił raz u matki swój portfel, Marta, badając zawartość, znalazła między innymi pukle czarnych włosów a także jakiś niezbyt gustownie haftowany jedwabny woreczek, w którym był — bilet wizytowy z (prawnie dawno skasowanym) nazwiskiem rodzinnem Piotra.

Zaśmiała się szyderczo. Wiedziała, czyje włosy ale mniejsza o to. Więcej drwiła z wizytówki. Co za głupi pietyzm! Potem złękła się, posmutniała. Bo czuła, że kto wszystko zapominał, prócz swej przeszłości, musiał marnie zginąć. Starzec poprostu, w porównaniu z nią samą, która znosiła tak lekko twardą terażniejszość, jakby nigdy nie zaznała jaśniejszego życia.

Boże drogi, co się miało z pięknych nazwisk, które teraz były „zakazane“?

Zdawało się, jakby sama nie była związana żadnym przesądem, nie obciążona żadnym wspomnieniem.

Zdołała położyć się jednego wieczora do łóżka jako pani kapitanowa, a nazajutrz zbudzić się jako kucharka. I nic ją to nie kosztowało. Tak silna była, i mimo pięćdziesięciu lat, lekka jak motyl. Niczem się nie brzydziła, niczego nie żałowała; z wszystkim się godziła, czego od niej żądało życie. Nie było dla niej niemożliwych ludzi. Była w stanie znosić bezustannie przeraźliwą głupotę Kory, swej przyjaciółki. A nie była to bynajmniej „przyjaźń, co kłamie“, jak się wyrażał Łysy. Mogła rozmawiać z Korą cicho i poufale o szarej godzinie, tak jak z sobą gawędzą ludzie bardzo bliscy... z tą Korą, która się myśla tylko w razie gwałtownej potrzeby, pachnęła jakimś

straszniemi perfumami i zaledwie umiała trochę czytać i pisać.

— Cóż to właściwie za osoba? — pytał się czasem Piotr kwaśno, podejrzliwie.

— Moja przyjaciółka! — odpowiadała matka ostro i dobitnie.

To zamykało mu usta, które i tak dosyć rzadko otwierał. O cóż mu właściwie chodziło? Czy chciał wiedzieć, czem Kora była dawniej, skąd pochodziła?

— Co było dawniej, dzisiaj się nie liczy! — krzyczała Marta z furją o wiele za głośną na tak mały pokój.

Otóż to. Wszystkie rzeczy dawne były pogrzebane. Wykształcenie? Teraz dopiero wyszła na jaw zbyteczność wszelkiej edukacji. Oto siedział w mrocznym kącie młodzieniec żółtawy, niegolony, oto siedział ten syn dorosły, którego się miało, nie widzieć na co; wielkie nic, które zajmowało dużo miejsca, nosiło ubranie, wzdychało i drapało się w głowę. Któżby mu dziś uwierzył, że ukończył gimnazjum, na uniwersytet chodził i o mało nie otrzymał tytułu doktora? A jakie miał z tego dzisiaj korzyści? Jeżeli wiedział jeszcze coś z tego wszystkiego, czego się niegdyś uczył, to nie dodawało mu to widać ani siły ani odwagi. A może nawet był z tej wiedzy jeszcze bardziej onieśmielony i smutny; ciążyła mu ona na sumieniu, jak zbrodnia, którą ukrywał przed ludźmi.

— Wstyd i hańba — mówiła Marta rozgoryczona — żeby mężczyzna z twojem wykształceniem nie dostał dotychczas odpowiedniego zajęcia.

— Przecież i mamy zajęcie nie jest bardzo stosowne — odpowiedziało Nic.

— Ale ja nie kułam, jak ty, przez szesnaście lat — oskarżała go Marta — szesnaście lat, a z tego cztery zagranicą. A moi rodzice nie łożyli na mnie nigdy tyle, co

twoi na ciebie. Ja nie mam świadectw łacińskich z pieczęciami i podpisami.

Syn usprawiedliwiał się:

— O świadectwach moich nie wolno mi nawet mówić, przecież mama wie. Obchodzono by się ze mną jeszcze gorzej, niż teraz. Wiadomo, jak teraz pomiatają wszystkim, co pachnie inteligencją. Kazała mi mama sama spalić wszystkie dokumenty.

Na to niewiasta, choć była Piotra rodzoną matką, jeszcze bardziej się uniosła.

— Otóż to — rzekła pogardliwie — naturalnie, — że zdolności, które są tylko na papierze i mogą być spalone, nie są tynfa warte. Nie mówiłam ci nigdy: idź do tego czy owego i opowiedz mu ładnie, co umiesz. Ino ciągle ci powtarzam: pokaż, co umiesz! Dowiedz im, przekonaj ich czynem!

A kiedy Piotr nie wiedział, co odrzec na to, rzuciła mu w twarz jeszcze mniej miłą prawdę — bo przypomniaty się jej pukle włosów w portfelu.

— Ale ja wiem, dlaczego ci brakuje ambicji. Bo myślisz tylko o niej, o Genowefie. Tak, tak! — Nie takam głupia, jak ci się zdaje. Dlaczego zaszczycasz mię codzień po południu? Boś się tu dawniej z nią spotykał, między czwartą a szóstą. Teraz oddawna już do mnie nie przychodzi? Bóg wie, co się z nią dzieje — ale ty jeszcze spodziewasz się, czekasz. Ośle! Szukaj jej przynajmniej! Zawszeć to lepiej, niż wzdychać i gnić. Ale ty nawet do tego nie masz energii.

— Dosyć, dosyć! — prosił Piotr rozdrażniony.

Spytał, żeby nie mówić o Genowefie:

— Alboż to możliwe, zrobić dziś karierę, jeśli się należy do...

— Roko jest ministrem! — przerwała mu matka.

No masz, pomyślał biedak. Roko był także miłym temacikiem. Argumentem ulubionym matki. Bo minister nie był obcym rodzinie Piotra. Syn nieślubny niejkiej Hani, która przed laty służyła u pani Marty. Niegdyś nawet kolega szkolny Piotra, przynajmniej w najniższych klasach. Bo Roko nie ukończył nawet szkoły ludowej. A dzisiaj był ministrem oświecenia publicznego.

— Roko nie należy do inteligencji — wtrącił Piotr.

Ale matka wymieniła jeszcze tuzin innych nazwisk. Bo miała — w przeciwieństwie do syna — niepospolity dar dialektyczny. Dowodów miała mnóstwo pod ręką. A wkońcu przypomniał się jej dowód najlepszy, mianowicie: sam Sprawiedliwy.

Tak, nikt inny, jak on, głowa Państwa, nie był lekarzem? Czy nie odbył studjów medycznych w Petersburgu, w Paryżu, w Szwajcarii? Czy nie miał wiadomości, świadectw i stopnia doktora, jak Piotr? A mimo to był najpotężniejszym z wszystkich mężów wybitnych w kraju. Miljony losów ludzkich zależały od jego woli. On był panem życia i śmierci, on rozstrzygał, czy będzie pokój czy wojna, podnosił tych, niszczył owych.

Marta mówiła o nim z zachwytem. Rumieniła się, conajmniej o dziesięć lat stawała się młodszą.

— Właściwie nigdy nie studjował naprawdę — tłumaczył Piotr — wszędzie, także na uniwersytecie, czynny był tylko dla swego stronnictwa.

— Ale dużo umie — wołała Marta tryumfująco — on umie wszystko... a ty — co?!... Chyba tylko stękać i spać z otwartymi oczyma.

III.

Najgorzej umiał Sprawiedliwy — mówić prawdę. Czynił to jedynie w ostatecznym razie, kiedy nie było innego wyjścia. Wówczas zmuszał się do szczerości, ale głos jego miał przytem jakiś dźwięk przykry, niby obrażony. Mówił chętnie i gładko, lecz wahał się zawsze, ilekroć miał dać wyjaśnienia, co do spraw własnych, prywatnych.

Raz w zimie wieczorem widział go ktoś za miastem w towarzystwie niewiasty.

— Cóż to za osoba? — spytał go nazajutrz znajomy.

— Co?

— Cóż to za osoba, z którą widziałem cię wczoraj?

Odrzekł, po dłuższym namyśle, głosem obrażonym:

— Moja siostra.

I zrazu sam dobrze nie wiedział, dlaczego właściwie skłamał. Honor tej (jak i każdej innej kobiety) był mu czemś obojętnem. A swej kochanki nie potrzebował się wstydzić żaden choćby najwyższy dostojnik kraju. Wszak w czasach panowania „Nieprzyjaciół bogatych“ znacznie mniej była kompromitująca metresa, niż żona.

A jednak prezydent stronnictwa i państwa ukrywał przed światem zazdrośnie swój stosunek ze złotowłosą artystką Gemą.

Choć willa jej stała daleko za miastem, przychodził do niej Sprawiedliwy niemal co wieczora. Przychodził pieszo, by nie drażnić powszechnej ciekawości, tem bardziej, że konie jego i powóz znane były aż nadto w rezy-

dencji. Spotkania z przyjaciółmi lub znajomymi trafiały się przytem dość rzadko. Jeśli zdarzyło mu się to czasem, przypadkiem, oświadczał niepytany:

— W tej okolicy mieszka cała moja rodzina.

I w tem było jednak bardzo wiele prawdy. Jej dom był mu wszystkiem. Gema nietylko bawiła jak najmilej jego zmysły, lecz zastępowała mu także nieistniejących krewnych. Była jedyną, przed którą nigdy nie musiał grać komedji. Raz uświadomił sobie wyraźnie:

— Bez niej nie mógłbym się obejść.

Niestety... sam czuł, że to niedobrze. Był to stanowczo błąd rysunkowy na własnym portrecie, którego był autorem.

Bo postać „Sprawiedliwy“, którą widział przed sobą, poza swem „ja“ szacownem, niejako historycznie, a którą zdobył i uzupełniał ciągle nowymi rysami, bardzo interesującymi, mogła istnieć świetnie bez żadnej Gemy. Postać niesłychanie silna, bezwzględnie męska. Kobieta mogła być conajwyżej jego niewolnicą. Mimo to nigdy nie czuł dla siebie większej i szerszej admiracji, jak w chwilach, które spędzał z Gemą. Dlatego z czasem ją pokochał. Pasja, która zamieniła się w przyzwyczajenie, potem prawie w małżeństwo. Lubił namiętnie gadać. Ale z największą rozkoszą czynił to wtedy, kiedy słuchała go ona. Wzrokiem naiwnie zachwyconym spoglądała na niego, „jak w słońce“. Oczami kochanki i — młodziej siostry. Tem go sobie zdobyła. Tem go oczarowała, spętała, przywiązała do siebie.

Czy chciał czy nie chciał, musiał poświęcać jej ostatnie godziny. Dnia każdego. Jak mąż opanowany przez żonę, nie miał żadnych wieczorów dla świata. I spał w łożu podwójnem, pachnącem szczęściem legalnem.

Ale często, bardzo często nie mógł zasnąć wybraniec

ludu, mimo otaczającą go czułą ciepłotą. Bo to, co przeżył w dzień nie było wyłącznie miłe. Więc w nocy chmurzyła się czasem jego dusza, tak jak twarz neurastenika, który nagle przypomina sobie, że go ktoś obraził. Zadaniem Gemy było w takich razach, wskrzesić w nim zaraz poczucie własnej wielkości i genialności. A to udawało jej się zawsze tak nadzwyczajnie, że Sprawiedliwy z wdzięczności ją ścisnął i nazywał swem najdroższem dzieckiem!

Kim była Gema? — Bądź co bądź nie dzieckiem — choćby już dlatego, że czasem grywała niemożliwe świństwa gwoli zabawienia panów urzędników. Tem mniej typowem „dzieckiem ludu“. Jednakowoż stykała się — jako niewiasta — z ludem nierzadko. Gospodarstwo prowadziła, gawędziła z kucharkami i sklepikarzami, sama robiła zakupna na targu. I opowiadała Sprawiedliwemu:

— Przysłuchiwałam się dziś długo, jak mówili o tobie przykupki na rynku.

Co mówili baby o Sprawiedliwym? Nic innego jak bajki najcudowniejsze. Że go nie można zranić. Że strzela ręką, bez rewolweru i prochu. Że w razie potrzeby robi się niewidzialnym. Tak jest, Sprawiedliwy był większy i potężniejszy od wszystkich dawnych królów, których zdruzgotał. Dlaczego sam nie został królem? Lud go chciał, Bóg świadkiem, przekupki, rzeźnicy, owocarki, wszyscy go chcieli (zapewniano na targu) i tylko on sam, Sprawiedliwy, nie życzył sobie berła i korony. Rzecz zrozumiała, że sobie nie życzył; wszakże dziś znaczył więcej. Śmiał się z tych kilku, niewielu, którzy jeszcze królowali. Jakże to dziecinnie, siedzieć na tronie, dziecinnie i niebezpiecznie! Zresztą miał każdy z nich tylko jeden kraj. A Sprawiedliwy będzie niezadługo panował nad całą ziemią...

Mówili, że nad całą ziemią?

— Tak jest, słyszałam wyraźnie, ale to nie wszystko. Bo oprócz ziemi — mówili — są jeszcze inne, dotąd nienaruszone planety. A Sprawiedliwy je odkryje. Weźmie w posiadanie wszystko, co tam w górze nocą świeci i błyszczy. Ściągnie na dół te wielkie światła i da je nam, ludowi swemu. Będziem mieli dużo miejsca i powietrza i pożywienia do życia. Odtąd, kto spojrzy w górę ku gwiazdom na niebie, będzie patrzył na nas.

— Byłoby zdrowiej — zauważył Sprawiedliwy — gdyby nie mówiono tak dużo o niebie. Widzę jeszcze za dużo gwiazd i romantyzmu w wyobrażeniach ludu.

Ale uśmiechał się. Nie był nieczułym na to, co słyszał o sobie. Zarzuty niezaprzeczenie go drażniły, a korzystnym sprawozdaniom wierzył bezwarunkowo. Wierzył i w owe legendy, które właściwie wymyśliła sobie Gema. Bo przyjaciółka Sprawiedliwego miała bujną wyobraźnię i kłamała tak dobrze, jak on, choć może cokolwiek inaczej. Sprawiedliwy kłamał praktycznie, a ona tak, jak się układa powieści. Jeśli chodziło o politykę lub o interesy, to nie dał wywieść się w pole — ale urokowi romansów planetarnych Gema ulegał bezopornie. Takim prostaczkim był wobec literatury, takim dzieckiem czy też barbarzyńcem.

Więc znowu moralnie przyszedł do siebie. A z zadowolenia stał się znowu przykro gadatliwy.

Nie należał do tych, którzy są płodni w samotności. Jego podniecali i zapładniali wdzięczni słuchacze. Nie był z tych, co myślą niemo, najsnadziej na pustyni lub w swoim pokoju. On myślał mówiąc, a raczej gadając. Najpiękniejsze pomysły miał wtedy, gdy spoglądały nań ciekawie oczy ludzkie.

— Zrobię następującą rzecz — zaczynał, — słuchaj mnie, Gemo.

I w tej chwili nie miał jeszcze żadnego pojęcia o tem, co zrobi. Dowiedział się dopiero później. Przez własne swoje gadanie. I tak tworzył, produkował w obecności Gemy. Alkowa jej była obazgrana jego chytremi, dowcipnemi myślami, jak plamami atramentu. A ona odczuwała dobrze (choć nieświadomie) zniewagę. I mimo to kładła się z nim do łóżka. Bo kobietą była; wytrzymałą, zdolną do znoszenia cierpień, wolną od wszelkiego wstrętu.

Niekiedy budził ją w nocy.

— Która godzina? — pytał.

— Druga.

— Muszę już iść. Bo maj. Dzień rozpoczyna się wcześnie. Trzeba uważać...

Westchnęła, usiłowała go zatrzymać. Miał nieraz takie napady głupiego strachu przed językami ludzkiemi.

Na dworze jeszcze było ciemniuteńko. Szedł Sprawiedliwy, ćmiąc jak zwykle, duże, grube cygaro; zły, bo milczący, najpierw ścieżką przez młakę, potem gościńcem, koło cmentarza miejskiego. Biały mur cmentarny lśnił się w księżycowem świetle.

I naraz stwierdził Sprawiedliwy:

Za moim cieniem idzie jakiś drugi. Dzieckiem bał się tego i owego; psów, kamieni i pięści kolegów swoich, wody zimnej albo głębokiej, wiatru, piorunów i grzmotów. Tak, wówczas umiał biec jak zając. Potem wolą nadzwyczajną, bezustannie ćwiczony i zahartowany, pokonał wszystkich nieprzyjaciół, także największego, — swoje tchórzostwo. Kosztowało go to dość trudu, wysiłków wprost nieludzkich, ale zrobił doniosłe filozoficzne odkrycie; to jest, że bezczelnością da się uskutecznić wszystko, a uciekaniem nic w świecie.

Więc i tym razem przystanął, odwrócił się i spytał:

— Kto tam?

Mężczyzna podejrzany. Zbój albo złodziej. Silny, ale w tej chwili pokorny; zdjął czapkę, uśmiechał się, snać zakłopotany.

— Czego chcesz odemnie?

— Ja? Nic, Ekszelencjo. Ja tylko uważam...

— Uważasz? Na co niby?

— Żeby, z przeproszeniem, jeśli wolno być tak śmiałym, nie stało się Ekszelencji nic złego.

Czarno było jak w rogu. Ale „Ekszelencja“ zaczerwienił się strasznie.

— Czy długo już idziesz za mną?

— Kwadransik, z przeproszeniem. Od chwili, kiedy Ekszelencja raczył wyjść z willi.

— Z której willi, do licha? — gniewał się Sprawiedliwy — z której willi?!

Na to osoba podejrzana nie odrzekła nic, tylko uśmiechała się znacząco.

— Do stu... kto ci kazał mnie pilnować? — spytał władca ziemi i wszystkich, także nie odkrytych planet.

— Niemy.

— Kto?

— Niemy.

A więc tak się rzecz miała. — Więc Niemy wiedział o Gemie. — Szpiegował go, obserwował. — Odkąd? Może od początku. Odkąd trwało ich panowanie?

— Precz! — Krzyknął Sprawiedliwy wściekle — nie waż się, iść dalej za mną!... Precz!

Binokle spadły mu z nosa. Trząsał się jak galareta. A głos jego zdał się pochodzić z ust złej histerycznej baby.

Nieda się zaprzeczyć; gniew nie był mu wcale do twarzy. Kompromitował go, nawet wprost ośmieszał. Powinien był strzec się takich wybuchów.

I strzegł się ich w istocie — zazwyczaj, o ile możliwości, bo przy swym wrodzonym, wcale niepoślednim talencie aktorskim, wiedział zawsze dokładnie, jak działał na zewnątrz. Ale czasem, mimo całą rozwagę i przeczność nie mógł się wstrzymać.

I tak właśnie tym razem, nad ranem, koło godziny trzeciej.

IV.

Mieszkańcy kraju mieli właściwie dużo ważniejszych trosk i kłopotów, niż myślenie o planetach czy też adorowanie Sprawiedliwego. W istocie tylko najbogatsi z nich mogli kupować cośkolwiek na targu. Większość cierpiała głód niemiłosierny.

Mr. Blyte pisał do swego rządu:

„Proszę usilnie, nie wierzyć tutejszym dziennikom. Jak zaznaczyłem kilkakrotnie w moich listach, państwo, w którym urzęduję, nie jest bynajmniej rajem. Przeciwnie. Zdaję sobie jednak dobrze sprawę, z własnej bezsilności wobec sugestywnej siły artykułów, które czytuję, tak jak wy, panowie, mniejwięcej dwa razy na dzień. Przyznaję, że te artykuły są arcydziełami sztuki fałszerskiej — tak jak to państwo, z każdym dniem coraz większe, nazwać można ojczyzną kłamstwa. Trudno mi zaprzeczyć, że niekiedy, pod wpływem zadrukowanego papieru, sam godzinami się łudzę i nietylko to, co wiem z własnego doświadczenia, lecz i zarazem te drukowane bzdurstwa uważam za szczerą-złotą prawdę. Ale zaklinam was, ufajcie jedynie moim sprawozdaniom, opartym na tem, co osobiście przeżyłem.

Ze szczególną zaś ostrożnością czytajcie panowie niezliczone mowy i odezwy t. zw. Sprawiedliwego. Nie zapominajcie, że prezydent tego nieszczęśliwego państwa jest zarazem najdoskonalszym jego kłamcą. A ma on niestety wielu nader pojętych uczniów między urzędnikami i wojskowymi, między mieszczanstwem i chłop-

stwem. Są to rzeczy bez wątpienia przykre, ale, jak sądzę, i dla niego samego bardzo niebezpieczne. Bo czyż może polegać on na ludziach, których sam zdemoralizował, sam zachęcał do łgarstwa i zdrady? Czy kiedyś nie obalą go!...”

Tu przerwano ambasadorowi pisanie. Ktoś prosił go o natychmiastową audjencję w pilnej, ważnej sprawie. Mr. Blyte spytał lokaja, który zaanonsował gościa:

— Cóż to za pan?

— Wcale nie pan — odrzekł sługus — conajwyżej człowiek. W dodatku bez płaszcza, choć leje jak z cebra.

— Hm...

— Bez kołnierza, a może i bez koszuli. Przytem twarz szpetna. Ma wyrzut czerwony na czole.

Lecz naraz Mr. Blyte kiwnął głową i rzekł ku wielkiemu zdziwieniu służącego:

— Bardzo dobrze. Niech wejdzie.

I wszedł gość. Uśmiechnięty, obdarty przemoknięty do nitki.

— Co za deszcz — zaczął, i zamierzał widocznie przejść teraz z meteorologii do swych praw osobistych, bo wskazał wzrokiem na swe mokre, częściowo tylko istniejące spodnie i trzewiki.

Ale Mr. Blyte zapytał go:

— Więc cóż? Był pan tam? Dowiedział się pan czegoś zajmującego o siostrze prezydenta państwa?

Uosobiona wilgoć chrząknęła i rzekła:*

— Zwracam uwagę, że straciłem masę czasu... Moje zadanie wcale nie było łatwe... Ktoś inny nie byłby zadał sobie tyle trudu... ale...

Chrząknął ponownie.

— ...Wiem teraz wszystko, czego nam trzeba. Nazywa się Gema, jest aktorką większego teatru rządowego. Ma własną willę za miastem, w okolicy lasów gminnych

i cmentarza. Czatowałem tam coś z dziesięć razy, i mogę powiedzieć z czystym sumieniem, że Sprawiedliwy spędza u niej co nocy kilka godzin. — Tak jest. Wobec czego, zważywszy te okoliczności i fakty, twierdzą, że ona — nie jest jego siostrą.

— A!

— Właśnie. Nie jest absolutnie żadną siostrą.

— Dziękuję panu.

— Ale... muszę jeszcze coś powiedzieć. Wczoraj, w piątek, byłem, że się tak wyrażę... trochę... nieostrożny.

— Do diabła. Dał się pan złapać?

— Owszem... to znaczy... idąc za Sprawiedliwym zapędziłem się za daleko...

— Aż do willi?

— Nie... to już było po wszystkim. Nad ranem. Wracał już do domu, a ja cichutko za nim.

— POCO?

— Sam nie wiem... Tak mi się jakoś...

— Oszalał pan?

— Nie... lecz byłem ciekaw. Niech się Ekscelencja nie irytuje — ale Sprawiedliwy interesował mię zawsze nadzwyczajnie. Widzisz, mówiłem sobie, zaledwie kilka kroków przed tobą idzie najślawniejszy człowiek w Europie... Przypatrywałem mu się z wielką uwagą. Wprawdzie było ciemno, ale jednak zauważyłem, że niezgrabny i wzrok ma słaby, a przytem...

— Cóż dalej? Prędko! — niecierpliwił się Mr. Blyte — czy nagle odwrócił się i spostrzegł...

— Tak, spostrzegł mnie.

— Naturalnie! Do stu...

— Zaczął bardzo krzyczeć, gniewać się... Ma strasznie cieniutki głosik, proszę Ekscelencji... Pytał mnie, kto mi kazał chodzić za nim...

— A pan? Cóż pan na to?

— Odpowiedziałem, że kazał mi Niemy. Spojrzał tryumfująco na ambasadora, który wytrzeszczył oczy.

— Co? — pytał Mr. Blyte zdumiony — jak pan wpadł na ten pomysł?

— Może zły?

— Nie — ale...

— Ot, proszę Ekscelencji, zdawało mi się, to tak będzie najlepiej... Dla wszystkich — także dla Ekscelencji. Uwierzył... Pewnie pomyślał, że Niemy tak z troskliwości... Bo to, jak wiadomo, jego przyjaciel.

M. Blyte aż skamieniał z głębokiego zastanowienia. Dopiero po kilku minutach uśmiechnął się i powiedział:

— Dobrze.

Dał hultajowi dużo pieniędzy na pożegnanie.

A znalazłszy się wreszcie sam, tak dokończył zdanie, które przed wizytą obdartusa zaczął był pisać:

„...nie obalą go oni własną jego niegodziwą metodą?”

Następnie streścił opowiadanie szpiega, do czego dodał od siebie:

„Konceptem swoim, niezmiernie chytrym, przebiegły drab nie tylko sam się wyratował, lecz — bezwiednie — i mnie wyświadczył cenną dyplomatyczną przysługę. Oczernił Niemego przed prezydentem, przezco przyczynił się znacznie do urzeczywistnienia jednego z mych najśmielszych, politycznych projektów.“

Tu jął wyłuszczać ów projekt polegający na tem, żeby poróżnić z sobą na zawsze dwóch najwyższych dostojników państwa.

Poczem pozwolił sobie na następującą dziwną „historyczną“ elukubrację:

„...Ojcowie Sprawiedliwego trudnili się drobnym handlem i lichwą; z krwi chłopskiej żyli, za co tylko czasem

od chłopów dostawali bicie. Zbogacili się, ale nie na długo; obłupili ich potem doszczętnie silniejsi od chłopów, rycerze. Z ubogiego ich potomstwa część wzięła się znowu do interesów, i z czasem — mszcząc się bezwiednie — wyciskała od prawnuków owych rycerzy (teraz wielkich panów) wszystko, co niegdyś zabrano ich przodkom. Reszta jednak z desperacji poświęciła się nauce i tych wiernie trzymała się bieda, we wszystkich dalszych pokoleniach, coraz bardziej anemicznych.

Gorycz i bolesne pragnienie odwetu przepelniały serca tych inteligentnych, wykształconych nędzarzy i zaczęli szukać sprzymierzeńców, żeby walczyć skutecznie przeciw wszystkim sytym i majątnym. Znaleźli ich w potomkach owych chłopów, którzy ongi prali z taką pasją ich antenatów.

Bo pewna liczba tych byłych rolników już dawno nie miała roli, nie miała żadnej własności, prócz swych rąk silnych. I ci podążyli do miasta, żeby tam zarabiać rękami.

Tak i Niemy znalazł się w mieście, gdzie spotkał się ze Sprawiedliwym“.

Potem pisał Mr. Blyte o znanych wynikach współdziałania dwóch mężów, założycieli i głównych filarów stronnictwa „Nieprzyjaciół bogatych“. Wiadomo, że mieli niesłychane powodzenie; zburzyli napozór kompletnie ten świat stary, którego prawa chroniły burżoazję, własność prywatną, religję, przywileje szlacheckie. A wszystko to udało im się dlatego, że się uzupełniali tak szczęśliwie jako dwa kontrasty etyczne i kulturalne, jako przedstawiciele dwu ras ludzkich, zgoła odmiennych.

W gruncie rzeczy pozostali jednak i nadal tem czem byli; nie stali się wcale do siebie podobni. Jeszcze dzie-

liła ich krew, dzielili ich zmarli przodkowie, którzy niegdyś nienawidzili się tak jawnie, wiernie, serdecznie.

Mr. Blyte zagłębił się w szczegółową charakterystykę dwóch dostojników, ażeby dowieść, iż mimo wszystko tylko pozornie byli z sobą w zgodzie. Gdyby zaś przyszło między nimi kiedykolwiek do otwartej walki, to — zdaniem dyplomaty — zwyciężyć musiałyby w każdym razie Niemcy.

Tak, ambasador był wyraźnie po stronie Niemego, chociaż tenże pochodził z gminu i nie miał ani w setnej części tego wykształcenia, co Sprawiedliwy. Dlaczego? Jak przystawała sympatja Mr. Blyte'a do „silnych rąk“ z misją cywilizacyjną wielkiego mocarstwa, które sam reprezentował?

„Niemcy to nieposzlakowany charakter“ — usprawiedliwiał poseł swoją politykę — „pracuje całą swą siłą rzetelną dla idei, którą obecnie uważa za najzbawienniejszą. Okoliczność ogromnie ważna. Mniemam, że należy bezwarunkowo trzymać z tymi, których intencje są czyste. Zresztą nie mogę pominąć milczeniem tego, co szeptają o nim małuczcy, najnaiwniejsi ludzie. Gdyby to zależało tylko od niego — mówią sobie na ucho — zwróconoby nam to wszystko, co musieliśmy poświęcić dla nieszczęsnej „wolności“ — także Pana Boga.

Czy to nie wzruszające? Czy to nie dziwne, że mimo wszystko dotąd nie zapomnieli o Panu Bogu i potajemnie za Nim tęsknią?

Proszę nie śmiać się ze mnie, panie Ministrze, ale rejestruję bardzo skrupulatnie powiedzenia prostaczków. A Niemcy wzbudza we mnie zaufanie i nadzieje polityczne. W przeciwieństwie do Sprawiedliwego wszystko u niego jest bezwiedne, nieuświadomione. To wskazywałoby na



...płodność. Trzeba trzymać z produktywnymi, panie Ministrze, nie zaś z przemądrymi.

Co prawda ma Niemy bardzo mało zwolenników w sferach oficjalnych, a w samej radzie ministrów niestety tylko jednego — Roka, który ma być nieślubnym synem kucharki.

A ponieważ mowa o kucharkach, chciałbym na końcu tego (bez kwestji przedługiego) listu wspomnieć o jednej z tych plotek tutejszych, w których najbardziej lubują się sługi. Utrzymują, że od niejakiego czasu umarli wstają z grobów i niepokoją nocną porą odleglejsze okolice miasta. Nonsens, naturalnie, ale bardzo znamienny.

Boć przecież narody szczęśliwe nie myślą i nie mówią dużo o swoich umarłych.

V.

Mózg Piotra musiał być dziwnie zbudowany; różnił się z pewnością od innych mózgow ludzkich. Bo zajmował się prawie bezustannie czemś nierzeczywistym, a jednak młodzieniec robił wrażenie zdrowego, także na umyśle...

Miał on i dawniej tę dziwną skłonność. W czasach, kiedy jeszcze nie śniło się nikomu o wojnach, czy też wielkich wstrząśnieniach społecznych, a Piotr oddawał się spokojnie filologii orjentalnej na jakimś uniwersytecie.

Właściwie, praktycznie rzecz biorąc, były i te studia dość zbyteczne, ale wtedy posiadał przynajmniej środki, które mu pozwalały na bezcelowe rozkosze umysłowe.

Lecz pewnego dnia zmieniły się gruntownie jego stosunki zewnętrzne. Pojawiła się nowa władza, nieprawdopodobnie oryginalna, która była zdania, że zmarły ojciec Piotra należał do klasy społecznej „pijawek“, i dlatego skonfiskowała wszystko, co nieboszczyk pozostawił rodzinie. Matka Piotra stała się robotnicą najniższej kategorii, a on sam musiał w dzień pisać na poczcie, a wieczór obsługiwać jako kelner panów komisarzy w małej i brudnej restauracji.

Kogoś innego byłoby to wykurowało: byłby wszedł w siebie i zaczął zwracać całą swą uwagę na trzeźwe sprawy tego świata. Ale Piotr był nieuleczalny. Zamiast zmądrzeć, odwrócił się zupełnie od faktów realnych i karmił się wyłącznie głupstwami, które sobie wyobraził.

Stan niemożliwy. Wprost niebezpieczny dla człowieka, którego zajęcie wymagało ciągłej przytomności umysłu.

Bo poczta jest pocztą, funkcjonuje bez przerwy, a ludzie chcą koniecznie wysyłać jakieś bardzo pilne listy i telegrafować i punktualnie wyrównywać swoje wstrętne rachunki. A ręce Piotra czyniły niby to wszystko, lecz tylko ręce. Gdzie był on sam? Podróżował (w duszy), tak, podróżował po całej ziemi, i to w towarzystwie owej Genowefy, której dotąd — w rzeczywistości — ani razu nie pocałował, a którą jednak kochał od dziecka. A podróże jego, poświęcone nietylko samej rozkoszy, ale i studjom poważnym, miały trwać wiele tysięcy lat. Bo gruntowność wymagała dużo czasu. Trudno było uporać się prędzej człowiekowi, który chciał nietylko przelecieć przez obce kraje, ale wżyć się tak w ich dusze, żeby się stały jego ojczyzną.

Rok w Japonji, rok w Brazylji — nie, to za mało, to nie wystarcza, żeby się stać Japończykiem czy też Brazylijczykiem. Dlatego musiało się żyć wiecznie. I Piotr obdarzył się bez wahania wiecznością, siebie i Genowefę. Na sam Paryż potrzeba im było około pięciuset lat. A na całą Europę trzech tysięcy sześćset pięćdziesiąt. Potem następowały inne części świata. Lecz nietylko było się wiecznym ale i mówiło się wszystkimi językami ziemi; policzyło się tylko najpotrzebniejsze i najpiękniejsze, to było ich dwadzieścia siedem. Zresztą po namyśle zdecydował, że Genowefa nie będzie znała tych języków. Bo nie chciał pozbawiać się przyjemności, mówienia i działania za nią, miał być — pod tym i pod każdym innym względem — jej opiekunem i przewodnikiem.

Siedział Piotr na poczcie, za swoim okienkiem, myślał głęboko, poważnie marszcząc czoło, bazgrał coś szybko na małych skrawkach papieru, a nagle mruknął:

— Kirgizi są jednak niezbędni.

Ale i władanie dwudziestoma ośmioma językami

nie dawało mu jeszcze zupełnego spokoju i szczęścia. Z roztargnieniem podał komuś z szanownej publiczności karteczkę przez okno i rzekł bardzo niechętnie:

— Oto receptis.

Przytem suszył sobie głowę pytaniem, czyby nie wpisać na listę języków, którymi miał mówić, jeszcze trzech idjomów indjańskich, mających wprawdzie mniejszą wartość praktyczną, ale zato, jak przeczuwał, wiele czysto filologicznego uroku.

— Przepraszam, ale to nie jest receptis — oświadczyła osoba z publiczności.

Spojrzał na nią wzrokiem zamyłonym, niejako z odległości dziesięciu tysięcy mil angielskich, poczem westchnął i ruchem niedbałym kazał zwrócić sobie kartkę.

Było na niej napisane:

„Odjazd z Jokohamy 1-go października 3728 roku, pobyt w Singapore od października 3728 roku aż do marca 4520 roku“.

Tak, interesanci małego urzędu pocztowego mieli bez kwestji dużo cierpliwości. A właściwie mało odwagi. Bo przecież Piotr był dla nich przedstawicielem strasznego nowego rządu. Był ową władzą, która mogła bezkarnie czynić wszystko, co się jej podobało; drwić sobie z biednych ludzi, zabierać im czas, kazać im czekać kilka godzin, choćby upadali z głodu i zmęczenia. Znosili to wszystko cierpliwie, bo mogło być jeszcze gorzej; władza mogła wpaść w zły humor i poprostu na śmierć ich skazać.

Szczęściem dla Piotra było, że urzędował na przedmieściu, gdzie rzadko zjawiali się komisarze. Widywał ich za to wieczorem, między ósmą a jedenastą w restauracji. Tu groziło mu większe niebezpieczeństwo, lecz na szczęście miał tu przyjaciela, kolegę — kelnera.

— Proszę trzymać się mnie — radził ten starszy garson („płatniczy“) pierwszego wieczora Piotrowi — chętnie zaopiekuję się panem. Choćby ze względu na pewne podobieństwo psychiczne, które nas z sobą łączy. Bo i ja jestem marzycielem.

Na to Piotr zrazu cokolwiek się spłoszył. A nawet się zirytował. Nie chciał i nie uznawał żadnych podobieństw z ludźmi, których dopiero co poznał. Zresztą brzmi to niewątpliwie dziko, jeśli ktoś powie sam o sobie: „jestem marzycielem“. On był chyba i przed wielką rewolucją kelnerem, zawyrokował Piotr. Potem zaś miał go jakiś czas za złodzieja, awanturnika, albo spekulanta giełdowego. Całkiem niesłusznie.

Pokazało się, że kolega był wcale przyzwoitym człowiekiem. Wyrażał się zawsze elegancko i gładko. Okazywał tak dobre wychowanie, był zawsze i dla wszystkich tak chłodno uprzejmym, że go ogólnie nazywano „lordem“. W istocie był, rozumie się, nędzarzem, tak jak wszyscy, którzy w owych czasach nie zachowywali się zbyt ordynarnie. Wyglądał mizernie z powodu złego odżywienia, a i ubranie jego mocno już było znoszone, miejscami nawet dziurawe; mimo to postawa jego nadawała mu taką dystynkcję, jakby nosił frak zrobiony w Londynie.

Zalety jego nie wzbudzały naturalnie wielkiej sympatii w stałych gościach małej restauracji. Zdarzało się nawet, że ten i ów z panów komisarzy zatęsknił w duszy za tem, żeby „dać w pysk tej afektowanej małpie“. Ale on nie miał właściwie pyska, i to przedstawiało — rzecz dziwna — pewną przeszkodę. Sposób, w jaki stawiał pytania p. t. gościom albo przyjmował od nich zamówienia wykluczał wszelką brutalność. Więc jakoś nie działało mu się nic złego. Tem bardziej, że miał się na bacności.

Ciągle był czujny, ciągle przytomny i rozgarnięty, jak awiatyk lub szofer.

Mówił do Piotra:

— Pana trzeba niejako co chwila budzić. Bo pan często nie widzi i nie słyszy, i może pan wpaść łatwo w jakieś przykre błotko. Ale to nie; chętnie będę pana budził. Tylko muszę prosić pana usilnie o bezwzględne posłuszeństwo. W pańskim interesie. Byłoby smutno, kark skrócić w tak młodym wieku.

I budził Piotra, ile razy trzeba było spełnić jakiś ważny obowiązek kelnerski lub choćby tylko ukłonić się jakiemuś panu komisarzowi. Z czasem czuł się Piotr zniewolony, wyrazić mu za to swą wdzięczność.

— O, niech pan tego nie czyni — prosił go lord z miłym uśmiechem na twarzy, ale tak stanowczo, że czuło się aż nadto wyraźnie, jak bardzo nie lubił wszelkiej choćby i szczerzej uczuciowości.

Po kilku miesiącach musiał Piotr przyznać, że miał dla lorda mimo wszystko coś w rodzaju sympatji. Tylko coś w tym rodzaju. Są osobliwe potrawy i osoby, które niekiedy wydają się prawie apetyczne, ale których właściwie nie możnaby strawić, a znieawidziłyby się ich z pewnością, gdyby się miało żywić nimi zawsze. Towarzystwo kolegi było dla Piotra pociechą w czasie służby wieczornej od ósmej do jedenastej, ale nie mógł sobie wyobrazić, jakby znosił go także poza restauracją. Lord był mu uosobieniem obowiązku, a nie życzył sobie wcale, bywać budzonym przez niego także w rzadkich chwilach wypoczynku. Zresztą i sam kolega bynajmniej mu się nie naprzykrzał; Piotr widział się z nim, czy chciał czy nie chciał, tylko przy robocie. O jedenastej, punktualnie, zamknięto restaurację — bo nowe prawo zakazywało nocnych rozrywek publicznych — a jednocześnie żegnał się

i lord. Z raptownością, którą Piotr czuł się prawie dotknięty. Wyglądało to cokolwiek dziwnie, że nigdy nie wychodzili razem, nigdy lord nie towarzyszył mu, choćby kawałek drogi, a nawet nigdy się nie pytał, w którą stronę Piotr idzie. Robiło to takie wrażenie, jakby wykwintny lord wstydził się go na ulicy.

Gdzie i jak spędzał lord resztę nocy? Piotr zastanawiał się nieraz nad tą kwestją. Przypuszczał, że kolega udawał się prosto do domu, gdzie zaraz kładł się do łóżka. Bo mawiał nieraz żegnając się z Piotrem: „Ach, nareszcie można znowu dowoli marzyć.“

Ale raz wieczór zakończył się całkiem inaczej, jak zwykle.

Koło godziny jedenastej wszedł do sali wysoki, barczysty mężczyzna, a wszyscy obecni wstali, żeby go powitać.

— Co za niespodzianka, ministrze — rzekł ten i ów — cieszymy się bardzo... Ale dlaczego tak późno?

— Bo nie mogłem wcześniej — tłumaczył się gość — mieliśmy to tej chwili sesję. Wiem, że zaraz zamykają budę, ale nie mogłem wytrzymać z pragnienia...

— Daj-no bombę piwa! — krzyknął w dość nieokreślonym kierunku.

Piotr zadrgnął. Głos ministra był mu dziwnie znany. Pobiegł szybko do bufetu po piwo.

Po drodze nagle sobie przypomniał: To Roko. Nie ucieszył się wcale tem sensacyjnem odkryciem. Mówiło mu coś, że rówieśnik jego nie bardzo go kocha, mimo licznych dobrodziejstw, jakie wyświadcza mu niegdyś jego rodzice. Albo też właśnie dlatego. Bądź co bądź trząś się z emocji, kiedy postawił olbrzymią szklanę na stole, przed gościem.

Zdawało się, że Roko nawet go nie zauważył.

Ale lord szepnął do niego: — Teraz musi pan bardzo uważać.

Pragnienie Roka przechodziło wszelkie ludzkie pojęcie. W okamgnieniu wypił pierwszą szklanekę, poczem odwrócił się i rozkazał:

— Drugą!

Piotr już się puścił, ale lord zatrzymał go, chwycił za ramię.

— Sam pójdę — rzekł cicho — bo pan za nerwowy... jeszcze pan zbije, rozleje... djabeł nie śpi.

Więc wolno było Piotrowi stojąc dzwonić zębami. Co mu się wydawało mniej ryzykowne.

Lord przyniósł spragnionemu dygnitarzowi drugą szklanekę, a po chwili trzecią.

— Teraz spogląda na pana — szepnął lord — jakby pana znał.

— Niestety — odpowiedział Piotr.

— W każdym razie musi pan nad sobą panować — upominał go kolega — wszak niezadługo i tak męka nasza się skończy.

Istotnie za kilka minut poczęto gasić po kątach światła, i na ten znak panowie wstali. Roko kazał sobie podać płaszcz i czapkę, potem poszedł chwiejnym krokiem do drzwi, a naraz przystanął, jakby przypomniał nagle coś bardzo ważnego, rozglądnął się dokoła po sali, a wreszcie przystąpił do Piotra.

Strasznie duża i czerwona była jego twarz. Japoński bóg piekła, pomyślał orjentalista.

— Piotr? — zapytał bożek.

— Tak — odpowiedział biedny śmiertelnik.

Roko uśmiechnął się osobliwie. Nie wiadomo, czy był zakłopotany czy wściekły. Bądź co bądź, dawniej, jako chłopiec, miał taki sam uśmiech.

— Czy ty podawałeś mi piwo ? — zapytał.

Także na to pytanie mógł Piotr odpowiedzieć: Tak. Ale jako człowiek nieuleczalnie prawdomówny oświadczył:

— Nie cały czas.

— Hm.

— Przyniosłem pierwszą szklanę.

— Hm. Dlaczego tylko pierwszą?

— Nie wiem...

— Boś mię poznał... Bo...

Zaśmiał się głośno. Żle. Widać było, że ma jakąś myśl, której nie może zaraz wyrazić. Myśl, którą chciałby cisnąć Piotrowi w twarz. — Ale nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa. Pięście zaciskał...

Bo... Moja matka u was... A ty panicz... A ja wtedy...

Naraz wrzasnął, śmiejąc się ciągle:

— Kelner!... Wtedy panicz a teraz... psiakrew... Kelner!... powiedz mi, gdzie mieszkasz?

Piotr zawahał się sekundę.

— Gdzie mieszkasz, pytam? Odpowiadać! — Kelner!

Śmiał się dalej... A Piotr napisał drżącą ręką swój adres na blankiecie rachunkowym. Trwało to stosunkowo długo; w sali panowała cisza.

Tymczasem Roko, jakby się uspokoił... Rzekł prawie normalnym głosem:

— Pytam tylko dlatego, że może kiedyś... przyjdę... Dlatego...

Jakby się usprawiedliwiał. Teraz rzeczywiście zdawał się zmieszany, i z ambarasu uścisnął obie dłonie Piotra, na którego przed chwilą tak krzyczał.

Ale Piotr stał jakiś czas ośupięty po odejściu gości. Spojrzał na swego kolegę.

— Co pan myśli? Co z tego będzie?... Nie zapomnę nigdy jego wzroku. Mam uczucie, że on mnie zabije.

— Wątpię — odrzekł lord spokojnie — ale jeżeli pan tak sądzi, to byłoby najlepiej... hm...

— Co?

— Pójść natychmiast ze mną.

— Dokąd?

— To... się pokaże. Tylko nie zwlekać. W takich razach trzeba piorunem zniknąć.

VI.

Marta strasznie była przybita, bo od pięciu dni nie widziała się z synem.

Niosła z przyjaciółką swą, Korą, obiad dla murarzy zajętych przy budowie nowego gmachu rządowego. Lecz kochanka pana komisarza i inspektora budowlanego nie była odpowiednim towarzystwem dla kogoś, który miał wielkie zmartwienie.

Było się biednym i małym ze smutku, to ona natychmiast stawała się wielką i wyniosłą. Przytem dobre stworzenie, chciała naprawdę pocieszyć i pomóc, ale była przytem tak nieznośną, że Marta pomyślała z żalem: szkoda, że nie ukryłam przed nią mego dużego strapienia.

Co prawda szczerść Marty wobec przyjaciółki nie była zupełną; najważniejsze punkty w sprawie Piotra przecież z ostrożności przed nią zataiła. A Kora to jakoś odgadła. I jąła robić Marcie wyrzuty. Jakimś tonem sztucznym, śmiesznie surowym, którego Bóg wie gdzie się nauczyła, zapewne jeszcze w tych czasach, kiedy służyła jako panna służąca w różnych domach.

Rzekła sznurując usta i mrużąc oczy:

— Możesz być pewną, droga Marto, że nie odmówię ci mej życzliwości i protekcji i że przez komisarza, który jest prawie, że tak powiem, moim małżonkiem, uczynię dla ciebie i dla twego syna wszystko, co będzie w mej mocy. — Ale jeżeli nie wypowiedasz się przedemną, jak się należy, z całej afery, to nie mogę... nie mogę...

Namyślała się, szukając wyrazów.

— Wyciągnąć go z tego świństwa — dokończyła szybko i niecierpliwie.

Marta miała wzrok spuszczonego na dół.

— Powiedziałam ci wszystko, co wiem — broniła się cicho. — Piotr nie jest w żadnym świństwie. Jest poprostu chory. Tylko dlatego nie przychodzi do mnie i nie pracuje jak zawsze.

— Chory? — powtórzyła Kora niedowierzająco. — Czy przekonałeś się o tem sama? Czy może byłaś u niego?

— Byłam — szepnęła Marta jeszcze ciszej.

— Musiałaś być, jeśli jesteś naprawdę matką — mówiła Kora — chociaż właściwie nie okazywałaś mu nigdy wiele serca. — Nie, moja droga, nie widziałam u ciebie nigdy tej miłości macierzyńskiej, jak ją sobie wyobrażam...

Jęła rozwodzić się w sposób ogromnie kliwy i strasznie irytujący na temat owej miłości, jak ją sobie wyobrażała. Marta wściekała się wewnątrz, miała kilkakrotnie ochotę wydrapać jej oczy. Ale hamowała się, szła obok niej cicha i potulna. Los nauczył ją pokory i wprost heroicznej cierpliwości.

— Gdybym była teraz na twojem miejscu — deklamowała Kora — o, jakże trzęsłabym się ze strachu! Gdybym dostała tej łaski i tego szczęścia, żeby mi wolno samej wychowywać moje dzieci... jakże gorąco całowałabym i błogosławiłabym je co wieczora przed spaniem! Ty nigdy nie błogosławiłaś biednego pana Piotra. Czy nie myślisz, że właśnie dlatego stało mu się nieszczęście?

— On jest chory — mówiła Marta uporczywie.

— No tak, moja droga, chory, ale... Czy trzęsłaś się ze strachu o niego! Widzisz, ja nie jestem jego mat-

ką, a mimo to nie mogłam zmrużyć oka w nocy... Ale ty? Mówisz najspokojniej w świecie o ziemniakach, o kapuście, o kalarepie...

— Bo choroba nie tak znowu ciężka — wtrąciła nieśmiało Marta.

— To powinien siedzieć w tej chwili na poczcie — rzekła Kora niesłychanie ostro, — to powinien pracować, tak jak ja i ty i wszyscy obywatele państwa. Czy nie wiesz, jak się władza zapatruje na tych, którzy zaniedbują swych obowiązków wobec ludu?

Przy słowie „władza“ Marta odczuła niemiły dreszczyk. Zapytała:

— Czy może mówiłaś już o tem z twoim komisarzem?

— Mówiłam. Wie, rozumie się, wszystko. Nie mam przed nim żadnych sekretów ani też tajemnic. Już pewnie ma różne informacje o Piotrze, i zaraz się przekonam, czy istotnie wyjawiałaś mi całą prawdę.

— Chory jest — powtórzyła Marta; prawie szeptem Poczem spytała:

— Czy zobaczysz się teraz z komisarzem? Będzie na placu?

— Będzie. I jestem zdecydowana wstawić się za twoim synem. Owszem. Ale jeśli nie dowiem się od ciebie prawdy, to mój małżonek czyli narzeczony nie obdarzy pana Piotra swą życzliwością. O to chodzi i od tego wszystko zależy.

Teraz rozpuściła Kora język na dobre. Gadała nie stworzone rzeczy o swym komisarzu, o jego mocy i wpływie, jakoteż o tych szczęśliwcach, których „obdarza“ on swoją życzliwością.

Gorąco było. Świat parował po kilku dniach bardzo dżdżystych. Marta stanęła parę kroków w tyle i stękała,

jakby tym razem szczególnie ciężyły jej pełne menażki. Kiedy jednak zbliżyły się do rogu ulicy, skąd się już widziało budowę, przystanąła po raz wtóry i zaczęła jąkając się, z jakimś niby skruszonym uśmiechem:

— Skoro powiadasz, że od tego wszystko zależy, to... już będę naprawdę, zupełnie szczerą.

Kora spojrzała na nią złośliwie.

— Aha — ucieszyła się — więc przecie skłamałaś. Myślałam to sobie. Masz dziwny charakter, moja droga. Więc Piotr nie jest chory, a ty nie byłaś u niego.

— Byłam, Koro, przysięgam, ale... nie zastałam go w domu.

— Gdzież jest?

— Nikt nie wie — rzekła płaczliwie — gospodyni mówi, że go niema od dziesięciu dni. Chyba wyjechał, albo broń Boże...

Zaczęła naraz zalewać się łzami. Dotychczas — z obawy przed Korą — zanadto się hamowała, więc teraz... Postawiła naczynie na ziemi, łamała ręce i łkała.

Zachowanie, które Korę wzruszało ale i zarazem złościło.

— Czy zwarzowałaś, czy co? — zawołała swym najnaturalniejszym tonem — czy w tem jest sens, żeby głośno beczeć na ulicy, w samo południe? Nie bądź głupia. Jeżeli Piotr żyje, to go napewno znajdzie policja.

— Na miłość boską — przestraszyła się Marta — tylko nie policjal Boże, przecież nic nie mów twemu komisarzowi.

— To trudno — oświadczyła Kora surowo — powiedzieć muszę. Bo inaczej źle będzie. Ot, widzisz, tam stoi i już na nas patrzy.

— Złapią biednego Piotra, do lochu go wsadzą,

zabijają... — jęczała Marta — jeżeli nie uda mu się przejść jakoś przez granicę...

— Nie uda się — rzekła Kora oschle — bo zanadto niezdarzy. Ale dlaczego myślisz, że on chce drapnąć? Czy zrobił coś?

— Nie, nie — zapewniała Marta rozpaczliwie.

Kora zamknęła energicznie dyskusję:

— Dostyc tego. Teraz muszę pogadać z komisarzem. A ty weź z sobą i moje menażki. Kiedy zaś obiad zjedzą, to poczekaj na mnie przy domku inspektora.

Udała się szybkim krokiem do osobistości, którą niekiedy nazywała swoim małżonkiem.

Komisarz był mały, chudy, zawsze źle ogolony i od urodzenia krótkowzrostny. Był rażąco podobny do Sprawiedliwego. Fakt znany na całym przedmieściu, który podnosił niemało znaczenie inspektora.

— Kompromitujesz mię — zaczął, nie witając się wcale — obcujeś za dużo z tą tam babą. Chcę powiedzieć: z Martą. Mogłabyś więcej uważać.

— Jakto? O co chodzi? — dziwiła się Kora — co naraz zaszło? Przecież razem mieszkamy, obie należymy do sekcji kuchennej...

— I cóż z tego? Czy to stosowne towarzystwo? Matka takiego syna... Zresztą widzę, że nie szanujesz twego kapelusza... Dwu róż brak.

— Brak ich już oddawna. Jakiego syna?

— Takiego, co zapewne będzie dyndał. Albo już wisi. Tak... Właśnie się dowiedziałem, wszyscy mówią.

— Co? Piotr stracony? Dlaczego?

— To nie jest najważniejsze. Dostyc, że... Najważniejsze jest, że musisz się zaraz przeprowadzić. Rozumiesz? Jesteś niejako narzeczoną moją. Chodzi, rozumiesz, o moją reputację. Nie wolno mi pluć na

gadania ludzkie. Moja narzeczona nie może mieszkać u podejrzanych osób.

— Boże mój, skąd się o tem dowiedziałeś? Urzędowo? Jak? A może jest ogłoszone w gazecie sądowej?

— Nigdzie. Cicho tam! Do roboty! Niech-no Księżna Pani nie gapi się... Nigdzie nie jest ogłoszone, ale... ale prawie pewne.

— Prawie?

— Zresztą uważam, koteczko, żeś mocno zirytowana. To podejrzane.

— Oł, brednie... Plotki... Pewno ludzie sobie wymyślili...

— W tej knajpce, gdzie on wieczór obsługiwał wszyscy mówią, że wisi. Tylko jeden nic nie wie, niejaki lord, jego przyjaciel. — Ale inni, uważasz, opowiadają wszyscy to samo. Że przed dwoma tygodniami Roko zrobił mu awanturę.

— Minister Roko?

— Tak... twemu Piotrowi. Za to niby, że był zachwały czy też że burżuj... dosyć, że... minister spojrzął na niego takim okiem, takim złem okiem... A w dodatku — wszyscy widzieli — zapisał sobie jego adres — no, i od tej chwili — przepadł! Jak kamień w wodę!... Teraz, uważasz, robią takie rzeczy raz-dwa. — A najchętniej w nocy.

Kora była zmartwiona. Mimo to zachowywała się mniej więcej tak, jak w sztuce teatralnej. Musiała się oprzeć, żeby nie zemdleć... Szepnęła:

— Serce mi się kraje... O, jakie to okrutne! —

— Gadanie! — zachnął się komisarz — co ma Piotr z twojem sercem! Może się w nim kochałaś?

— Nie, nie, ale... to jest poprostu wieść Hiobowa. Marta nie przeżyje tego ciosu. Piotr był jej jedynem, naj-

ukochańszem dzieckiem. Codziennie całowała go w czoło i błogosławiła go na dobranoc.

— Jam temu nie winien. Co mi tam! W każdym razie, niech Marta uważa. Bo zdarza się nieraz, że wieszają nietylko zasądzonego, ale i całą rodzinę.

— Ona jest moją najdroższą przyjaciółką.

— Żebyś nie wychodziła z nią w jasny dzień, rozumiesz?!...

— Niech mnie piorun... jeżeli nie pozostanę jej wierną w strasznem nieszczęściu!

— To nie licz już na moją wierność. Albo ja, albo ona. Co wolisz.

Kora milczała przez chwilę. Potem poprosiła go potulnie, miękko, cichutko:

— Pozwól mi przynajmniej do domu ją odprowadzić. Bo chodzi o wieść Hiobową... Kto jej to powie tak delikatnie, jak ja?

— Powiedz jej gdzie chcesz, ale nie na ulicy, słyszysz? Bo gotowa zemdleć albo coś w tym guście i zrobi się awantura, ludzie się zlecą, i potem będzie paplanina w całym mieście. Powinnaś uważać więcej na moje urzędowe stanowisko, niż na tę nieszczęsną starą babę.

— Ona wcale nie jest stara. Dopiero niedawno ukończyła czterdzieści ośm lat i piłyśmy likiery na jej urodziny. Ale teraz to już chyba długo nie pożyje, jeżeli i ja ją opuszczę, jej podpora jedyna. Ha, bądź zdrow, bo ona już czeka.

— Adieu. Ale nie zapomnij: ja, albo ona.

— No, no.

Marta stała przy domku inspektora. Nawet nie spojrzała na Korę. Jakby ze strachu. Jakby już przeczuwała coś złego. Powiedziała tylko:

— Oto twoje naczynie.

— Dziękuję — odrzekła Kora niezwykle uprzejmie. Ten ton łagodny jeszcze bardziej zaniepokoił Martę. Milczała, kiedy szły przez plac. Ale w Korze kipiła „wieść Hiobowa“, tak że o mało nie pękła z niecierpliwości. Nie mogła już dłużej wytrzymać.

Zaczęła, patrząc przenikliwie na wdowę:

— Więc mówiłam z nim... o wszystkim.

— Już widzę — powiedziała Marta cicho, spoglądając na dół — że nie dowiedziałaś się niczego dobrego.

— Niema nic dobrego w tych czasach — westchnęła Kora wymijająco.

A bezpośrednio potem oświadczyła szybko, uśmiechając się z rozdrażnienia:

— Niech ciebie to nie straszy, jeśli mówię gorącym głosem... To pochodzi tylko z proszku na ból głowy.

Wcale nie mówiła drżącym głosem. Zwykła afektacja, jakieś komedje warjackie. — Ale Marta krzyknęła naraz, prawie wściekle: •

— Mów! Zaraz! Tak albo siak! Natychmiast!

Teraz Kora zbladła. Mówiła bezradnie:

— Czekaż-że! Nie bądź głupia, bo jesteśmy na ulicy. Gotowaś zemdleć, albo coś w tym guście.

— Nie żyje? — zapytała Marta.

Na to Kora pobiegła naprzód, szybko, jak warjatka. A tamta leciała za nią. Dzwoniło naczynie.

Bez wypadku przebyły niedaleką drogę do domu.

Dopiero w sieniach kamienicy usiadła Marta na jakichś bezlitośnie zimnych schodkach i jęła gorzko płakać.

VII.

W myślach Marty Roko nie był właściwie bożkiem japońskim — lecz raczej chłopcem, który ją w rękę całował i za coś mocno przepraszał.

Obiecywał poprawę. Mniejwięcej tak samo, jak kilkanaście lat przedtem jego matka, owa sławna kucharka, Hania, kiedy zaszła w ciążę. Pani kapitanowa zapatrywała się na takie ludzkie sprawy bardzo spokojnie i wyrozumiale. Nie wyrzuciła z domu ani młodej matki ani nowonarodzonego synka. Dobroć pani Marty była w tym wypadku wprost szaloną przesadą — zdaniem innych, bardziej egoistycznych domowników.

Dziecko Hani nazywało się Michaś i wrzeszczało nie-
miłosiernie.

— Ja go zabiję — groził kapitan, który cierpiał na jakąś chorobę nerwową i nie znosił hałasu. Ale powodem samobójstwa kapitana, który raz, po obiedzie rzucił się z okna swego pokoju na dziedziniec, jednak nie był Michaś. Nie, powodem była, rozumie się, owa choroba.

A niezadługo potem Michaś przestał krzyczeć. Widać, że nie robiło mu to już żadnej przyjemności, odkąd nikogo tem nie drażnił. Stał się cichem, rzec można, melancholijnym dzieckiem, wcale nie zabawnem dla swego otoczenia i innych dorosłych, a pod względem umysłowym niewiele obiecującym. Dużo czasu minęło zanim się nauczył pół tuzina słów.

Rówieśnik jego, Piotr, okazywał na tem i na innych polach wiedzy znacznie większe zdolności, ale fizycznie

był Michaś silniejszy, tak dalece, że wkrótce nazywano go już Michałem. Piotr opowiadał mu treść licznych ksiązek, które połykał, bo Michał nie miał ochoty wziąć się sam do czytania.

Synek kucharki przemieniał te opowiadania w jakąś pół-rzeczywistość. Urządzał zabawy w Guliwera, w Robinsona Crusoe, w Kwiat Prerji. A jeśli trzeba było do tego strzał albo gwoździ albo zwierząt, to on się o nie postarał. Raz przyniósł nawet proch i jakiś stary pistolet. Skąd? Piotruś o to nie pytał; przywykł niesłuchanie prędko do tego, że wszystkie przedmioty niezbędne dostawało się od Michała. Tak, pod tym względem, był syn kucharki genjalny, a Piotr do niczego. Michał wiedział masę rzeczy praktycznych, miał różnych znajomych, których Piotr nigdy nie widział, słowem, wiódł jakieś własne, zagadkowe życie.

Potem przyszła kolej na bajki, które Michał brał także nader realistycznie. Kiedy bawiono się raz w jakąś zaczarowaną królową i potrzebowano do tego dziewczynki, Michał oddalił się na jakiś czas, poczem wrócił z dziewczynką.

Nazywała się Genowefa.

Była ogromnie śmiała, a przedewszystkiem pojętna. Robiła wrażenie damy choć była jeszcze mała i córka ślusarza i bez trzewików. Miała czarne loczki i niebieską sukienkę wyciętą.

Z wielką pewnością siebie rozpoczęła rozmowę.

— Czy to prawda, że mamy się bawić w jakąś królową?

— Prawda.

— A jak to jest?

Kiedy Piotr opowiedział jej bajkę, zastanowiła się chwilę, poczem oświadczyła:

— Do tego trzeba koniecznie białej sukni.

— Może być.

— Ale ja mam tylko niebieską.

— To głupstwo — uspokoił ją Piotr. — Michał wystara się zaraz o białą.

— Ośle — mruknął Michał — przecież to się nie da. Sam nic nie umiesz, więc zdaje ci się, że drudzy wszystko potrafią. Skądże wezmę suknię? Sam jej nie uszyję, ani mi jej nie daruje nikt z moich znajomych. Bawmy się w coś innego. Mogę przynieść dynamitu, zrobię bomby dla siebie i dla Genowefy, a ty będziesz carem.

Ale w tej chwili zaczął się deszcz ulewny i odwołano Piotra na górę. Uczuł wyraźnie — po raz pierwszy — zazdrość, kiedy Michał z Genowefą oddalili się razem. Podejrzewał, że widują się oni częściej, w jakichś miejscach należących do własnego, zagadkowego życia Michała.

Wypogodziło się dopiero po kilku dniach i znowu rozpoczęły się wspólne zabawy. Tym razem zjawiała się Genowefa w sukni zadziwiająco stośownej.

Pani Marta zeszła także do ogrodu i przypatrywała się zabawie. Rzekła do zaczarowanej królowny:

— Zdaje mi się, że masz nową sukienkę. Bardzo ładna. — Dostałaś od mamusi?

— Nie, od Michała — odpowiedział Piotr za królownę.

— Ach tak?, — zdziwiła się kapitanowa.

— Uszyła mi ją matka — mruknął Michał, patrząc ponuro na ziemię.

Potem dodał:

— A materję Genowefa już miała.

Ale popołudniu, kiedy kapitanowa leżała w swoim pokoju na sofie i czytała książkę, wszedł raptem Michał i oświadczył:

— To ja skradłem.

— Co?

— Materję na suknię.

Marta spojrzała na niego zakłopotana. Zapytała:

— Kómu?

Chłopak wskazał palcem na nią samą. I dodał:

— Jaśnie Pani kapitanowej.

Tak tytułował ją zwykle, jeśli był zły, wzruszony, lub coś przeszkrobał.

Marta zarumieniła się.

— Ach, tak... — mruknęła mocno zaambarasowana.

Zaproponował jej.

— Może mię Pani wybić — albo zamknąć.

Milczała bezradnie; nie, to było dla niej za trudne.

— Bo materja na nic — mówił winowajca. — Genowefa musi ją oddać, ale... co Pani z tego?

— Nie, nie — rzekła kapitanowa prędko — stało się, trudno... Pewna jestem, że to się nie powtórzy. — Obiecasz mi...

— Obiecuję! — zawołał Michał.

Uklęknął, żeby pocałować „jaśnie panią“ w rękę. W twarzy jego była gwałtowna szczerłość, jakieś strasznie silne „dobre zamiary“ na przyszłość. Marta miała uczucie, że w takich razach daje się jakieś dobre nauki, czy przestrogi... coś takiego, żeby „pamiętał przez całe życie“. Ale nie wiedziała, jak to się robi; nie miała pod tym względem najmniejszego talentu ani doświadczenia. — Zresztą pomyślała: i tak ładnie, że się bądź co bądź przyznał.

Więc tylko go pogłaskała i powiedziała (nie wiedząc sama, dlaczego to mówi):

— Będę się tobą opiekowała... jak długo będę mogła.

Zapewne miała w tej chwili, coś w rodzaju przecucia. Może swym kobiecym instynktem odgadywała, co

będzie. To, że Michał niebawem uniemożliwi jej dalszą opiekę.

Pewnego dnia chłopak opuścił jej dom bez pożegnania. Nikt nie wiedział, dokąd drapnął. Nawet Hania, jego matka, nie była pewną, czy kiedykolwiek wróci.

A Piotr zauważył:

— Może pojechał do Ameryki.

— To nie tak łatwo — rzekła kapitanowa — przecież nie ma pieniędzy.

— Cóż z tego?... Bawiliśmy się niedawno w Krzysztofa Kolumba.

W zasadzie Piotr wnioskował nieźle. Wiedział, że Michał brał dosłownie wszystkie zabawy. On sam, Piotr, mógł sobie wyobrazić Amerykę, ale Michał potrzebował rzeczywistej.

— Ale może utopi się w morzu — mniemała Genowefa.

Spojrzała Piotrowi znacząco w oczy. Otwierały się przed nim bajeczne nowe horyzonty. — Dopiero teraz czuł, jak kocha Genowefę. Ale mimo częstych sam-nasam, do których zaczarowana królewna chętnie dawała mu sposobność, nie wyznał jej jakoś swych uczuć. Tak że wkońcu Genowefa dała za wygraną i odtąd widywał ją coraz rzadziej. Mimo to pozostała na zawsze jedyną panią jego serca.

A o Michale przez wiele lat nic się nie słyszało. Być może, że niekiedy dostawała od niego jakieś wiadomości rodzona matka, ale i Hani nie było już w domu kapitanowej. Bo po wielkich przewrotach społecznych nikt nie śmiał i nie mógł trzymać sobie usługi, a zresztą Marta sama stała się kucharką.

W drugim roku rządów Sprawiedliwego przyniósł

Piotr do domu jakieś ilustrowane czasopismo, pokazał matce portret męski na pierwszej stronie i powiedział:

— To jest Michał.

— Jakto? — spytała zdumiona matka.

— Michał, syn naszej Hani.

— Nonsens. Wszak to jest minister Roko.

— Właśnie, Roko i Michał, to jedna osoba.

Piotr zwarjował, pomyślała Marta. Lecz bez kwestji i czasy były warjackie.

— Czy Michał był kiedykolwiek taki grubas? — pytała matka — czy miał taki łeb olbrzymi?

— Zmienił się — odrzekł Piotr — zmieniliśmy się wszyscy.

Lecz Marta nie wierzyła popularnemu czasopismu.

A i teraz, po swem najświeższym nieszczęściu, w tym dniu okropnym, w którym usłyszała, że Piotr stracony, nie mogła pogodzić się z tą myślą, iż Michał był tym potworem, który pożarł jej syna.

— Nie myśl już o tem — mówiła do niej Kora, której już się znudziło ciągle pocieszanie „najdroższej przyjaciółki“ — trzeba przyjmować z pokorą wyroki boskie.

— No tak, boskie — myślała Marta — ale nie wyroki tego hultaja, którego wychowywałam, tego smarkacza, który mi skradł materję na suknię. — Widziała go, jak klęczy przed nią, całując ją w rękę, i ogarnęła ją nietylko złość na niego, ale i pewność, że on jest w gruncie rzeczy taki sam jak był, choćby nawet powierzchownie zamienił się w nosorożca albo djabła albo jakieś inne lichy. — O, nie boi się go i dziś, pójdzie do niego, pociągnie go do odpowiedzialności... Zmusi łotra, żeby jej wydał syna. A jeżeli Piotr istotnie już zabity, to zażąda, żeby go przynajmniej pochowano, jak się należy, po ludzku, po

chrześcijańsku — nie tak, jak się grzebie psów albo... dawnych kapitalistów. —

Dziwne było to jej ostatnie żądanie. Wyraźnie tak, jakby naraz zapomniała o tem, że wszystkie formy i formalności są prawnie skasowane. Ale tu chodziło o Piotra. O tego biedaka, który nie odczuwał nowego czasu i nie mógł się rozstać z nazwiskiem rodzinnem.

Myślała w nocy:

...Ze mną mogą zrobić, jak umrę, wszystko, co im się podoba. Ale Piotr.

A nazajutrz oświadczyła ku wielkiemu zdumieniu Kory:

— Teraz pójdę do ministra Roka.

VIII.

— Nie jest to wcale tak łatwo, jak się Pani wydaje — rzekł żołnierz, nazwiskiem Mucha. Posterunek jego był na pierwszym piętrze ministerstwa oświecenia publicznego.

Wydostać się na górę, do niego, bynajmniej nie było trudno. Ale potem — — Mucha sam był trudny. Był dla wszystkich, choćby najśmielszych i najcierpliwszych, niesłychaną przeszkodą.

Uśmiechał się. Niby to drwiąco, a niby litośnie. I odsuwał od drzwi panią Martę, której się wydawało, że to „tak łatwo“.

— Więc cóż mi Pan radzi czynić? — zapytała wdowa.

— Czekać.

Chrząknął.

— ...czekać, aż nadejdzie pan sekretarz.. Rozumie Pani. On Panią wpuści — może — lub też i nie. Wszystko zależy od niego. On sam zesławia listę audjencjonalną. Rozumie Pani. To niby znaczy porządek, w jakim będzie przyjmował pan minister.

— A kiedy przyjdzie pan sekretarz?

Mucha znowu chrząknął.

— Tego... nikt nie wie. Rozmaicie bywa, proszę Pani. Pan sekretarz ma różne zajęcia i czynności. Zresztą może sobie Pani pomyśleć, że oprócz Niej są jeszcze inne osoby, które musi przyjąć pan minister. Trzeba mieć rozwagę i rozsądek, proszę Pani.

— Wiem, naturalnie.

— A więc.

— Ale...

— To może potrwać trzy godziny. Może i dłużej.

— Bo mnie czeka praca.

— Każdy ma swoją pracę. Niech Pani spojrzysz na mnie. Czy ja nic nie robię, co? Czy może w karty gram? Albo może siedzę sobie w szynku? O! widzi Pani, taki jest nowy porządek, że każdy ma swoją czynność.

Marta spojrzała beznadziejnie na człowieka, którego czynnością było stanie całodzienne przed drzwiami. Był uzbrojony. Miał oprócz bagnetu także jeszcze rewolwer przy sobie. I co chwili salutował. Ile razy przechodził przez korytarz ktoś ze starszych. A wszyscy byli starsi od niego.

Przyszło Marcie na myśl, że ci, którzy teraz panowali w kraju, niegdyś byli wrogami militarystów. A teraz otaczali się całą masą wojska. Odkąd lud ze szczególną dumą nazywał się ludem, chodził w uniformie. Większość biła się gdzieś na odległych frontach. Zaś mniej zdolni tworzyli przeszkody w przeróżnych gmachach rządowych i sądach.

Ale Mucha nie należał bynajmniej do najsurowszych.

— Może Pani spocząć — rzekł dobrotliwie do Marty i wskazał na sprzęt podobny do sofy — zasłużyła Pani, bo jest chyba dużo młodszych od Niej kobiet na świecie.

Ludzie tego gatunku mają trochę przykrą uprzejmość. A wówczas ten gatunek przeważał i rządził. Marta zmusiła się do miłego uśmiechu.

— Istotnie — rzekła — młodą nie jestem. Mogłabym być matką Pana Kaprala. A nawet rzeczywiście mam syna w pańskim wieku.

Poprawiła się.

— To znaczy: miałam.

Tych słów ostatnich żołnierz nie dosłyszał.

— Czy jest także w wojsku? — zapytał.

— Nie — już nie żyje.

— A!

— Został stracony.

Mucha popatrzył na nią chwilę uważnie, a potem się spytał:

— Czy pani dlatego tu przyszła?

— Dlatego.

— Zapewne chce pani prosić o zapomogę?

Marta nie zaprzeczyła, żeby nie komplikować niepotrzebnie rozmowy.

Lecz Mucha znał się, jak mało żołnierzy, na sprawach urzędowych.

— Hm. Więc pani jest chyba sama w jakimś biurze naszym?... Niby w takim, co nam podlega — nie? Albo jest Pani nauczycielką, albo wdową po nauczycielu? I to nie? Więc trzusi się Pani daremnie. Dlaczego chce Pani mówić właśnie z naszym ministrem?

— Bo go znam.

Żołnierz podniósł brwi do góry.

— A! Zna go Pani dobrze?

— O, doskonale.

— No, a on? Czy myśli Pani, że i on sobie Panią przypomina?

— Z pewnością. Bo wychowywał się jak drugi syn w domu.

— Gdzie?

— U mnie.

Żołnierz jeszcze więcej się zdziwił.

— Wie Pani co — rzekł nagle — może przecież zamelduję sekretarzowi, że Pani czeka.

— Alboż jest sekretarz?

— Czemu nie ma być?

— Jakto? Przecież Pan powiedział...

— Powiedziałem, że to zależy od różnych okoliczności. Otóż on je właśnie śniadanie tam w drugim pokoju. Ale mimo to pobiegnę do niego.

I pobiegł.

Sekretarz nie wyglądał bardzo wykwintnie.

Wszystko na nim było brudne: surdut, niegdyś zapewne jasno-niebieski, cera twarzy dziwnie szara, a zwłaszcza długa czarna broda. Na brodzie wisiało coś zielonego, prawdopodobnie szpinak. Zezował w dziwnie drażniący sposób, tak jakby nie miał prawie żadnych oczu.

— Pani jest krewną ministra? — spytał niewyraźnie, tak jakby jeszcze ukradkiem jadł dalej.

— Nie, ale... jako chłopiec był u mnie... Jeśli mu Pan powie moje nazwisko...

— Kto Pani?

— Marta. Z sekcji kuchennej, oddział jedenasty, numer...

— Ależ nie — przerwał jej sekretarz — pytam naturalnie o dawne nazwisko Pani. O nazwisko rodzinne.

Na to Kapitanowa jakoś się stropiła, bo już prawie sama nie wiedziała, jak to się zaczynało i kończyło. Nagle otworzyła swą małą torebkę skórzaną i wyjęła z niej bilet wizytowy, który raz w irytacji wyjęła swemu synowi z portfelu.

— Proszę... Mam tu przypadkiem... Sama już nie wiem skąd...

Sekretarz rzucił wzrokiem na podany sobie, trochę pomięty bilet i rzekł:

— Niech Pani wejdzie na razie do poczekalni... Zobaczymy.

Była to sala duża, chłodna, choć przepelniona różnymi ludźmi. Ciche, skromne postacie czekały, poważnie stojąc, przylepione do ścian jak muchy. Natrętnie złote, poniszczone tapety wisiały tu i tam, jak łachmany królewskie. Olbrzymie paradne zwierciadło obrażało oko wielkimi rysami i jakiemiś cynicznymi plamami, ohydnie żółtymi.

W niszy wielkiego okna siedział ktoś przy stoliku. Także umundurowany, ale w poważnych okularach i z piórem w rękę. Podskoczył elastycznie, kiedy zbliżył się doń sekretarz i wręczył mu bilet Kapitanowej.

— Proszę zapisać tę panią — rozkazał sekretarz.

— Na końcu?

— Gdzie się Panu podoba, ale zgłosi ją pan natychmiast. Jak wyjdzie osoba, która jest teraz u ministra.

Potem spojrzał znowu na Martę swym wzrokiem bezocznym.

— Hm, tak... więc niech Pani czeka... Zobaczymy. Ale nie obiecuję. Może Pani się tylko zdaje, że minister zna Panią. Na wszelki wypadek trzeba się uzbroić w cierpliwość... Może poprosi Panią zaraz, może za trzy godziny, może nigdy.

Marta podziękowała, usiadła.

W sali był jakiś przykry, przygnębiający odór. Mdły, wilgotny. — Oprócz zabrudzonego i popękanego zwierciadła wisiały na ścianach portrety z dawnych lat — z czasów monarchów, orderów, arystokracji.

Niedaleko niej szepotali jacyś ludzie, tak niewprawnie, że słyszała wszystko.

— Mówią, że lepszy od tamtych.

— No nie wiem. — To zależy.

— Od czego?

— Czy pijany, czy nie...

— A co lepiej?

— No nie wiem.

Osoba powtarzająca „no nie wiem“ dygotała tak, że i Marcie robiło się zimno.

— Mówią, że ona ma wpływ na niego.

— No nie wiem... Ona ma być zła.

— Zawsze przez kobietę łatwiej. — Czy tu mieszka?
U niego —?

— No nie wiem...

Ciekawam, pomyślała Marta, czy ta kobieta, o której mówią, jest Roka żoną —? Pewnie kochanką. Nie śniło jej się, że sama znała tę kobietę.

Nagle otworzyły się drzwi; z pokoju ministra wyszło dwóch panów. — Jednocześnie zerwał się wojskowy w okularach i pobiegł do Roka z kartką. Za chwilę wrócił i coś zawołał. Marta nie połąpała się, że to jej dawne nazwisko.

— Prędzej! Czy nie słyszy Pani?! — irytował się funkcjonariusz i dawał jej ręką rozpaczliwe znaki.

Wreszcie ocknęła się, pojęła, podskoczyła z pluszowego fotelu.

Stała nagle w gabinecie Roka, przed nim samym. Ale mgłą zasłży jej oczy i nie widziała jego oblicza — tylko postać dużą, szeroką.

I naraz ta postać zmaląła. Schylił się. Uczuła pocałunek na ręce. Jednocześnie poznała:

— Tak to on, Michał.

Zaprowadził ją do kanapy. Usłyszała:

— Proszę, proszę... Nie śniło mi się... Jaśnie Pani Kapitanowa... Bardzo się cieszę. — Naprawdę... Nie śniło mi się, że kiedyś...

Mówił bardzo dużo, ciepło, chaotycznie, nazywał ją wiele razy Jaśnie Panią Kapitanową, cieszył się, czy żałował, czy przeproszał. — A ona przypomniła sobie dopiero po dobrej chwili, po co właściwie przyszła. — I powiedziała:

— Wyrządziłeś mi straszną krzywdę, mój drogi.
Przestraszył się.

— Co? Ja?... Dlaczego?... Nie wiem. — Może zabrali wam dom? Na to niema rady. — Mnie samemu żal, najwięcej ogrodu, ale... trudno, prawo takie. Przecież macie znośną robotę, niezły positek — co? Niech Pani nie myśli, że... Wcale was nie zapomniałem. Prosiłem Piotra o wasz adres... Ale dotąd nie mogłem. — Czasu nie mam, słowo honoru. — Pani wcale nie siwa. — A ja — nie wiem dlaczego — ciągle myślałem, że Pani siwa. — Ale to wcale nie tak dawno. Tylko tak się zdaje. Bo tyle zdarzeń, tyle zmian — w głowie się kręci. Kiedy matka umarła...

— Hania umarła?

— Tak, właśnie, ale... mnie przytem wcale nie było. Znajdowałem się daleko, Bóg wie... Bo ja najpierw w Ameryce, potem w Szwajcarji, potem... Nawet brak małej chwili, żeby namyśleć się nad tem wszystkim. — Bardzo chciałbym raz porządnie się namyśleć — — a nie można. Ciągną mię, pędzą, gonią... Byłbym napisał do... Jaśnie Pani Kapitanowej, ale — właściwie jeszcze nie umiem porządnie. Tylko gadać. — Ale do listów mam urzędników. — Niewykształcony jestem tak, ale Piotr...

— Masz odwagę wymówić imię jego? — krzyknęła Marta.

— Albo co? — zdziwił się Roko — dlaczego?... Co ja mu... zaraz, zaraz... gdzie ja go spotkałem? Niedawno... Aha, wiem, pewnie się skarżył, że na niego krzyczałem — co? To nic, głupstwo. To z pijaństwa, Jaśnie Pani... wcale nie ze złości albo z nienawiści. Tylko ot, korciło mię, żeby go... Bo na uniwersytecie był doktor, jak Sprawiedliwy, a teraz — kelner!... Czy to warto? Czy to interes!... Piwa mi przyniósł, jak Boga kocham... akademik, psiakrew... Chciałem go trochę...

— Zabiłeś go!

— Co? Czem?... Tylko nie tak. — Niech Pani do mnie jak dawniej, poprostu, bez gniewu, serdecznie. Bo niema powodu, żeby... Przecież nikt z tego nie umiera, jak się go trochę... Niech Pani powie uczciwie...

— Sam mów uczciwie! Prawdę, jak dawniej!... Przyznaj się, kazałeś go zastrzelić, czy powiesić...

— Kogo?

— Piotra.

— Co?!

— Nie kazałeś go...

— Nie! Nie! Do djabła, co też Pani plecie, Jaśnie Pani Ka...

— A więc gdzież on jest? Co się z nim stało?... Mów! Gdzie Piotr?

— Nie wiem.

Chwyliła go za rękę, pociągnęła z sobą do jasnego okna, wlepiła w niego swoje zapłakane oczy...

— Naprawdę nic nie wiesz?

— Skądże!... Piotr zabity!?! Jezus Marja.

Milczała, dalej wpatrywała się w niego. — Tak był strasznie gruby, rozpity, czerwony. — Rzeczywiście potwór. — Ale szczerzy. Nie łgał, nie maskował się, nie udawał. Miał jeszcze swoją duszę. — Miał jeszcze te same oczy, co wtedy, jak przyszedł do niej i przyznał się, że...

Powiedziała :

— Wierzę ci. Gdybyś był naprawdę winien, to powiedziałbyś, jak jest. Pomóż mi. Przyszłam do ciebie, bo Piotr znikł, zaraz po waszem spotkaniu. Dlatego. Ja wcale ciebie nie podejrzewałam o zbrodnię. Ale drudzy. Wszyscy mówią, że to ty.

Wściekł się naraz.

— Wszyscy? Niby kto? Wszystkie łotry, komisarze?!

Pienił się poprostu z niewinności. Całkiem tak, jak mały Michaś, jeśli go ktoś niesłusznie posądzał o to lub owo.

— To nie ja! — krzyczał, bijąc się w piersi — przysięgam, że nie ja!...

— Wierzę ci — powtórzyła Marta.

— Kto to mówi?! — wrzeszczał — co za świnią wymyśliła to sobie?... Pewnie znowu jakiś podlec z tej parszywej policji! Oni wszyscy — huzia na mnie. W łyżce wody by mnie... Bom za porządną dla nich, dla tej hołoty przekłętą! Ale odpowiedzą mi za to. Będą musieli wytłumaczyć się, dowieść, bo inaczej... zniszczę ich, zmiążdżę, rozszarpie wszystkich, począwszy od...

Byłby powiedział: od Sprawiedliwego.

Lecz w tej chwili otworzyły się lekko drzwi i ukazała się głowa sekretarza, który zapytał pokornie:

— Pan minister rozkaże — ?

— Precz! — wrzasnął Roko.

I w tej chwili raptownie uspokoił się, cokolwiek zmądrzał.

— Jaśnie Pani... Papi mówi, że Piotr znikł — Pani przypuszcza, że go powiesili czy rozstrzelali. Dlaczego? Na czym opiera się to przypuszczenie? Czy on konspirował przeciw rządowi? Czy może zrobił jakie głupstwo? Nie? Dobrze.

Poszedł do telefonu, zadzwonił.

— Minister sprawiedliwości! — krzyknął do aparatu. Potem zwrócił się znowu do Marty:

— Tylko on byłby kompetentny. Przecież to nie moja rzecz.

— Więc ty jeszcze nikogo nie kazałeś stracić? — spytała Kapitanowa.

— Owszem — odrzekł poprostu — ale — to nie moja rzecz.

Telefnował:

— Czy to ty, czy nie? Mów-że, bałwanie, zaraz, kiedy pytam.

W tej formie wykwintnej rozmawiał pewien czas ze swoim kolegą z Rady.

Poczem rzekł do swej dawnej dobrodziejki i opiekunki:

— Minister sprawiedliwości nie ma naturalnie pojęcia. Dopiero się poinformuje. Każe także zapytać się młynków. Potem doniesie mi, czego się dowiedział. A ja dam znać pani. Dziś jeszcze.

Tego samego dnia, wieczorem, otrzymała Marta krótki liścik, który zawierał tylko dwa zdania ale trzy błędy ortograficzne.

Wynik na razie ujemny. Nikt nic nie wiedział o sąsiedzeniu Piotra. Ale policja zobowiązała się znaleźć go, i już rozpoczęła poszukiwania.

IX.

Rozumie się, że niekiedy musiał Roko stykać się ze Sprawiedliwym; należało to niejako do przykrych obowiązków jego wysokiego urzędu. Lecz czynił to jak najrzadziej, jeśli wypadało koniecznie. Pozatem udawał się najchętniej do Niemego, który często pośredniczył między nim a głową państwa. Także w sprawie Piotra poszedł Roko do niego po pomoc i radę.

Kanclerz wysłuchał cierpliwie jego opowiadania, poczem mruknął zagadkowo:

— Tak — w tem coś jest.

— Co jest?

O, rozmowa z Niemym była niesłychanie zawiłą sztuką. Możliwą tylko dla bardzo domyślnych.

— To się zdarza.

— Co?

— Że ktoś znika. Wielu znikło.

— Od kiedy?

— Odkąd... my jesteśmy. Uciekają.

— Dlaczego?

— Przed nami.

— Dokąd?

— Ha, ha — o to właśnie chodzi.

Roko już tracił spokój.

— Nie wiem, co wy właściwie robicie, poco udajecie władzę? Na co macie policję, jeśli nie możecie dowiedzieć się najprostszyc rzeczy w świecie?

— Wcale nie.

— Co?! Bądź łaskaw mówić zrozumiale. Nie żałuj twych słów cennych. Bo chciałbym wreszcie dojść do jakiegoś rezultatu.

— Ja także.

— A jeżeli nie umiesz mówić, to napisz mi coś o tem... Akta mi pokaż... Przecież musicie mieć jakieś akta w tej sprawie...

Naturalnie, że mieli. Ale Niemy i pod tym względem, nietylko co do słów, był skąpy. Wkońcu jednak pokazał ministrowi jakieś gęsto przez siebie zabazgrane karteczki. Jakieś niesłychanie dokładne wyciągi z dziennych raportów policyjnych, statystyczne zestawienia, z których wynikało, że w państwie „Nieprzyjaciół bogatych“ więcej gubiło się ludzi niż gdzie indziej zegarków czy pugilaresów. A na marginesie tych wykazów znajdowały się różne krótkie, lecz bardzo znamienne uwagi Niemego. Także dowcipy. Pewna liczba owych dziwnych „bon-mots“ pana kanclerza, których oprócz niego samego nie rozumiał nikt w całym mieście. —

Zresztą Roko był wprost przerażony po przeczytaniu tych papierów.

— Ależ to niesłychane, straszne! Prawie pięć procent ludności! — Poprostu naraz ich niema i koniec. Nikt o tem nie mówi, nikt się tem nie trapi. — Nawet nam, ministrom, nic o tem nie mówicie.

Niemy wzruszył tylko ramionami. Uśmiechając się przytem, jakby pytał:

I cóż przyszłoby nam z tego, gdybyśmy wam powiedzieli!

Roko czytał dalej i unosił się coraz bardziej.

— Same nazwiska znane — na tej kartce. Wiem, rozumie się, doskonale, że wszyscy ludzie równi et

caetera. Ale bądź co bądź. Cóż mię obchodzi stara szlachta! — A jednak — macie ich przecież tępić a nie pozwalać im uciekać. — Zresztą oprócz śmietanki rodowej widzę tu i uczonych, artystów, poetów, dawnych oficerów. Powiedz mi, co to znaczy, że i artyści są niezadowoleni? Chwalicie się zawsze, że im tak dobrze u nas, jak u Pana Boga za piecem. — O ile nas kochają, daje im się nietylko stypendja, ale nawet i chleb. — A jednak. — To samo z innych sfer. — Z rodzin kupieckich, myślących trzeźwo, praktycznie. — To niepojęte! — Czy to was wcale nie martwi, nie boli, nie niepokoi? Gdybym był Sprawiedliwym, nie mógłbym spać. — Co robicie w tej sprawie?

— Dochodzenia — odrzekł Niemy takim tonem jakby kpił sam z siebie.

— W takim razie głupie, niezręczne, zbyteczne... Sam mówisz, że dotąd trudzicie się nadarmo. — Z tego wynika, że i tego nie umiecie. Więc oddajcie tę rzecz ludziom fachowym, doświadczonym, sprawnym, detektywom, czy szpiclom.

— Już się stało.

— No i —?

— Nic.

— Niech was djabli porwą! Przecież to niebezpieczne także politycznie. — To osłabia znaczenie wszelkiej propagandy. — Co pomyślą narody, które dotąd nie są po naszej stronie? Czy to, co się u nas dzieje, jest zachęcające? Jeżeli uciekają własni obywatele nasi... Masami. — Ta lista zbiegów, to istna góra. — Czy jest już między nimi i Piotr?

— Co zaczą?

— Ten właśnie, o którym mówię. Oto jego nazwisko. — Niemy rzucił okiem na bilet, potem zajrzał do owych papierów.

— Jest — rzekł po chwili.

— A więc. Musisz mi przysiąc — słyszysz? — że przynajmniej co do tej osoby, weźmiesz się energicznie do rzeczy. Będziesz go szukał? Dobrze. Co zrobisz?

— Dochodzenia — rzekł automatycznie Niemy.

Roko zaklął głośno, zerwał się tak gwałtownie z krzesła, że odezwały się wszystkie metalowe i szklane przedmioty w pokoju.

— Boże — skarżył się — czy nic w świecie nie da rady tej strasznej, wiecznej potędze, która się zowie biurokracyzmem? Silniejsza, niż dawni królowie, niż rewolucje, niż Sprawiedliwy i milion djabłów! Ty byłeś jedyną moją nadzieją. — No i na razie jeszcze nią jesteś. — Ale nie długo będę czekał, pamiętaj! — Zresztą nie chcę tracić czasu. — Będę i ja działał, będę szukał na własną rękę.

— Naturalnie — powiedział Niemy, a brzmiało to tak, jakby mówił: i ty się zblamujesz.

Ale Roko nie oddalił się jeszcze. Stał na progu i myślał. Zastanawiał się nad różnemi szczegółami bezprzykładnie trudnego problemu.

— Jeszcze jedno. Czy jesteście pewni, że ci ludzie nie uciekają za granicę?

— Niemożliwe.

Niemy jeszcze raz zbliżył się do stolika, gdzie składał swoje cenne materiały, i pokazał ministrowi jeszcze to i owo. Przekonał się Roko, że rewizje graniczne wszędzie były surowe, nawet wprost śmiesznie pedantyczne. Bez wiedzy władz nie mógł nikt opuścić państwa „Nieprzyjaciół bogatych“. Dowiedział się także, że przeszukiwano prawie bezustannie wszystkie podejrzane domy, spelunki, strychy i piwnice po miastach i na wsi. A mimo to...

— Więc gdzie się oni chowają do licha? — wykrzyknął Roko.

Tu znowu zaśmiał się po swojemu kanclerz. Głośno, dziecinnie, może nieco idjotycznie.

— Połknęła ich ziemia — oświadczył nagle.

Jeden z owych jego „dowcipów“, z owych niezrozumiałych konceptów.

Wychodząc zatrzasnął Roko z pasją drzwi za sobą.

A Niemy, który go podprowadził do progu, stał jakiś czas na tem samem miejscu. Był kościsty, chudy, miał włosy jasne jak len. Cały był jakiś jasny i młody, śmiał się dalej, choć oprócz niego nie było już nikogo w pokoju. Oczy jego silnie błękitne świeciły się tak, jakby widział gdzieś w oddaleniu — cuda. Może był istotnie warjatem. Ale to, co powiedział przed chwilą — że „ziemia ich połknęła“ — jednak poniekąd... zgadzało się z prawdą.

X.

Piotr i wszyscy inni, których daremnie szukano w mieście, bez wyjątku — żyli. Chociaż już oddawna nie widzieli słońca. Żyli, ale tak ostrożnie, że i najchytrzejszy człowiek nie znalazłby ich niezrównanej kryjówki.

Było to coś w rodzaju olbrzymiej groty, ściślej: labiryntu, składającego się z kilku groć wielkich i mniejszych. Drugie miasto. Bez światła dziennego, ale miało ulice, place, a nawet jezioro i rzekę. Część mieszkańców tego „miasta“ utrzymywała, że nikt inny go nie zbudował, jak Pan Bóg.

— Przecież dziecko wam powie, że to powstało naturalnie. To nie jest żaden wymysł, żadna kompozycja ludzka, tylko kaprys romantyczny Opatrzności.

Inni znowu mówili:

— Nie, jestto jednak kopalnia. Choć już przed setkami a może tysiącami lat opuszczona i zapomniana. Widać ślady jakiegoś dowcipnego planu, jest we wszystkim pewna symetria.

Lord, który odkrył ten cały światek, przyznawał autorstwo budowniczemu wielkiego świata.

— Ale — mawiał czasem — możnaby go w danym razie znacznie rozszerzyć. Choć naturalnie tylko w kierunku zachodnim albo północnym. Bo zresztą natrafilibyśmy na przeszkody; na południu są kanały miejskie a na wschodzie cmentarz.

Tak, lord ukończył politechnikę przed laty. Mimo to chodziło tu raczej o zabawkę myślową, niż o poważny

projekt. A tem mniej skłonności, inżynierskich miała reszta towarzystwa.

Większość lubiła odpoczywać. Nie miała najmniejszej ochoty, trudzić się bez potrzeby. Zresztą nie byłoby to wcale konsekwentne, gdyby się męczyli pracą. Wspólna ich ucieczka była rezygnacją z walki o byt. Protestem przeciw terażniejszości. W pierwszym rządzie przeciw panowaniu tłumy, który chciał wolności wyłącznie dla siebie. Przeciw Niememu i Sprawiedliwemu.

Właściwie można ich było nazwać inwalidami. Na pozór nieuleczalni, a w każdym razie bardzo podobni do zepsutych zegarków. Stanęli wszyscy pewnego dnia, o pewnej godzinie. I odtąd nie istniało dla nich nic prócz przeszłości. Nie mogli dalej „iść z czasem“.

Nie mogli — ale mówili, że nie chcą. Mówili:

— Poco mamy trwonić niepotrzebnie nasze siły! Poco mamy walczyć przeciw nowym tyranom, którzy prędzej czy później i tak muszą runąć? Czekajmy tu spokojnie ich końca. Po ich upadku powrócimy na powierzchnię ziemi.

Więc urządzili sobie coś w rodzaju snu zimowego. Rozumie się, że ten sen mógł potrwać niesłychanie długo. Ale dużo było między nimi takich, którzy wprost pokochali swój stan niby przejściowy, niby prowizoryczny. Zdawało im się nawet, że przeżywają tyle w dużej piwnicy, jakby mieszkali w słońcu.

Bo Piotr nie był jedynym stworzeniem ludzkim niepotrzebującym rzeczywistości do szczęścia. O, w grocie znajdowało się wiele takich jak on.

Ludzi, starych i młodych, którzy zaczynali dopiero wtedy widzieć, gdy zamknęli oczy. Prawdziwych mistrzów snu. A należeli do nich przedstawiciele różnych

zawodów, różnych (przeważnie wyższych) sfer społecznych.

Także sam lord — do pewnego stopnia.

Zresztą zajmował on w gromie wyjątkowe stanowisko, do którego o tyle miał pewne prawo, że odkrycie wspinałnej kryjówki było jego dziełem.

Towarzystwo niemal obrało go królem. Ale sprzeciwiło się kilku członków starszej arystokracji, ponieważ wiedziało się za mało o jego pochodzeniu.

— Wygląda niezłe — rzekł pewien starzec, niegdyś wysoki dygnitarz dworski — zdawałoby się, że ma rasę. — Zachowuje się wcale ujmująco, wcale przyzwoicie. — A jednak wszystko to może być złudzeniem. — Są w pierwszorzędnym hotelach kelnerzy mający także dobre maniery. — Nie można być dość ostrożnym.

Hrabina Teresa, do której mówił, kiwnęła z uśmiechem głową.

— Tak — zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Wszystko rozpowszechnia się, popularyzuje się aż nadto. — Także dobre wychowanie. Dobrze zbudowany, to prawda. Ale i to nieraz myli. — Dzisiaj sport zastępuje szlachectwo. — W drugim lub trzecim pokoleniu nikt nie pozna, czy to prawnuk bankiera czy hetmana. — W dodatku dawny jego zawód...

— Otóż to — przerwał jej dygnitarz — właśnie chciałem to poruszyć. Przeciw technice nic nie mam. Zawsze to sympatyczniejsze, niż powiedzmy... medycyna, handel albo prawo. — Ale wogóle zawód. — *Au fond* nie ma się zawodu. Czy słyszało się kiedykolwiek o królach, którzyby dawniej byli inżynierami? To niemożliwe. Nie... o tronie niema mowy. Ale niech rządzi, owszem. — Niech pokaże, co umie.

Właściwie lord nie czekał wcale na to pozwolenie. Już faktycznie rządził. I to bezsprzecznie z pewnem powodzeniem. Także miał już nawet dość — cichych zresztą i biernych — nieprzyjaciół. Rzekomo tylko rządził, zalecał; forma jego zarządzeń wcale nie była rażąco autokratyczną. — A jednak treścią ich były zakazy, przepisy, nawet groźby.

Między innymi powiedział swym towarzyszom niedoli:

— Wszystko nam wolno, tylko nie dać się złapać. Proszę o tem nie zapominać. Proszę zadowalać się życiem skromnem, niehałaśliwem, dyskretnem. A co najważniejsze: niech nikt nie wychodzi z groty, choćby tylko na krótko. Musimy pozostać tu ciągle, bo dokoła czyha niebezpieczeństwo; zewsząd otacza nas teren nieprzyjacielski. Kto chce odetchnąć świeżem powietrzem, może to uczynić wieczór, w dwie lub trzy godziny po zachodzie słońca. Polanka przed głównem wejściem do groty jest dosyć pewna o tej porze; tam możecie spacerować, posiedzieć sobie jakiś czas na pniakach. Ale cichutko; ani mówić ani śpiewać nie wolno. Wątpię, żeby ludzie z miasta przechadzali się pociemku w lesie. Gdybyście mimo to ujrzeli raz kogoś obcego w pobliżu groty, musicie go natychmiast schwycić, i pozostanie na zawsze z nami. Żeby nie rozapałał, co widział.

Te rady czy przepisy wcale nie były głupie. Lecz sam lord bynajmniej się ich nie trzymał. Chyba tylko przez ten czas, który spędzał „pod ziemią“.

Ale jak wiadomo, miał on jeszcze drugie życie. Od rana do jedenastej godziny wieczór spełniał różne obowiązki w mieście. Tak jak każdy inny lojalny obywatel nowego państwa, którego panem rzekomo był lud, a w istocie Sprawiedliwy, część dnia w jakiejś fabryce chemicznej,

a resztę w owej restauracyjce, w której do niedawna pracował i Piotr. Dopiero na noc wracał do pieczary i do swych towarzyszków.

Dlaczego on jeden żył i tam i tutaj?

Powody dość były złożone i wielorakie. Były i takie, o których właściwie sam nie wiedział. Lecz towarzyszom tłumaczył:

...Bo przecież musicie mieć zaufanego w mieście. Sprzymierzeńca, któryby wiedział zawsze, co się tam dzieje. To bardzo ważne. Pierwszy z was usłyszę, jak wybije godzina wolności naszej i przyniosę wam zaraz radosną nowinę. — To jest moje zadanie. Informować się dokładnie o wszystkich ważniejszych wypadkach politycznych i społecznych w państwie. W razie nadchodzącej burzy natychmiast was przestrzec. A może i zażegnać grożące wam niebezpieczeństwo.

— Tak — dodał ciszej — nie jest wykluczone, że czasem wypadnie mi także działać.

Bo natura jego potrzebowała i tego działania, tego ruchu — „czasem“. — To był może najważniejszy powód, dlaczego część życia swego spędzał na powierzchni ziemi. Ale tylko część. Bo niekiedy musiał także „marzyć“, jak raz powiedział Piotrowi. ‘

Odkrył był grotę, ale nie był w stanie przebywać w niej bezustannie. Zwarjowałby z niecierpliwości, z niepokoju, z nudów. Lecz nie był też wyłącznie człowiekiem woli i czynu; tęsknił nieraz za spokojem, za snami, za „tamnym światem“.

Więc dorobił sobie rozsądne argumenty do swych naturalnych potrzeb. A towarzysze dali się łatwo przekonać. Tylko zazdrościli mu pokryjomu, że może tak żyć, jak mu się podoba.

A najbardziej zazdrościł mu Piotr. Naturalnie, bo był dopiero od niedawna w grocie. Jeszcze nieprzyzwyczajony do nowego bytu; tak jak dusza w pierwszych chwilach po swem rozstaniu się z ciałem.

Przystąpił raz do niego lord, który go od pierwszego dnia ciągle obserwował.

Zapytał: •

— Jakże podoba się Panu u nas? Zdawało mi się, że Pan westchnął.

— O nie — odpowiedział Piotr — tu jest bardzo... wielki spokój. Tylko czasem...

— Co czasem?

— Myślę o tem, co zostawiłem w mieście. Gdyby nie to, byłoby wszystko dobrze. Bardzo tu jest miło, rzeczywiście.

— A cóż Pan tam właściwie zostawił?

Piotr zawahał się. Potem powiedział:

— Matkę.

— Ach tak.

— Właśnie. Pewnie bardzo się martwi z mego powodu.

— Tak.

— Może Pan słyszał coś o niej?

— Owszem... Narobiła dość hałasu. Zaalarmowała cały świat. Była między innymi i u mnie.

— Więc nie wie, gdzie ja jestem?

— Skądże! Nie wie nawet, czy Pan wogóle żyje.

— O, to bardzo...

— Przykre, niewątpliwie. Ale cóż robić! Nie mogłem uspokoić Pańskiej matki, bo byłbym naraził przez to nas wszystkich...

— Moja matka nie zdradziłaby tajemnicy.

— Bądź co bądź trzeba być ostrożnym. Ona ma niestety przyjaciółkę. Niejaką Koreę, dość niepewną osobę, bo kochankę komisarza.

Piotr milczał. Widziało się, że walczy ze sobą. Wreszcie zapytał, nie patrząc lordowi w oczy:

— Czy nie byłby Pan łaskaw, pójść do mojej matki i dowiedzieć się...

— O co Panu chodzi?

— Czy nie była u niej w ostatnim czasie pewna... osoba imieniem Genowefa. Bo ciekaw jestem, jak się jej powodzi...

— Owej Genowefie?

— Właśnie... I jak przyjęła wiadomość o mojem nagłym zniknięciu. Zrobi Pan to dla mnie?

— Nie. Rozumie się, że i tego nie zrobię.

— Dlaczego? — spytał Piotr gwałtownie. — Przecież to drobnostka. Nie pojmuję, coby to Panu szkodziło.

— To wykluczone. Proszę się zastanowić. Gdybym spełnił Pańskie życzenie, wiedzianoby natychmiast, że widuję się z panem, że jestem z nim w ciągłym kontakcie. Byłoby to poprostu szaleństwem. Czy Pan tego nie uznaje?

— Uznaję — rzekł Piotr bardzo cicho.

Lecz biegła tam i sam, jak dzikie zwierzę w klatce.

— Ładna historja, — pomyślał lord, — więc tu naturalnie nie chodzi o matkę, tylko o tę cenną Genowefę. Niech ją djabli wezmą! Przedsięwziąłem sobie, że nie będę wprowadzał do groty ludzi, których wiąże coś zbyt silnego z miastem, a więc przedewszystkiem pod żadnym warunkiem zakochanych. Bo to niebezpieczniejsze od materiałów wybuchowych. No, ale niema rady. Wy-

rzucić go stąd nie można. Nie pozostaje nic innego, jak ustawicznie pilnować, żeby nie eksplodował i nie wysadził nas wszystkich w powietrze.

Zresztą Piotr nie był jedynym, którego musiało się pilnować. Znajdowali się w grocie i inni młodzi ludzie. Niezbyt liczni, ale aż nadto wszędzie było ich pełno. Czy i oni żyli tylko w snach i w nierzeczywistości? Bądź co bądź byli głośni i żywi. Trzeba było uważać, żeby nie przeszkadzali starszej poważnej większości, która wiodła żywot spokojny, kontemplacyjny.

Lecz młodzież trzymała się i tak zdaleka od reszty towarzystwa. Najczęściej była w ruchu. Zdaje się, że się nie nudziła, bo składała się z płci jednej i drugiej.

Parami rozbijali się po grocie. Lubili płynąć we dwoje łódkami po słabo oświetlonym jeziorze. Chętnie przesiadywali w altanach ozdobnych, które wyglądały jak drzewa owocowe kwitnące w różnych kolorach. Klimat był jednostajnie ciepły, łagodniejszy, niż w północnych Włoszech.

Brakło błękitnego nieba. Ale wracając do domu, nieraz bywali pijani, nie tyle z wina, co ze swej młodości. I mimo lorda i jego przepisów często śpiewali, głośno, wesoło i fałszywie. Zbliżając się jednak do tej części pieczary, którą nazywano „wielką salą“, natychmiast milkli. Jęli chodzić na palcach i upominać się wzajemnie:

— Cicho! Pst... cicho!

Bo w tej wielkiej sali siedziało wszystko, co miało rozum, dużo lat albo piękny tytuł, niejako „cała grota“. — Najbardziej znani i szanowani przedstawiciele mieszczaństwa, sztuki, nauki, arystokracji.

W sali mówiło się szeptem albo nie mówiło się wcale. A przedmiotem rozmowy i milczenia zawsze była prze-

szłość... Panował tu pewien chłód. Tak z powodu poważnego wieku obecnych, jak i z ich myśli i słów, których treścią były dawne, martwe czasy.

A w trzy godziny po zachodzie słońca widać było przez odsłonięty otwór w skale ową polaną, gdzie wolno było jakiś czas używać wieczoru, zapachu zieleni i świeżego powietrza. Lecz starsi państwo nie korzystali z tej miłej sposobności. Pozostawali w sali, zadowolając się patrzeniem. Tak dalece przyzwyczaili się już do siedzenia i do bierności w życiu.

A na dworze, na zrębach, siedzieli tylko młodzi, którzy przedtem śpiewali i pływali łódkami. Teraz musieli milczeć. Lecz patrzyli sobie w oczy i śmiali się do siebie. Zdawało się, że jeszcze śpiewają. Była pełnia księżyca.

XI.

Tylko część ludzkości przychodzi w mieście na świat. Chwała Bogu. Może tylko temu świat zawdzięcza, że żyje dalej.

Niemy był ignorantem, kiedy przywędrował do miasta. A jednak niejedno mu się udało. Miał pomysły. Wynałazł między innymi, jako zwykły robotnik w fabryce fortepianów, coś niesłychanie na tem polu nowego.

— Tylko nie daruj fabrykantowi twego wynalazku — radził mu pewien młodzieniec, słuchacz medycyny i agitator polityczny — niech nie korzysta z niego kapitalizm, lecz dobra sprawa.

Wykład medyka o tem, co nazywał dobrą sprawą, trwał tem dłużej, że Niememu brakło wykształcenia. Ale student nie stracił cierpliwości, tylko gadał i pluł kilka godzin.

Co za obrzydliwie mądry człowiek, myślał Niemy. Lecz ostatecznie oświadczył:

— Teraz zrozumiałem.

Tak odbyło się spotkanie dwóch wielkich mężów, o którym pisał Mr. Blyte w swoim liście.

Obecnie był dawny robotnik kanclerzem państwa i do-
tąd służył jeszcze owej sprawie, którą raz zrozumiał. Dla
porządku. Był pod tym względem prawie pedantyczny.
Lecz nie zmieniły się i uczucia, jakie rozbudziła w nim
kiedyś osoba Sprawiedliwego, przy pierwszym spotkaniu.

Myślał i teraz:

— Strasznie inteligentny. Nieocenione są jego za-
sługi. Ale ja go nie cierpię.

Męczył się z tego powodu. Bo zresztą był szczerzy aż do grubiaństwa wobec ludzi, których nie znosił. A tu musiał grać komedję ze względu na „dobrą sprawę“. Wstydział się, a nawet pogardzał sobą za to, że traktuje prezydenta za dobrze — czyli, że jest wobec niego fałszywy.

Tylko czasami, w cztery oczy, mówił Sprawiedliwemu prawdę. Najczęściej w formie owych żartów, których nikt nie rozumiał.

— Proponuję — rzekł raz do niego Sprawiedliwy, uśmiechając się przytem niby ironicznie, ale i bojaźliwie — żebyśmy się wspólnie fotografowali.

— Foto...

— Tak, właściwie uważam to za konieczne.

Niemcy otworzył szeroko oczy. Potem z najpoważniejszą twarzą w świecie zaczął odśpiewywać wszystkie hymny oficjalne dawnej Europy. — —

Sprawiedliwy zatkał sobie uszy.

— Dosyć już, dosyć — prosił, krzywiąc się nerwowo — przestań-że nareszcie. Przecież nie chodzi mi o małpowanie dawnych cesarzów i królów, tylko...

— Boże Cara hrani... — ryczał kanclerz.

— ...tylko dla celów politycznych. O lud mi chodzi, czy nie rozumiesz? O naszą popularność. Manifesty i odczyty to nic. Trzeba, żeby nas ujrzeli razem, na jednej fotografii... Żeby w ten sposób wystąpić przeciw owym niegodziwym plotkom, które kursują o nas w mieście.

Niemcy przestał wyc.

— Jakim plotkom? — zapytał ciekawie.

— Mówią... myślą, żeśmy się pokłócili z sobą. To niesłychane! Fantazja ludzka przechodzi wszelkie pojęcia.

Powtarzają słowo w słowo jakąś scenę między mną a tobą, która odegrała się jakoby w dniach ostatnich... zmyśloną od A do Zet.

— Zaczynj od Zet.

— Co?

— Co powiedziałem do Ciebie przy końcu sceny?

— Ależ przecież nie było jej wcale...

— Czy nie powiedziałem ci: jesteś zbrodniarzem!? spytał Niemy, patrząc przed siebie jakimś sennym wzrokiem.

— Tak — szepnął Sprawiedliwy jakby przerażony — tak opowiadają w istocie...

— I nie powiedziałem Ci: ja Ciebie wydalę, napędzę do stu djabłów?! — pytał Niemy dalej:

Sprawiedliwy wytrzeszczył oczy.

— Skądże wiesz i ty o tem? — Skąd? — Przecież nigdy nie mówiłeś do mnie naprawdę w ten sposób.

— Nie? — Nie.

— A więc! Zresztą może być, że słyszałeś o tem na mieście. — Co? Albo może dowiedziałeś się o te plotce od policji? Czy i ty każesz sobie przedkładać raporty? POCO?

— Żeby się tem...

Niemy zrobił nieprzyzwoity gest ręką. Poczem zaśmiał się znowu głośno, dziecinnie.

Prezydent zapytał niecierpliwie:

— Więc cóż? Damy się fotografować? Jestem-że godzien tego zaszczytu, czy nie?

— Niech tam! — mruknął Niemy.

Nie brzmiało to zbyt uprzejmie. Bądź co bądź zgadzał się.

Następnej nocy miał jednak Niemy jeden z swóich częstych — bezwątpienia atawistycznych — napadów złego (czy też zaniepokojonego) sumienia.

— Nie, nie — rzekł głośno — przecież tego nie zrobię.

— Co tobie? — zapytała małżonka jego Katarzyna.

Nie dał odpowiedzi, tylko nagle wyskoczył z łóżka, usiadł przy stole i zaczął pisać karteczkę do Sprawiedliwego. Mniej więcej tak:

„Rozmyślałem się, nic z tego. Nie chcę tej małej komedji. Nasza wspólna fotografia byłaby poprostu oszukaństwem. Bo ja Ciebie nienawidzę (podkreślił to słowo) i nie chcę występować przed światem jako twój przyjaciel.

— Punktum — oświadczył głośno — teraz między mną i nim wszystko skończone. Instykt kobiecy Katarzyny, subtelny i nieomylny, pouczył ją, o co chodzi.

— Chwała Bogu — westchnęła z wielką ulgą.

A on wysłał karteczkę natychmiast, w nocy. Lecz nazajutrz wcale się nie cieszył z tego, co zrobił. Nie tyle ze względu na treść, co na formę napisanego przez siebie listu...

Zdanie: „ja Ciebie nienawidzę“, wydawało mu się zbyt szczere, zbyt patetyczne przy świetle dziennem. Zaczernił się, kiedy pomyślał, że niebawem, a w każdym razie jeszcze tego samego dnia, zejdzie się z adresatem.

Jak zwykle, to, czego się obawiał, odbyło się w rzeczywistości całkiem inaczej. Przy najbliższem spotkaniu Sprawiedliwy miał dość trzeźwy, obojętny wyraz twarzy. Zauważył rzeczowo:

— Czy jesteś moim przyjacielem czy nie, ma w tym wypadku podrzędne znaczenie. Tu chodzi o politykę. Mówiłem ci, że zdecydowałem się na to ze względów taktycznych. Zresztą fotograf już zamówiony.

Wściekłość Niemego już przeszła, więc czuł się bezsilny.

Po takich wybuchach, które nie pociągały za sobą najmniejszego oczyszczenia powietrza, czynił znowu kanclerz jak najposłuszniej wszystko, czego od niego żądano, ponuro, z rezygnacją. Przez jakiś czas zaniechał nawet swych t. zw. żartów, nie pisywał żadnych karteczek.

Katarzyna — osoba, której nikt nie znał, religijna, (jak niewiasty w dawnych czasach) i, o czym nikt nie wiedział, także według praw kościelnych, Niemego żona — tak samo, jak jej mąż niecierpiała Sprawiedliwego. Dotąd spotkała go tylko kilka razy w życiu, a jednak był jej sercu znany jak wróg odwieczny. Miała o nim wyobrażenie tak naiwne, pierwotne, jak lud o postaciach, które widuje na lichych, strasznie kolorowych obrazkach.

Był dla niej poprostu djabeł. Jemu przypisywała te wszystkie zbrodnie, które od początku rządów „Nieprzyjaciół bogatych“ nazywały się sprawiedliwością, administracją albo uporządkowaniem stosunków. On był jednak i sprawcą wszystkich innych nieszczęść w jej domu i w kraju.

Martwił się czemś Niemy, wzdychał, nie sypiał lub nie jadał, to Katarzyna mówiła:

— Przeklęty Sprawiedliwy.

Zawsze on był winien, wszystkiemu on. Także temu, że jej mąż odwrócił się od Boga, zgadzał się na tysiące wyroków śmierci, podpisywał odezwy, w których było mnóstwo śmiertelnych grzechów.

Mieli syna, nazywał się Spero. Widywali go dziwnie rzadko. Ukończył już osiemnaście lat i znał obcych ludzi lepiej niż własnych rodziców. Według nowych pojęć było to w porządku, korzystniej dla społeczeństwa. A kiedy raz ciężko zaniemógł i leżał w szpitalu, stała Katarzyna przy jego łóżku i modliła się w duszy:

— Nie zabij go, Panie. Ukarz Sprawiedliwego.

Proście jej stało się zadość — po części. Najwyższy władca w państwie miał się wprawdzie tak wyśmienieć jak przedtem, ale i Spero począł niebawem przychodzić do siebie.

— Przecież mój syn pokonał diabła — cieszyła się Katarzyna.

Zresztą pogromca diabła niesłychanie był szczupły, cichy, napozór nieśmiały. Mówiono, że skromny, bo nigdy się nie chwalił swoim znakomitym ojcem. Pochodziło to stąd, że interesował się mniej wysokimi urzędami, niż n. p. takimi bohaterami jak Cyd albo Hamlet. Do teatru chodził.

Deklamował wiersze, kiedy raz przysłała do niego matka. Głośno, choć był sam w pokoju. Katarzyna słuchała pod drzwiami, lecz kiedy weszła, Spero natychmiast ucichł.

— Ślicznie, cudownie — unosiła się matka — dalej, Spero! Nie zważaj na mnie. Proszę bardzo, mów dalej!

— Kiedy właśnie skończyłem.

— O, jaka szkoda! Zdawało mi się, że słyszę głos wielkiego aktora.

— Dopiero się uczę.

— Ale masz ogromny talent, mój drogi. To Ci sprawia chyba dużą przyjemność.

— Tak.

— Twemu ojcu nie robi mówienie żadnej przyjemności. To dziwne! Ciekawa jestem, po kim masz ten dar osobliwy.

Czuła jednak wyraźnie, że mu strasznie przeszkadza. Uśmiechała się bezradnie, zakłopotana. Spróbowała jeszcze raz:

— Możebyś zechciał przecie... Pomyśl sobie, że mnie niema w pokoju... Choćby dziesięć wierszy... Żebym choć raz posłuchała twego pięknego głosu.

— Kiedy mój głos nie znosi żadnych słuchaczy. Natychmiast staje się sztuczny, niemiły, chrapliwy. — Bardzo żałuję, ale...

Więc dała za wygraną. A kiedy niedługo potem odeszła, Spero spojrział kilka razy niespokojnie na zegarek, potem wstał, wyglądał oknem.

— Nareszcie! — wykrzyknął po chwili.

I weszła do pokoju inna kobieta. O wiele młodsza i ładniejsza niż Katarzyna. Była to jego kochanka, więc naturalnie nie przeszkadzała mu ani trochę. Tak, jej odczytał potem kilka gęsto zadrukowanych stronic, a obecność jej nie wpływała wcale ujemnie na dźwięk jego głosu.

Coprawda była to znana artystka. Wybitna, ogólnie lubiana aktorka Gema.

XII.

Była dobrą koleżanką. Nie była złośliwa, kiedy siedziała na dole, w ciemnym parterze teatru i przypatrywała się obcym próbom. Bez zastrzeżeń chwaliła grę wszystkich aktorów znajdujących się właśnie na scenie. A czyniła to nadzwyczaj oględnie, tak że nigdy nie czuli się dotknięci jej pochwałami artyści, którzy chwilowo nie brali udziału w próbie. Tak delikatną była, czy też — tak ostrożną.

I była ładna; miała cerę kwitnącą naturalnie, różowo, i usta dziecka, uśmiechające się szczerze, rozrzutnie do wszystkich. Mimo to nie wzbudzała zazdrości. Inne kobiety mówiły o niej spokojnie, że „bardzo miła“ — jak mówią zazwyczaj o tych, które właściwie lekceważą.

Chociaż jej nikt nie lekcewał, a nawet tu i owdzie jej się bano. Mówiono, że może być niebezpieczną, mimo swą słodycz pozorną.

Czy wiedziało się, choćby tylko w teatrze, o stosunku, który ją łączył ze Sprawiedliwym? Nie wiedział nikt — tylko wszyscy o tem mówili. Wspominali o tem napół serjo, jak o znanej bajce. Temat do rozmowy — nic więcej. Jeśli ktoś się odważył spytać ją wprost, czy to prawda, śmiała się swobodnie. Poczem śmiał się i ten, który ją zapytał, jakby przed chwilą tylko zażartował. A mimo to „plotka“ dalej żyła. Tak uporczywie, tak długo, jak żyją sławne podania.

I choć nikt nie brał go dosłownie, podanie miało pewne znaczenie, jakąś nieokreśloną siłę. W owych cza-

sach sceptycyzm miał tak mało odwagi, jak wiara. Czuło się: nie można wiedzieć. — Najbezczelniejszy nie ośmielił się, głośno zawołać: niema ani Boga ani szatana. Bo za dużo nieprawdopodobnych rzeczy przeżył świat w ostatnich latach. Więc może Bóg lada dzień dowieść istnienia swojego przez nowy potop, a szatan może już rządził w państwie, które coraz bardziej stawało się podobne do piekła.

Więc obchodzono się z różową Gemą, jak ze zgniętym jajkiem. I zwracano się do niej, jeżeli ktoś miał t. zw. interes i potrzebował do tego bardzo silnej protekcji.

— Pani ma taki wpływ, tyle znajomych — mówili wszyscy, mając na myśli tylko Sprawiedliwego.

A ona, mimo swą skromność, nie przeczyła nigdy, że ma cenne koneksje.

— Spróbuję — odpowiadała bardzo uprzejmie — choć naturalnie może mi się nie udać.

O, udawało jej się zawsze. Choć szła z swoją prośbą zawsze do kogoś innego. Często do wielkich, ale jeszcze częściej do owych małych, którzy są nieraz tak wielcy. I nigdy nikt jej nie odmówił. Ze względu na owo „podanie“.

I tylko do Sprawiedliwego nie udawała się nigdy. Chociaż tylko jemu zawdzięczała swój wpływ bajeczny. On sam nie wiedział nic o tym wpływie. — Była za sprytną, żeby go prosić o cośkolwiek — choćby tylko dla siebie. Czuła, że prezydent za mało rozumie sam, co to bezinteresowność, żeby nie wymagać tej cnoty surowo od wszystkich innych ludzi.

Ale raz miała Gema prośbę do swego własnego dyrektora. Zdarzało się to tak rzadko, że zrazu poprostu się przeląkł.

— O co chodzi? — zapytał — zgodzę się na wszystko, tylko nie na urlop.

— Narazie nie potrzebuję, choć mi się należy.

— Pani jest niezbędną. Bez Pani musielibyśmy zamknąć teatr.

— Bardzo Pan miły, że Pan tak mówi. Ale dzisiaj przychodzę z czemś innym. Odkryłam młody talent.

— Cudownie.

— Czy w zasadzie gotów Pan zaangażować osiemnastoletniego, wyjątkowo zdolnego aktora?

— Natychmiast — obiecał lekkomyślnie dyrektor. — Któż to taki?

— Imię jego jest Panu z pewnością nieznanie. Dotąd nigdy jeszcze nie występował publicznie. Nazywa się Spero.

— Całkiem słusznie, skoro narazie jest tylko piękną nadzieją. Bądź co bądź chcę z nim pomówić.

— Zaraz?

— Ach, więc on już czeka w przedpokoju — zdziwił się kierownik teatru.

Kazał poprosić młodzieńca. A kiedy go ujrzał, był niemało zdumiony. Bo adept miał wprost olśniewające zewnętrzne warunki. Był tak piękny, że dyrektor spojrzawszy szybko, pytająco, prawie podejrzliwie na Gemę, która mu na to zaraz odpowiedziała oczami:

— Nie, Panie. Pan się myli. Zresztą zapewne Pan słyszał, że mam już inne, dawniejsze zobowiązania.

Poczem — już głośno — poprosił dyrektor młodzieńca:

— Może Pan coś powie. — Wierszem albo prozą.

Spero zaczął coś z Hamleta, ale już w pierwszym wierszu zaplątał się, stanął, i ani rusz dalej. Miał bezwarun-

kowo głos niezwykle piękny, ale zdawało się, że zemdleje z wielkiego strachu. Daremnie sufłowała mu Gema. Perswadowała mu: uspokój się, Spero.

Mówią sobie ty, pomyślał dyrektor.

— Nie bój się, Spero, przecież niema najmniejszego powodu.

Potem do dyrektora:

— Gdyby Pan wiedział, jak on cudownie mówi ten właśnie ustęp, kiedy mówi tylko przede mną. W tej chwili nie może dlatego, że Pan jest przy tem.

Dyrektor uśmiechnął się ironicznie.

— Droga Pani, wieczór, w teatrze, będzie przy tem jeszcze dużo innych.

— Przyzwyczai się z czasem — zapewniała Gema — to tylko teraz, z początku.

— Pan będzie łaskaw odczytać coś z książki — zaproponował dyrektor.

I Spero kilkanaście minut czytał.

— Bardzo... hm — mruknął dyrektor — osobliwy organ, niepospolity...

— Nieprawdaż? — ucieszyła się Gema — to zabarwienie głosu pochodzi z księżycy.

— Skąd?

— Z księżycy. Bo on w nocy...

— Gemo! — przerwał jej Spero — prosiłem tyle razy. — Przecież to nikogo nic nie obchodzi.

Dyrektor zapytał nagle bezczelnie, prosto z mosta:

— Państwo znają się dobrze, co? Może pokrewieństwo?

Gema spuściła głowę.

— Nie — rzekła bardzo cicho.

Brzmiało to prawie tak, jakby przyznała się do winy.

Po chwili dyrektor oświadczył:

— Rzecz ma się tak: Jeżeli istnieje teatr, który ma prawo do Pańskiego nadzwyczaj oryginalnego głosu... księżycowego, to jest nim rozumie się tylko nasz teatr, państwowy... Nie potrzebuję jednak mówić — Pan to chyba sam czuje — że aktor z takimi nerwami, jak je ma Pan obecnie, byłby wprost niemożliwy. Trzeba koniecznie poradzić się specjalisty, odbyć jakąś nudną kurację wodną czy też elektryczną, a dopiero potem... Przed rozpoczęciem nowego sezonu zechce mię Pan znowu odwiedzić. — Liczę na to. — Wtedy — zobaczymy.

Pożegnali się.

— Mogłaś mi oszczędzić tej sceny — rozgniewał się Spero — co za upokorzenie!... Jak on ze mną mówił!

— Jakto? — zdziwiła się Gema — przecież powiedział... wyraźnie...

— Powiedział: zobaczymy. Co za afront! Jak on śmiał, ten nadęty kabotyn, mnie — mnie coś podobnego.

Sprzeczali się z sobą podczas długiej drogi do willi artystki, wydatnie, głośno, gwałtownie. Jak dwoje bardzo młodych kochanków. I co do Spera, to istotnie bardzo był młody. Wiek Gemy natomiast był tajemniczy.

Zresztą wolno mu było odprowadzić ją zawsze tylko do progu jej domu. Ona odwiedzała go często, ale on nie był jeszcze nigdy w życiu w jej ślicznym mieszkaniu. A przeszkodą był Gemy... opiekun.

Spero przywykł już do tego, że ów stary człowiek — dotąd nie wiedział, jak on wygląda, bo ani razu się z nim nie spotkał — psuł mu swą egzystencją najśłodsze dni życia. Ale w tej chwili irytowała go myśl o opiece więcej, niż kiedykolwiek. Naraz zaczął o nim mówić z pasją i jakoś dziwnie podejrzliwie.

— Chciałbym przecież raz go zobaczyć. Chciałbym wreszcie przekonać się naocznie, czy ten jegomość, który cię tyranizuje, rzeczywiście ma siwe włosy i jest bliski grobu.

— Nie tyranizuje mnie bynajmniej — stwierdziła Gema, tak z pewnego poczucia sprawiedliwości, jak i może z pewnego uczucia dla Sprawiedliwego.

Poczem kłamała gładko, wprawnie, pogodnie:

— Mógłby jednak być twoim dziadkiem. Więc czekaj spokojnie, mój kochany. Zdaje mi się, że warto. Czasu masz dosyć. Przetrawsz wszystko, co ci teraz zagraża drogę.

— Przecież nikt mi nie zabroni ożenić się z tobą zaraz, — mówił Spero — według praw dzisiejszych nie potrzebuję wcale zezwolenia opiekuna.

— Ale w każdym razie mego — rzekła artystka spokojnie, — a ja teraz nie chcę. Teraz masz myśleć wyłącznie o twojej sztuce a nie o tem, żeby zostać moim mężem. Kiedyś o tem pomówimy, Spero.

— Tak jak dyrektor — zauważył Spero gorzko — wszystko kiedyś, później.

— Właśnie. Teraz idź się uczyć. Już dawno słońce zaszło.

Rozpoczął zawsze późno wieczór swą artystyczną pracę. Zawsze gdzieś pod gołym niebem. Wybierał miejsca puste, zaciszne. Mówił głośno wiersze na opuszczonych, białych gościńcach. Albo na łąkach rozległych, które w ciemności lub przy świetle księżyca robiły takie wrażenie jak morze. Przytem odkrył cudowny wpływ takich miejsc odludnych i sennych na swoją sztukę. Przedewszystkiem na dźwięk swego głosu. W otoczeniu, które niczem nie przypominało spraw ludzkich i trzeźwej

codzienności, głos ten nabrał owego dziwnego tonu, o którym mówiła Gema, że „pochodzi z księżycy“.

Najpierw szedł ślepo, długo, aż znalazł się w okolicy, której wcale nie znał. Bo z początku szalała burzą w sercu jego. Myślał tylko o tem, co było między nim a Gemą. O życiu swoim, nie o sztuce.

Kiedy uspokoił się trochę, ujrzał las, w którym dotąd nie był nigdy. Zaczął mówić głośno... i przestał. Nie, pomyślał, tu brak akustyki, której mi trzeba, i brak nastroju. Tu za duszno, za ciemno. I poszedł dalej. Jakiś czas kręcił się w kółko; powracał do tych samych miejsc. Denerwował się, czas tracił. Kiedy spojrzął na zegarek, było już dobrze po jedenastej. Księżycy jakoś tym razem nie było, lecz świat lśnił się przecie; widziało się wszystko wyraźnie.

Coś w rodzaju łąki otoczonej gęstwina, na niej pniaki jakies czy kamienie.

Żeby usłyszeć siebie samego, spytał Spero głośno:

— Co się bieli tam za drzewami, na prawo?

Nie; to nie brzmiało jeszcze tak jak zwykle. Głos był zamglony, nieczysty. Jakby szron na nim leżał. Może jego wina; bo jeszcze nie zapomniał wszystkiego, co niedawno przeżył. Powtórzył:

— Co się bieli tam za drzewami...

Mówił jeszcze energiczniej, apostrofował niejako, upominał swój głos nieposłuszny:

— Oswobodź się! Nie słyszysz? Oczyść się z brudu rzeczywistości! Podnieś się, rozwiń skrzydła, leć w tę noc, leć w świat!... Co jest tam na prawo? Co się bieli tam za drzewami?

— Mur cmentarza — odpowiedział ktoś naraz.

Spero zadrżał, odwrócił się. Postać stała za nim, kobieta. Sama, snuć, bardzo przestraszona.

— Kto Pan? — pytała — czego Pan chce?...

Nagle krzyknęła:

— Na pomoc!

Choć Spero nic jej złego nie czynił. Nagle zjawilo się więcej ludzi; niewiadomo skąd się wzięli. Aktorowi zdawało się, że podnieśli się z pniaków, na których przedtem spoczywali. Otoczyli go z wszystkich stron, zasympali go mnóstwem słów gorączkowych choć cichych:

— Kto Pan?

— Skąd Pan przyszedł?

— Pan szpieg!

— Cicho!... Czy Pan chce nas zdradzić?!...

— Zwiążcie mu ręce i nogi!

— Zaprowadzić go zaraz przed sąd! Do groty!

Strasznie to wszystko odbyło się teatralnie. Bo Spero był pierwszym człowiekiem zaaresztowanym na polance przed grota. Przez zorganizowaną dopiero co na wszelki wypadek „policję“, która się składała wyłącznie z młodzieńskich pań i panów, z tych samych znowu, którzy tak przepadali za śpiewem i za wioślarstwem — i naturalnie odznaczała się trochę przesadną gorliwością. Bo młodzież zawsze gra teatr, gdy ma spełnić jakieś bardzo poważne zadanie. Ścisłe rzecz biorąc, niepotrzebnie go zwiążali. Przytem aresztowało go zbyt wiele osób. Nie był bynajmniej tak strasznie silny i niebezpieczny. Lord, który dopiero co powrócił do domu, ledwie mógł powstrzymać się od śmiechu, kiedy w uroczystym orszaku przyprowadzono do niego więźnia. Lecz rzekł bardzo poważnie:

— Dziękuję Państwu. Czy został przytrzymany? Kiedy?

— Przed chwilą, na polance.

— O godzinie jedenastej minut dwadzieścia.

— Nie, dwadzieścia trzy. — Stał na środku łąki i krzyczał.

— Naturalnie umyślnie.

— Widocznie dawał znaki... Chciał nas zdradzić.

Lord powtórzył:

— Dziękuję. Proszę pozostawić nas samych. Zaraz zacznę go przesłuchiwać.

Widząc, że młodzież jest rozczarowana rozkazem, dodał prędko:

— Możecie stać przed drzwiami na warcie.

To pocieszyło cokolwiek poczciwą policję.

— Proszę usiąść — rzekł lord uprzejmie do Spera, kiedy zostali sami.

Młodzieniec zaczął natychmiast:

— To nieporozumienie. Oni myślą, że jestem szpiegem. Jakim szpiegem, poco? Nie pojmuję, nie wiem, o co chodzi. Jestem tu pierwszy raz. Znalazłem się tu przypadkiem...

— Wiem, rozumiem — uspokajał go lord dobrotliwie.

— Nigdy w życiu nie widziałem tego miejsca. Nie wiem nawet, co to jest. Przysięgam Panu. Jeżeli jesteście rozbójnikami...

— Ależ nie — zapewniał lord bardzo łagodnie.

— ...To nic mnie to nie obchodzi. Nie mieszam się nigdy do nieswoich rzeczy. Jestem tylko przyzwyczajony uczyć się roli w nocy, w samotności. Jako aktor, interesuję się tylko o tyle ludzką zbrodnią, o ile...

Lord przerwał mu ucieszony.

— Jeżeli Pan artysta, to będzie się Pan czuł u nas świetnie. Spotka Pan tutaj dużo kolegów. Jak tylko

ukończymy naszą pogawędkę, zaraz Pana z kilkoma z nich zapoznam. A teraz...

— Teraz chciałbym wrócić do domu — oświadczył Spero.

Lord spojrział na niego bardzo niby zdziwiony.

— Jakto? Przecież odtąd będzie Pan tutaj w domu. Spero zbladł.

— Powtarzam, że jestem niewinny.

— Ależ to jasne, — odrzekł lord — cóż to ma jednak do rzeczy? Kto raz przyszedł do nas, z tego towarzystwa nie możemy już nigdy zrezygnować.

— Nigdy — powtórzył Spero drżącym głosem.

— Dlaczego Panu tak na tem zależy? — zapytał lord — dlaczego Pan nie chce zamieszkać w tej oryginalnej, malowniczej grocie? Czy może dlatego, że musiałby Pan rozłączyć się z teatrem? Czy tak? Nie chce Pan złamać kontraktu? Gdzie Pan obecnie zaangażowany?

— Dotąd jeszcze nigdzie, ale...

— A więc jest Pan wolny. Doskonale, nic Pan nie straci, tem bardziej, że Pan młody. Ma Pan czas, jeszcze rozmyślić. Tutaj może Pan się zastanowić spokojnie nad kwestją, czy scena jest wogóle odpowiednim zawodem dla niego. Wydaje mi się, że Pan zanadto wrażliwy, subtelny, żeby poświęcić się tak brutalnej sztuce. — Pan zostanie u nas.

— Ale nie jestem wolny. Mam kogoś... kogoś...

Aha, pomyślał lord, znowu. Drugi taki egzemplarz. Zapytał ironicznie:

— Pewnie matkę?

— Właśnie, matkę — odpowiedział Spero, czerwieniąc się po uszy.

Lord „przesłuchiwał“ dalej:

— Pan zapewne zablądził. — Czy spacerował Pan jakiś czas po lesie, zanim wszedł Pan na łąkę? A przedtem? Którą drogą szedł Pan lasem? Czy z miasta?

Spero zastanowił się.

— Dokładnie powiedzieć nie mogę, bo nie uważałem, myślałem o tem i owem, uczyłem się roli. — Ale musiałem być długo w lesie. — Bo nie było jeszcze dziesiątej, kiedy pożegnałem się z osobą, którą odprowadziłem do jej willi stojącej pod lasem...

— Z osobą... jaką? Z kobietą?

Spero zawahał się. — Rzekł po chwili:

— Nie, z mężczyzną.

— Tak? Więc tym mężczyzną był chyba Sprawiedliwy.

— Jakto? — Zdziwił się Spero — dlaczego Pan tak myśli?

— Ależ to rzecz bardzo prosta — odpowiedział lord. — Bo w tej okolicy jest tylko jedna willa. Własność aktorki Gemy. A tę panią odwiedza tylko jeden człowiek — Sprawiedliwy.

— Co?!

— Tak. Jest jej kochankiem — rzekł lord.

I niemal jednocześnie zerwał się z krzesła. Żeby podtrzymać Spera, który się zachwiał.

XIII.

Według kalendarza było jeszcze lato. Lecz kropił deszczyk po jesiennemu, chłodno, bez temperamentu.

A Sprawiedliwy czuł się mniej wyśmienicie, niż dotychczas.

Szedł rozstrojony, z otwartym parasolem, od Gemy — w stronę miasta. Nie zwykłą drogą wzdłuż cmentarnego muru, gdzie przed kilkoma tygodniami spotkał się z ową podejrzaną figurą, która niby czuwała, żeby mu „się nie stało nic złego.“

Mimo to myślał teraz i o tem spotkaniu i o różnych niemniej drażniących go rzeczach. Przedewszystkiem o dziwnym bólu w okolicy żołądka, który od pewnego czasu męczył go nie tyle gwałtownie, co uporczywie. Powiedział sobie znowu, jak nieraz już przedtem, że nie będzie się radził żadnego lekarza. Za dużo wzruszeń miał teraz, za dużo przejść rozmaitych, żeby dać się jeszcze maltretować lekarzom, kłaść się do łóżka, być jakiś czas oficjalnie pacjentem.

Dotychczas był silny, bo ufał w swą siłę. Miał tę bezczelność drogocenną, bez której nie byłby mógł istnieć jako wódz stronnictwa walczącego mniej więcej z całym światem, bez którego byłby już dawno kark skrzył.

Aż tu naraz zgłasza się, puka dyskretnie do drzwi akieś лихо. W najniestosowniejszej chwili jakieś nie-domagania tajemnicze, mdłości — żołądek.

I ma wrażenie, jakby te przykrości fizyczne były w związku przyczynowym z wszystkim złem innym,

z przedwczesną jesienią, ohydny czas, niekorzystnymi wiadomościami z frontów. W dodatku ten Niemy, który kazał go śledzić przez indywiduum obdarte... który już wie o Gemie. A z czasem dowie się jeszcze o gorszych rzeczach. O takich, które mu posłużą jako broń przeciw niemu, Sprawiedliwemu.

Zbielał z nagłej nienawiści do swego kanclerza.

Potem ni stąd ni zowąd znowu przypomniała mu się Gema, tym razem nie w sposób miły, pocieszający. Bo tym razem wszystko miało nieprzyjazne oblicze. Nawet ona. Była dziwna tego wieczora. Zazwyczaj tak serdeczna, czuła, uważająca, przyjęła go dziś z jakimś roztargnieniem i taką pozostała do końca. Był to osobliwy, czysto kobiecy rodzaj roztargnienia, fizjologiczny zapewne; coś, co mogło pochodzić tak samo z jakiejś poważnej troski, jak i z drobnego cierpienia „wewnętrznego“.

W takich chwilach mężczyzna czuje się jakby dotknięty, wietrzy jakiś wpływ uboczny, obcy, jakąś bardzo niebezpieczną dla siebie tajemnicę.

A jeśli ją zapytać, odpowiada najczęściej znowu pytaniami.

— Czy się coś stało?

— Stało?

Patrzy na niego, jakby oburzona.

— Skąd takie przypuszczenie?

— Bo... tak jakoś dziwnie wyglądasz.

— Ja? Jak wyglądam?

Sprawiedliwy traci cierpliwość.

— Do diabła... spojrz sama do lustra.

Czyni to prędko, jakby przestraszona.

— Dlatego, że jestem bledsza, niż zwykle?

— To także — wogóle — przedewszystkiem oczy. Takie szklane — twój wzrok taki... tępy.

— Tępy?

On już skacze z irytacji.

— Do stu piorunów... tu nie chodzi o słowa.

Gema odczuwa jego wielkie rozdrażnienie i naraz skarży się na nieznośny ból głowy, który ją męczy przez cały dzień. Ale i to nie jest odpowiedź. Ból głowy u kobiet? To może być wszystko. Ulubiony frazes, coś w rodzaju parawanu.

Widać jednak, że płakała. Może przed godziną, może bezustannie przez kilka godzin. Ból głowy nie jest przyczyną, lecz skutkiem.

— Czy może otrzymałaś jakąś złą wiadomość?

Teraz wyraźnie się złąła.

— Ja? Od kogo? Co przypuszczasz? Czyż znam kogoś oprócz ciebie?

Sprawiedliwy poddaje się. Bo ona nie podda się nigdy. Jest obwarowana, nie do zdobycia.

Zrezygnowany, mówi prezydent coś o swoim cierpieniu, o żołądku.

Teraz ona powinna stawiać mu pytania, lecz tego nie czyni. Maskuje:

— O, biedny!

Poczem wygląda przez okno. Nie okazuje dziś ani śladu swej zwykłej dobroci, czy też litości. Jest opętana. W tem cały sekret. Opętana przez jakiegoś demona, którego specjalnością są kobiety.

A teraz wraca Sprawiedliwy do miasta, pociemku i w deszczu, wraca z niczem, nie zagrzany, nie pokrzepiony, smutniejszy niż przedtem.

Jego cierpienie fizyczne połączone jest z uczuciem lęku, który coraz bardziej się wzmacnia. Myśli, że byłby zgubiony, gdyby w tej chwili przytrafiło mu się coś złego. Bo idzie przez dzielnicę śpiącą. Wszystkie okna już czarne, zasłonięte... Ta myśl nie uspokaja bynajmniej żołądka; przeciwnie, pobudza go do gwałtowniejszych ataków.

Za sekundę zemdleję, czuje Sprawiedliwy. Bo ciało jego coraz słabsze, chłodniejsze.

Staje na ulicy, opiera się o latarnię i czeka cierpliwie chwili, w której straci przytomność.

Lecz słyszy naraz przyjemnie głupią, ciepłą i optymistyczną muzykę katarynki. Źródłem jej mały szynk, czy sklepik, którego drzwi otwarte są gościnnie na oścież. A niebawem wychodzą z tych drzwi dwie osoby; mężczyzna otyły, już starszy, opasany fartuchem, a za nim dziewczyna, ubrana jaskrawo, lecz tanim kosztem, tak jak prostytutki przedmiejskie. Słychać jej śmiech niewinny.

— Naturalnie, Koro — mówi mężczyzna — teraz się cieszysz, bo mię oszukałaś.

— Króliki to rarytas, — utrzymuje Kora — to nie kasza albo kapusta.

— Ale ty dostajesz je darmo od twego pana komisarza.

— To ciebie nic nie obchodzi. W każdym razie zarobisz więcej ode mnie.

Wkońcu rozstali się serdecznie, po przyjacielsku. Kora, zadowolona z interesu, idzie ulicą i śpiewa. Ale przy latarni gapi się, staje. Zaraz poznaje Sprawiedliwego. Po owym podobieństwie z „jej komisarzem“, z którego tak bardzo jest dumną.

— Czy wasza Ekscelencja jest chory? — pyta szepcząc jakby mówiła w kościele.

— Tak — odpowiada on cicho i patrzy na nią wzrokiem konającego.

— Czy mam zawołać ludzi? Co?... Ludzi z tego szynku — ?

— Nie.

Dalej trzyma się latarni. Może być, że nawet stara się być jeszcze odrobinę słabszym, bo czuje wzrok ko-
biecy, który się nad nim lituje.

Kora proponuje nieśmiało:

— Jeżeli Ekscelencja nie brzydzi się zanadto „Czerwonym ptakiem“... to mógłby tam wypocząć na ławce?“

Nie, Ekscelencja czuje się za nędznie, żeby czem-
kolwiek pogardzać. Ale o własnych siłach nie mógłby
dojść do szynku. Więc Kora podaje mu swoje silne
ramię, okryte zielonym atłasem. Pachnie, jak wystrojone
sługi w niedzielę. Ale bucha z niej gorące współczucie:

— Osobny gabinet — mówi dostojnik po drodze.

— Wiem, chambre particulière — odpowiada Kora,
która się zna na tem i wogóle na wszystkich szczegółach
wykwintnego życia. Czy nie byłaby idealną towarzyszką
wysokich osobistości?

Rozprawia się z szynkarzem, cichutko, poważnie,
tajemniczo. A po chwili dostojny gość znajduje się
w miejscu ogromnie pewnem, odosobnionem, dalekiem
od podłej reszty świata.

Sprawiedliwy wychyla kieliszek koniaku i jest mu
przez chwilę lepiej. Na razie nie czuje wcale potrzeby
leżenia na ławie.

— Usiądź — zaprasza dziewczynę, która dotąd stoi
z niesłychanego szacunku.

Mędzy nocą a brzaskiem.

7

Kora siada z pewnem wahaniem. Nie może jakoś uwierzyć w realność chwili.

Myśli:

— To ja, Kora — a bliźniutko mnie on sam — Sprawiedliwy.

— Nazywasz się Kora? — pyta wielki człowiek.

— Do usług, Ekscelencjo.

Rumieni się. Tak ją cieszy to „do usług“.

Potem:

— Przepraszam za śmiałość, ale Wasza Ekscelencja raczy być ogromnie podobny do mego komisarza, czyli, że się tak wyrażę, do mego narzeczonego.

— Co, ty masz komisarza?

— Do usług. Więc jak restaurator mnie zapytał, kto Wasza Ekscelencja, odpowiedziałam mu: to mój komisarz. Ze względu, że się tak wyrażę, na konieczność dyskrecji. Czyli, że tak powiem, na ludzkie języki. Ekscelencja rozumie?

— Rozumiem — rzekł Sprawiedliwy i spojrział na nią z wyraźnem uznaniem.

Daleko od świata, a jednak go słyszać.

Katarynka gra jakiś taniec niezmiernie słodki, sentymentalny; jak perfumy Kory, albo jak karmelki na jarmarku, owinięte w miłosne wierszyki.

Teraz jestem w stosownem otoczeniu, myśli Sprawiedliwy, w atmosferze ludowej.

— Otwórz drzwi — rozkazuje dziewczynie.

I widać dziwną parę, tańczącą w sąsiednim pokoju przy karmelkowych dźwiękach katarynki. Ona mała, ułomna, z różowemi wstążkami w ciemnych włosach, ma oczy przymknięte, na ustach jakiś prawie pobożny uśmiech

bezwstydu czy zachwytu. — A on, żołnierz, wysoki i silny, wykonywa zadanie swoje ponuro, zawzięcie uroczyście.

Kora uśmiecha się także, ale przytem zezuje tak jakoś ku Sprawiedliwemu, jakby się przed nim wstydziła tańczących.

— To tylko Mucha — tłumaczy, jakby żałowała, że nie może służyć lepszym towarzystwem — odzwierny w ministerstwie.

Sprawiedliwy kiwa głową. Ale niestety znowu nie jest mu dobrze. Kiedy spogląda na tańczącą parę, zdaje mu się, jakby sam kręcił się wkółko. A także wszystko inne, co widzi, czuje i słyszy, sprawia mu przykrość, jak zjawiska w gorączce.

Kora ma jeszcze swój zaambarasowany wyraz; widać jej ząbki, mysie, szpiczaste. Zapach, który z siebie wydaje, jest stanowczo za mocny. Co to może być? Mydło, maść jakaś, woda do włosów?

— Idź — mówi Sprawiedliwy drżącym głosem — chcę być sam.

Ona zrywa się przestraszona.

— Czy mam zamknąć drzwi? Albo przynieść Eksce-lencji jeszcze trochę koniaku.

— Nic, nie — mówi bardzo nerwowo.

Kora wychodzi, na palcach, przesadnie cichutko i dyskretnie, do drugiego pokoju. Tam przerywa zabawę, mówi coś gościom na ucho. I milknie katarynka.

Sprawiedliwy leży na ławce. Widzi przez drzwi otwarte poważnego Muchę, który bez ceremonji rozstał się z swą danserką, a potem udał się do małego stolika, zajętego przez jeszcze dwóch żołnierzy. Z tych jeden jest starszy, kompletnie łysy, drugi zaś młody, żywy, bardzo czarny.

Młody ma wprawdzie w czubie, lecz mimo to nie jest zadowolony.

— Głodny jestem, — oświadcza gwałtownie — pluję na katarynkę, na waszą śmierdzącą wódkę i na całą knajpę — nie potrzebuję. Tem się nie nasycę. Zafundujcie lepiej coś do jedzenia.

Tamci się śmieją pobłaźliwie.

— Dobry sobie! Do jedzenia! To za drogie, kochaneczku, to nie dla nas.

Mucha mówi do niego:

— Wiesz, Piorun, Kora sprzedała gospodarzowi trzy króliki. — Zjadłbyś, co? Ale kto może sobie na to pozwolić? Tylko komisarze. — Nawet kapusta za droga.

Piorun wali w stół pięścią. Głos jego cienki, z pasji i z oburzenia:

— Psiakrew! Nie chcę kapusty! Chcę chleba! Czar-nego, uczciwego, jak się należy. Choćby kawałek twardej skórki. Dlaczego chodzimy do tego szynku i pozwalamy kpić z siebie! Na co ta cała muzyka, pytam? Dla głodnych?... Co będzie potem? Nędza bez muzyki. Cholera! Czy my obywatele? Nie, potępieńce.

Łysy odezwał się:

• — Ot, co jest... Potępieńce. Cały ten świat dzisiaj. Piorun prawdę mówi — siedzieć tu, katarynki słuchać, na kurwy stare patrzeć — to oszukaństwo nic więcej. Ot co... W końcu i tak zgnijemy wszyscy.

Piorun krzyczał:

— Ja tu nie jeden! Za wszystkich gadam! Całe miasto chce chleba! Dlaczego go niema? Gdzie jest porządek, pytam?

— Rozdarty — odpowiedział Łysy.

Młody żołnierz hałasował dalej:

— Prawo, gdzie jest, pytam, prawo?! Dlaczego komisarze nie są tak głodni, jak my? Dlaczego ministrowie rozbijają się w ekwipażach i samochodach po mieście? A gdzie jest właściwie sprawiedliwość tego Sprawiedliwego? Kiedy dotrzyma swą obietnicę i cały lud uszczęśliwi? Lud to ja, słyszycie, lud to my wszyscy! Gdzie szczęście nasze?

— Rozdarte — powtórzył Łysy.

A Mucha mówił:

— Nazywają się „nieprzyjaciółmi bogatych“ — no i co? To słyszeliśmy już tysiąc razy, ale co właściwie z tego? Ale dajcie nam to, co zabraliście bogatym, a wtedy dopiero będę wam wierzył. — Bądźcie „Przyjaciółmi ubogich“!

Piorun powstał z krzesła.

— To dobre, to bardzo dobre — oświadczył blady, pijany, drżący — to powiem im w oczy, tym hultajom przeklętym. Dlaczego, spytam ich, dlaczego nie jesteście „Przyjaciółmi ubogich?“

Mucha zaśmiał się.

— No, no, tego im nie powiesz.

Piorun wrzeszczał:

— Powiem, jak Boga kocham, powiem, powiem! Bo wyczerpała się już moja święta cierpliwość. W tej chwili oto wyczerpała się. Jak mię tu widzicie, bracia moi najmilsi i towarzysze, gotów jestem uczynić wszystko. Bo już dawno wszystko mi jedno i nie boję się ni mąk żadnych, ni więzienia, ni śmierci. Jak dzikie zwierzę jestem.

Sprawiedliwy już od kilku minut nie leżał na ławce, lecz w ciemnym kącie siedział i słuchał. Naraz znikły wszystkie jego bole i mdłości. Tak dalece zainteresował się rozmową żołnierzy.

— Wcale nie jesteś dzikiem zwierzęciem, — drwił Mucha — lecz tylko poprostu osłem. Wolałbyś uważać na to, co mówisz, kochaneczku, żebyś później, jak otrzeźwiejesz, nie pożałował twojej śmiałości.

— Nie chcę już nigdy w mojem życiu otrzeźwieć, — ryczał Piorun — nie chcę, choćbym miał się na zawsze zgubić i zniszczyć.

— Ot co jest — przerwał Łysy — zgubisz siebie i nas, jak nie będziesz uważał. Zapominasz, że tam w małym gabinecie siedzi komisarz Kory. Mówisz tak głośno, że może łatwo usłyszeć.

— Niech słucho cholera, owszem, niech słucho! Czy myślicie, że boję się tej obrzydliwej małpy? Pójdę zaraz do niego i powtórzę mu wszystko, co powiedziałem.

— Piorun! — krzyknęli ze strachem żołnierze. — Ale on podskoczył i pobiegł do drzwi małego gabinetu.

XIV.

Jak odurzony stał Piorun przed Sprawiedliwym. Jakby własną swą odwagą olśniony, spoglądał na wykwintnie odzianego mężczyznę, imponującego mu swą bródką hiszpańską i binoklami w złoto oprawnymi. Wreszcie odezwał się:

— Panu dobrze na świecie.

— A, tak Pan przypuszcza?

— Bo wiem dobrze, kto Pan jest.

— Rzeczywiście?

— Pan jest komisarzem... to znaczy...

— Ależ mniejsza o tytuł.

— ...to znaczy zastępuje komisarza. Pań ma tę dziewczkę, co ma ten drogi kapelusz, Pan ma Korę. — I jest Pan inspektorem przy budowie pałacu rządowego.

To wszystko wypowiedział takim tonem, jakby wyliczał zbrodnie, które popełnił komisarz. Tenże znowu uśmiechał się tak uprzejmie, jakby słuchał komplementów, które mówił mu żołnierz.

— Czy nie zechcesz usiąść przy mnie, przyjacielu? — poprosił Sprawiedliwy.

— Przyjacielu — powtórzył żołnierz szydlerczo. I zaczerwienił się, bo przypomniał sobie najważniejszą prawdę, jaką miał rzec eleganckiemu panu.

— O to właściwie chodzi. — W tem jest właśnie oszukaństwo. — Nazywacie się „Nieprzyjaciółmi bogatych“ — a czy jesteście też nieprzyjaciółmi... to znaczy...

Zaplątał się, wzięła go pasja.

— Niech was djabli wezmą, [psy parszywe, kanalje! Z nędzy naszej żyjecie. Budowa pałacu rządowego, które Pan dogląda, miliony kosztuje. A kto je płaci, pytam? My, lud!

— Rzeczywiście.

— A, rzeczywiście, rzeczywiście, — powtórzył Piorun wściekle — ale my plujemy na wasz pałac! Nie chcemy go, mówię wam. Umieramy z głodu. Dajcie nam chleba czarnego! Czy jesteście na to ustanowieni, żeby... Czy jesteście „Przyjaciółmi ubogich“?

Nareszcie! Przecież powiedział to, co miał powiedzieć. Zmęczony usiadł. Drżącą ręką szukał mechanicznie kieliszka.

Sprawiedliwy nalał mu koniaku z własnej butelki i rzekł bardzo ciepło:

— Doskonale, słusznie. — Z ust mi Pan wyjął. — Poruszył Pan to, co najważniejsze. — My płacimy za wszystko. Lud, to znaczy Pan i ja — za pozwoleniem — ja także. Tak, bo i ja należę przecież do ludu. No i ja wiem, co to głód. O, drogi Panie, nikt nie ma pojęcia...

— Gadanie — przerwał mu Piorun — jest komu się skarżyć! Pan komisarz, dostaje Pan masę chleba, mięsa, pieniędzy — —

Elegant z bródką hiszpańską uśmiechnął się gorzkawo, smętnie:

— Łaskawy Pan ma cokolwiek przesadne pojęcie o życiu małego urzędniczka. — Nie jestem niczem. Egzystuję — na razie. Bo jeszcze nie sprzedano się wszystkich gratów na tandecie. Ale co będzie potem, łaskawco? Może Pan mi powie, bo sam nie wiem. A ponieważ nie wiem, mówię sobie: pał licho, poco chować resztę tych marnych papierków, które i tak nie są nic wartel! Wolę położyć je zaraz na stół, żeby nareszcie raz użyć sobie, najęść się do syta, tak jak... sam...

Zaryzykował śmiało:

— Jak sam Sprawiedliwy.

Żołnierz skinął głową. Tak suggestywnie podziałało na niego to „najęść się do syta“. Spojrzał na swego dotychczasowego wroga głodno i życzliwie.

— Tak — gadał Sprawiedliwy dalej — zrobiłoby się nie wiem co z desperacji. Tak jak powiedział Pan przed chwilą: człowiek gotów do wszystkiego, jest zły, jak dzikie zwierzę. Złota prawda. Słyszałem wszystko, każde słowo Pańskie.

— I zrobi Pan na mnie donos?

— Przeciwnie, zaproszę kochanego Pana na potrawkę z królika.

Zaczął kusić:

— Niech mi Pan nie odmówi, Panie kapralu, tej przyjemności i tego zaszczytu.

Piorun rzekł zrazu:

— Nie jestem, psiakrew, żadnym kapralem.

Lecz potem wzięła go za silnie drapieżna tęsknota za mięsem.

— ...Ale że, jak Pan gada, obaj należymy do ludu — —

Po pierwszej porcji zaatakował jednak właściciela bródki hiszpańskiej tak gwałtownie, jak przedtem:

— Zresztą Pan i tak skradł, a nie kupił —

— Co łaskawco?

— Te króliki, które Kora dostała od Pana, a potem sprzedała „Czerwonemu Ptakowi“.

Oskarżony uśmiechnął się frywolnie:

— No i cóż? Wielkie rzeczy? Znam człowieka, który kradnie miliony — co mówię! — miljardy.

— Kto taki?

— Niemy.

Żołnierz zastanowił się, dobrą chwilę milczał. Potem zauważył:

— Sprawiedliwy gorszy. Wszyscy mówią. On winien, nie tamten.

Lecz rzekomy komisarz wyglądał w tej chwili znowu, jak nieszczęście. Dla kompanji zjadł mały kawałek mięsa, za co mścił się teraz bezwzględnie jego obraźliwy żołądek.

Oświadczył słabym, cierpiącym głosem:]

— Sprawiedliwy biedak, bo ciężko chory.

— Prawda-ż to?

— Chory. Ma wrzód w żołądku. Onżi tak długo nie pożyje.

Prawie szczerze powiedział te słowa. Bo mówiąc je, czuł się naprawdę podle. Zmęczony był; śmierć wydawała mu się niemal jak miękkie łóżko. Napił się jednak kilka łyków koniaku — i niejako powstał znowu z łóżka.

Rzekł świeżo, energicznie:

— Niemy winien. On jest katem naszym. On sam, nie Sprawiedliwy.

Tu stanowczość przekonała żołnierza.

— Nie myślałem. — Ale skoro Pan mówi.

Obudził się mówca w Sprawiedliwym. Wzięła go chętka do rozpoczęcia jednego z owych sławnych wykładów o dobrej sprawie. Tym razem o tem, jak ta dobra sprawa przez Niemego stała się złą, brzydką, niegodziwą. Piorun zaś słuchał z szeroko otwartą gębą. I — jak niegdyś przy podobnej okazji Niemy — dopiero po pewnym czasie coś niecoś zrozumiał. — Inteligent zaś wytrwale gadał i pluł. Nie czuł już ani miłości ani tęsknoty za wiecznem odpoczywaniem. Bo spełniał swą funkcję naturalną, robił to, na co był na świecie: gadał.

Szumiała rwąca rzeka jego swady. Choć płynęła tym razem poniekąd w odwrotnym kierunku. Tym razem nie pro, lecz contra; przeciw jednemu z filarów „Nieprzyjaciół bogatych“.

A kiedy udowodnił, jak na dłoni, że Niemy był przyczyną wszelkich cierpień ludu i że cały kraj odetchnąłby z ulgą po zabiciu tego straszego smoka, buchnął gniewem młody żołnierz i spytał:

— Więc dlaczegoż nie weźmiemy się zaraz do niego?... Dlaczego, do stu czartów, żyje jeszcze ta obmierzła jucha?

Na co odparł pan w złotych binoklach:

— Bo wszyscyśmy tchórze, kochany łaskawco. Bo za ciężka krew nasza i za słaba wola. Bo, jak zawsze, czekamy odważnego człowieka, który zrobiłby za nas wszystkich to, co potrzeba.

— Ja — wyrwał się raptownie Piorun i zaraz potem, jakby zawstydzony, zaczął nerwowo chichotać — co w tem wielkiego?... Ostatecznie choćby i ja. — Dlaczego nie?

Sprawiedliwy patrzył gdzieś przed siebie, niby prosto w ścianę. — Głęboko zamyślony, gładził swą bródkę hiszpańską i mówił:

— Właściwie mógłby to każdy uczynić. — Jak się rzecz dobrze rozważy, to... cóż w tem trudnego? Zabawka. Trzeba mieć trochę energii — przez kilka minut, nie dłużej. Potem natychmiast wszystko się zmieni. Wszystko. Teraz jest Pan biednym szeregowcem.

— Potem zaś — czem będę?

— Czem?... Tego nie może Pan sobie nawet wyobrazić w tej chwili. Ale niech się Pan spyta, czem był niegdyś głównodowodzący naszej armji walecznej, czem

był przed rewolucją nasz pierwszy generał? Szeregowcem, jak Pan.

Tu znienacka przerwano — w formie najgrzeczniejszej — ich żywą rozmowę, bo nadeszła godzina zamknięcia „Czerwonego ptaka“. Na to nie było rady. Ale jeszcze z sobą mówili jakiś czas na ulicy. Chodzili tam i sam, pod rękę, jak dwaj serdeczni bracia, podchmieleni, nie mogący się rozstać. — Ciągłe mówili, ciągle o tem samem.

Aż jęła uliczka przedmiejska otwierać pomalutku swoje zaspane oczy.

Inteligent w binoklach ledwie się już trzymał na nogach.

— Dłużej nie mogę — oświadczył — trzeba mi wracać do domu... Czy niema tu gdzieś w pobliżu dorożek?

Twarz jego była stara i żółta z bólu i przydługiego siedzenia w szynku.

— Poczekaj no Pan — żołnierz chwycił go za ramię, żeby się nie zapomniało tego, co najważniejsze. — Więc — o dziewiątej rano, mówił pan, jedzie Niemy do urzędu. Ale to mi co do czasu nie bardzo pasuje. Wolałbym popołudniu, jak będzie szedł pieszo.

— Dobre i to — zgodził się Sprawiedliwy, tem ustępliwszy, że jak pies zmęczony — o piątej idzie on na obiad. Więc jutro będzie Pan go czekał... to znaczy dzisiaj, bo już prawie jasno.

— Tak, już jest jasno — powtórzył Piorun.

— Dzisiaj, o piątej, przed bramą starego gmachu rządowego.

I właśnie nadjechała wolna dorożka. Zatrzymał ją rzekomy komisarz i pojechał do swego mieszkania. Ale w domu nie poszedł jeszcze spać, mimo wyczerpania.

Zawołał kogoś, jakiegoś śpiącego urzędnika czy ajenta do siebie, i dał mu jakieś pilne, poufne zlecenia. Dotyczyły one Kory, dziewczyny z kuchennego oddziału.

A szeregowiec Piorun był przedpołudniem zajęty w koszarach. Po ukończeniu zaś służby miał mimo to jeszcze dużo wolnych godzin przed sobą. Za dużo niestety. Dygotał z rozdrażnienia i niecierpliwości; zdawało mu się, że nie wytrzyma do piątej. Więc wmówił w siebie, że musi przedtem należycie przygotować trudne przedsięwzięcie. Ciągnęło go do starego domu rządowego. Mniemał, że musi koniecznie oglądnąć sobie bramę, przed którą popołudniu będzie oczekiwał kanclerza.

Ale widział kto coś podobnego? Dom miał — dwie bramy.

Ładna historia, pomyślał Piorun, tak przybity, jakby z tego powodu wszystko mogło się nie udać.

Dwie bramy, bez kwestji. Jedna tutaj a druga po prawej stronie, i właściwie żadna nie jest główna. Jedna taka dobra jak druga.

Przykra rzecz; miało się jednak [nadzwyczajny pretekst, żeby pomówić jeszcze raz z panem komisarzem. Bo Piorun chciał strasznie z kimś mówić, i to wyłącznie o tem, o czem od rana bez przerwy myślał.

Idzie więc na plac budowy. Przerwa południowa słońca właśnie minęła, bo na rusztowaniu pełno pracujących. Na dole zaś mrowisko kobiet. Wożą wapno na taczkach, cegły noszą, i od nóg obnażonych, aż do głowy odkrytej, pocentkowane są kolorowemi płatkami. Niektóre z nich mają nogi drobne, nieopisanie kształtne i twarze tak wykwintne, jak hrabiny lub księżne. Są i takie zresztą, które, ostatnio, — były wielkimi paniami. Niegdyś, przed przewrotem. Chodzą tak; jakby po mięk-

kich wschodnich kobiercach stąpały. Czasem krzyknie na tę lub ową dozorca; wtedy dama odpowiada lekkim ruchem głowy, jak królowa z powozu, gdy ją wita ulica.

Odzywa się także inspektor:

— Prędzej, prędzej, bo za sto lat nie skończymy.

Tak, to on, poznaje Piorun swego komisarza. Co prawda wygląda on cokolwiek inaczej w naturalnem świetle, nie tak elegancko, jak wczoraj wieczór i w nocy. Nie taki bladej jak w gabinecie „Czerwonego Ptaka“ i może nawet — pozornie tylko, ma się wiedzieć — wyższy. Ma także znacznie starsze ubranie na sobie w tej chwili, co jest zrozumiałe, bo byłoby szkoda lepszego.

Tak, jest on wyłącznie inspektorem w tej chwili. Pozatem nie istnieje dla niego teraz nic ciekawego na świecie. Dlatego patrzy na żołnierza tak obojętnie, jakby go wcale nie poznał.

Piorun salutuje, ale komisarz nie widzi, czy też — jako że w służbie — nie chce go widzieć.

Poczekajmy, myśli Piorun, i tak mamy huk czasu. Przypuszcza, że jak nadejdzie stosowna chwila, to komisarz niechybnie pierwszy przystąpi i przemówi do niego. Więc spokojnie czeka dalej, przyglądając się uważnie łydkom księżniczek noszących cegły.

Lecz, zdaje się, już nadeszła owa chwila stosowna, bo naraz zbliża się pan komisarz do niego.

— Czego tu chcesz? — pyta bardzo ostro.

Ale Piorun myśli: szelma tylko tak udaje. — I uśmiecha się do komisarza, mrugając znacząco oczami. — Szepcze:

— Przychodzę w tej sprawie, co Pan wie.

— Nic nie rozumiem — irytuje się komisarz.

Za dużo tej głupiej komedji, myśli Piorun, i mówi, głośniejsz już i bez uśmiechu:

— Przecież muszę się spytać. Bo dom rządowy ma dwie bramy. — Pan chyba zapomniał. Skądże mam wiedzieć, przed którą — —?

— Nie rozumiem ani słowa — powtarza urzędnik.

Na to żołnierz powiada jeszcze mniej pokornie i ostrożnie:

— Proszę Pana, to nie żarty. — Muszę koniecznie wiedzieć, z której bramy on zwykle wychodzi. — Bo mi inaczej ucieknie.

— Kto?

— No — — Niemy!

— Niemy?!

— Naturalnie! Czy Pan jeszcze nic nie rozumie? Nie mogę przecie czekać jednocześnie tu i tam. — To musi być przedziutko zrobione. — Raz dwa.

Ale w głowie pana komisarza widocznie coś nie w porządku. Bo jak idjota wybałuszył oczy i pyta przerażonym głosem:

— Co? Co musi być zrobione?

Rozdrażniony żołnierz wychodzi z równowagi. Celuje palcem wskazującym, tak jakby trzymał rewolwer, mlaska językiem i powtarza:

— To! To!

Urzędnik cofa się ze zdumienia.

— Czy chcesz zastrzelić Niemego?

Piorun otwiera już usta, żeby wytłumaczyć komisarzowi, o ile praktyczniej jest kogoś zastrzelić, niż zakłuć go nożem. Ale w tej samej sekundzie wydaje mu się naraz, że mężczyzna, patrzący mu w oczy, jednak za mało jest podobny do komisarza w knajpie.

— Czekał-no Pan — — mówi — coś mi się widzi,
żem Pana zamienił z kimś innym.

Ale to już niestety za późno. Niema dla niego
ratunku. Biorą go, prowadzą na inspekcję, znajdują
w prawej kieszeni spodni broń nabitą.

I jeden z małych młynków rezydencji dostanie znowu
coś do zmielenia.

XV.

— Pan nie ma niestety ani krzty godności osobistej. Powiedziałem Panu, że ta komedjantka zdradzała go w sposób bezczelny. Mimo to chce Pan stąd uciec, żeby do niej wrócić.

— Pan sam jest bezczelny. Jak Pan śmie wyrażać się tak o największej artystce dramatycznej w Europie! Jakim prawem miesza się Pan do moich spraw prywatnych!

— Nie mieszam się wcale — ale i nie wypuszczę Pana z groty.

— Muszę zażądać od niej wyjaśnień.

— Z tego nic Panu nie przyjdzie.

— Otrzymam od niej dowody niezbite, że Pan jest potwarcą.

— Tak... Kobiety mają i miały zawsze imponującą pomysłowość co do takich dowodów.

— Milcz Pan!

— To samo chciałem właśnie zalecić Panu. Nie radzę mówić podniesionym głosem. Kto tutaj krzyczy, bywa srogo karany. Nie chciałbym sprawiać Panu przykrości, ale tu chodzi o bezpieczeństwo całej mojej kolonji.

— Co mi tam Pańska kolonja! Niech ją djabli wezmą. Ja chcę wolności!

Tę aż nadto żywą rozmowę prowadziło z sobą dwóch wcale sympatycznych mężczyzn, którzy zazwyczaj zachowywali się bardzo spokojnie i przyzwoicie, a nie kłócili się nigdy i z nikim.

Do błędów lorda nie należała nigdy porywczosć. Ale pierwszy więzień jego zanadto go drażnił. Co za egoista ten Spero, któremu się wydawało, że niema nic ważniejszego w świecie od jego osobistego nieszczęścia!

— W tym tygodniu — stwierdził lord — tsiłował Pan trzy razy czmychnąć. Z nikim nie miałem tyle kłopotu, co z Panem. Jakże lubię być uprzejmym! A Pan zmusza mię prosto do szorstkiego, nieprzyjemnego tonu.

Tak, Spero zmienił się w grocie bardzo na swoją niekorzyść. Z dawnych jego zalet nie pozostało mu właściwie nic innego, prócz nader ujmującej powierzchowności. Bezustannie się w nim gotowało; robił wrażenie niesamowicie przedsiębiorczego młodzieńca. A gdzie się podziała sławna jego skromność? Nigdy nie chełpił się dawniej swoim znakomitym ojcem. Teraz zaś — —

— Czy Pan wie, kim ja jestem? — mówił z bezprzykładną arogancją do lorda. — Na jedno skinienie mego ojca pożegna Pan się z tym światem. Biada Ci! Biada wszystkim przyjaciółom Twoim! Strzeżcie się strasznego gniewu mego ojca! Czy nie boicie się jego piorunów dlatego, że jak krety wryliście się pod ziemię?... Ha, ha, ha? — Szaleńce! Zapomnieliście, że dla ojca mego niema tajemnic?! On znajdzie was wszędzie.

— Aha, rozumiem — mruknął lord. — Pańskim ojcem jest z pewnością Jowisz.

— Nie śmieję się Pan! Ojcem moim jest Niemy.

— Istotnie?

— Tak jest, kanclerz.

— Proszę! Dziękuję Panu bardzo za tę cenną informację. Wobec tego cieszę się jeszcze więcej, że nie uległem Pańskim prośbom i nie pozwoliłem mu udać się do domu. Na razie nie mam zamiaru skracać Pańskiego

życia. Nie mogę jednak ręczyć, czy nie zmienię swego postanowienia, jeżeli Pan będzie nas dalej niepokoił swym gorącym temperamentem. Czem gorsze Pańskie zachowanie, tem większe prawdopodobieństwo, że jednak w końcu przecież Pana otrujemy lub zadusimy.

— O, zabijcie mię zaraz! — wykrzyknął Spero, którego wściekłość przemieniła się nagle w beznadziejną rozpacz — co mi teraz z życia! Dotąd Gema była mi życiem. Była mi wszystkim. Jeżeli ona mię oszukała, to oszukało mię wszystko — słońce i księżyc, mój talent i moja młodość.

Z czego wynikało, że Spero nie tylko był egoistą, ale i bardzo niekonsekwentnym człowiekiem. Czy nie nazwał był przed chwilą komendanta groty potwarcą? A teraz zachowywał się tak, jakby stracił raptem wszelką wiarę w niewinność Gemy; jakby był naraz najmocniej przekonany o tożsamości jej „opiekuna“ z Sprawiedliwym.

Lord zauważył łagodnie:

— Rozumiem dobrze Pańską boleść. Szkoda tylko, że jest ona tak dziwnie agresywna. Ten napastliwy sposób cierpienia jest zresztą dość częstem zjawiskiem u młodych ludzi, a niemal regułą u wszystkich kobiet. Niech Pan się zastanowi, kto temu winien, że Pan cierpi? W każdym razie nie ja. Przecież uwięzienie Pańskie nie jest w żadnym związku z Jego zawodem miłosnym. A co do Sprawiedliwego...

Spero podskoczył z krzesła i krzyknął:

— Sprawiedliwy jest szubrawcem, nędznikiem, zwierzęciem, potworem...

— Niewątpliwie — przerwał mu lord — ale, jako aktor nowoczesny, umie Pan zapewne wyrazić prawdę także cichym głosem. Jeszcze raz jak najusilniej Go o to

proszę. Gdyby wszyscy mieszkańcy groty krzyczeli tak, jak Pan, to wkrótce...

— Ja go nienawidzę — powtarzał Spero.

Lord uśmiechnął się.

— Właśnie — rzekł — o to chodzi. Oczekiwałem tego od kochanego Pana. Potrzebujemy jak najwięcej młodych i silnych ludzi nienawidzących Sprawiedliwego. Od tego zależy koniec nędzy naszej.

— Więc proszę zwrócić mi wolność, a ukarzę go zaraz.

— Nie, Panie. Pod żadnym warunkiem nie zaraz. Zaszkodziłby Pan sobie, a nam bynajmniej nie pomógł. Ale kiedyś, jak...

W tej chwili nadszedł ktoś i zwrócił się do lorda.

— Panie, proszę udać się natychmiast do wielkiej sali.

— Co się stało?

— Coś niesłychanego. — Jest... zjawił się... ktoś obcy.

— Znowu?

— O, pierwszy raz... nigdy coś podobnego... od-
kąd żyję...

— Dlaczego Pan dzwoni zębami?

— Panie... — mówił posłaniec — Pan sam będzie jeszcze więcej dzwonił... jak zobaczy Pan jego.

Lord spojrział z ciekawioną na posłańca, poczem zaraz się z nim oddalił. Nareszcie jestem sam, pomyślał Spero. Ale nie zwarjował z radości; przeciwnie, nagle się uspokoił. Rozglądnął się dokoła i spostrzegł na-
przeciw drzwi, przez które wyszli właśnie dwaj męż-
czyźni, drugi otwór, cokolwiek mniejszy, przez który po
krótkim namyśle sam wybiegł.

Ale nie znalazł się bynajmniej pod gołym niebem. Poznał tylko dalsze komórki i sale. Postanowił zbadać

wszystko jak najdokładniej. Bo tu chodziło o wolność, o zemstę, a właściwie o Gemę. Rozpoczął długą, bezowocną wędrówkę po olbrzymim labiryncie, szukając daremnie — drzwi ostatnich.

A tymczasem lord wszedł do wielkiej sali gdzie pośród znanego sobie aż nadto „dobrego towarzystwa“ ujrzał nowego gościa. Trudno było nie spostrzec go natychmiast. Tak wyraźnie różnił się on od otoczenia. Lord nie zaczął wprawdzie dzwonić zębami, ale mimowoli przystanął, jakby postanowił zastanowić się najpierw nad istotą tego obcego stworzenia, zanim poda mu rękę.

Kaleka?... Nie. Właściwie miał wszystko. Czy może brakowało mu nosa? — Broń Boże, gdzieżby. Były i usta, no i z pewnością oczy... Mniejsza o szczegóły, pomyślał lord, przecież nie trzeba stwierdzać takich drobnostek anatomicznych przy zawarciu nowej znajomości. Bądź co bądź człowiek, mężczyzna — niewątpliwie.

Naraz przeszedł go dreszcz na myśl, że jednak medytuje nad tem wszystkim, jakby miał przecież jakieś wątpliwości.

Więc powiedział sobie jeszcze raz energicznie: Rozumie się, że człowiek, bo... ma twarz.

Ale w tej chwili — zadzwonił zębami. Może nawet głośno. Bo gość już zwrócił na niego uwagę, a nawet zbliżył się do niego i spytał:

— Pan jest prezydentem kolonji, nieprawdaż?

— Tak — odrzekł lord.

A po tej zbyt krótkiej odpowiedzi powiódł wzrokiem po sali. Bo chciał wyczytać z ócz swych towarzyszy, czy sam nie jest zanadto błady. Wszyscy byli zmieszani,

ale spoglądali na niego z iście dziecinną złośliwością, jakby ucieszeni, że on przestraszył się tak samo, jak przed chwilą oni.

To podrażniło ogromnie jego ambicję i chcąc dowieść, że bądź co bądź jeszcze ma więcej odwagi, niż drudzy, sam zadał pytanie gościowi i to tonem dość ostrym:

— Czy Panu wiadomo, że nie życzymy sobie żadnych odwiedzin z miasta?

— Myślałem to sobie.

— A jednak Pan przyszedł?

— Bo z miasta nie jestem.

— A skąd?

— Z cmentarza.

Teraz lord o mało nie rzekł „myślałem to sobie“. — Zamiast tego znowu raz cichutko „zadzwoił“. — Ale jednocześnie postanowił nie dać się. — Pokazać tamtym... Ogluszyć ich tem, że spyta wprost...

Spytał wprost, rzeczowo, spokojnie, arogancko:

— Pan umarły?

— Tak — odrzekł gość z tą samą prostotą.

Lordowi zdawało się, że czuje za sobą niesłychaną panikę, jaką wywołała odpowiedź. Ale nie oglądał się. Prawdopodobnie uciekli ze strachu, pomyślał z satysfakcją. Czuł się znowu pierwszym w grocie.

Umarły mówił tonem konwersacyjnym:

— Na polance chciano mię zaaresztować. Garstka młodych ludzi. Lecz przypatrzwszy mi się bliżej, stracili ochotę. Zresztą wytłumaczyłem im, że przychodzę jako poseł.

— Poseł?

— Tak... Żeby wyrazić grocie naszą niekłamana sympatię.

— Naszą? To znaczy...

— Znaczą sympatię całego cmentarza. Jako sąsiedzi, mamy dosyć czasu i sposobności, żeby was obserwować. I podobacie nam się bardzo. Stwierdziliśmy dziwne podobieństwo między sobą a wami. — He, he... Mam jednak wrażenie, że to Panu jakoś nie bardzo... pochlebia —

— Ależ owszem — rzekł lord bardzo prędko — tylko nie wiem, czy... cmentarz ma rację. Bo my jednak... żyjemy. To zdaje mi się, punkt zasadniczy. Oddychamy, śpimy, jemy... Nieprawdaż? Mamy krew, ciało...

— Czy to są zdaniem Pańskim rzeczywiście tak ważne różnice? — zapytał jakby ironicznie nieboszczyk.

— Bądź co bądź są to fakty — odrzekł lord.

I w tej chwili uczuł z tyłu, jak ktoś szarpnął go za surdut. Niby chcąc mu dać znak, żeby nie sprzeczał się z postem.

— Drobne przesady — odpowiedział poseł — zdaje mi się, że mimo to porozumiemy się szybko.

— Niech Pan powie: „niewątpliwie“ — szepnęła osoba stojąca za lordem.

Oglądnał się.

Ku największemu jego zdziwieniu starszyzna zgromadzona w sali była jeszcze w komplecie. I nie tylko nikt nie bał się nieboszczyka, lecz przeciwnie, zwiędłe twarze obecnych przedstawicieli śmietanki towarzyskiej uśmiechały się do niego, jak do równego sobie.

— Niewątpliwie — rzekł lord smutnym głosem do posła.

Na to umarły wpadł zaraz w doskonały humor. Palnął mowę. — Zaczął wyłuszczać szczegółowo, na czym polegało owo podobieństwo między cmentarzem a grotą.

— Dlaczego nie mieszkacie w mieście, szanowni Państwo, tylko tutaj? Bo nie chcecie, nie uznajecie tego, co się dzieje teraz na powierzchni ziemi. Czy nie? Mówicie:

tego co jest obecnie, my nie nazywamy życiem. Wasza pieczara — tak sympatycznie przypominająca nasze najpiękniejsze grobowce — jest niejako protestem przeciw terażniejszości. I co do tego, czcigodni Państwo, zgadzamy się z wami zupełnie. Uznajemy, tak jak wy, tylko jedno: to, co było.

— Brawo! — odezwało się kilka siedemdziesięcioletnich głosów.

— Dziękuję, dziękuję wam za ten dowód, że już teraz się rozumiemy. A niebawem będziemy się kochać. Gdy poznamy się bliżej. Nie mogę wam opisać, szanowni sąsiedzi, jak gorąco pragną wszyscy współobywatele moi tego zbliżenia. Proszę was, żebyście pozwolili nam, odwieść was czasem. — —

Lord czuł znowu szarpnięcie ztyłu.

— Owszem — odpowiedział uśmiechając się tak, jakby bolały go zęby — będzie nam niewymownie miło.

Posel zaś mówił dalej. O jakichś węzłach nierozdzielnych, o uczuciach niewygasłych, o przyjaźni wiecznej. Szkoda, że nie było przy tem Spera. Jako aktora zdziwiłoby go niemało, z jakim lodowatym chłodem usta (cokolwiek uszkodzone) delegata cmentarza wymawiały tak ciepłe słowa, jak „serdecznie“ albo „miłość“ albo „z całej duszy“.

Ale dla poważnych uczestników zgromadzenia ta forma przedstawiała widocznie pewien pikantny urok. Uśmiechali się życzliwie i kiwali głową. Może być, że przypominało im to minione czasy. Jakieś dawno przebrzmiałe uroczystości dyplomatyczne, zjazdy monarchów, toasty na dworskich bankietach. — Słuchali z wyrazem jakiegoś idjotycznego rozmarzenia na twarzy. — Niby pod wpływem alkoholu.

Lord byłby może usnął. Lecz osoba za nim stojąca szepnęła:

— Niech Pan uważa!

Ależ nie warto, pomyślał lord, przecież on mówi tylko same frazesy.

— Mówi tylko pozornie rzeczy bez sensu — tłumaczył mu cichutko doradca, jakby odpowiadając mu na to, co myślał — ale naraz, zniemacka, powie coś z sensem. — Rozumie Pan? To jest znane w dyplomacji. — Taka finta. Sens trzeba wyszukać. Tak jak srebrną łyżeczkę na śmietniku.

Więc lord czuwał. A naraz doradca dał mu silnego szturchańca w plecy.

— Teraz — baczność! Proponuje nam sojusz. — Uważa Pan?... Sojusz z cmentarzem. Mamy mieć wspólnego wroga — to jest tych na górze, tych, co żyją w świetle słonecznym. — Trzeba mu odpowiedzieć.

No tak, odpowiedzieć — ale co? Nie było to wcale łatwo. Propozycja byłaby wcale korzystna, gdyby nie to, że proponenci byli tak... niesamowici i zmarli. Cała sala spoglądała wyczekująco na lorda.

A lord? Ani tak ani siak. Odpowiedział przeważnie znowu frazesami. Jedyńm sensem, jedyną „srebrną łyżeczką“ w mowie jego było oświadczenie, że grota — na razie — z nikim nie zamierza wojny prowadzić, i dlatego też — na razie — nie skorzysta z ofiarowanej jej pomocy, za którą („z całej duszy“) cmentarzowi dziękuje.

Mimo to poseł, żegnając się z grota, był jakoś wcale zadowolony z wyniku swojej wizyty. Bo lord zakończył swą przemowę słowami:

— Przychodźcie, prosimy was szczerze i serdecznie, przychodźcie do nas jak najczęściej.

Więc co się jeszcze nie stało, mogło się stać w przyszłości.

— Do widzenia! — rzekł do nieboszczyka starzec z siwą brodą, niegdyś mistrz ceremonji.

A kiedy gość się oddalił, trwał jeszcze jakiś czas — prawem bezwładności — głupkowaty uśmiech na twarzy starca.

Zrobiło się znacznie cieplej na sali. Niejeden pomyślał: bądź co bądź na razie można znowu oddychać.

— Ale on wróci — powiedział lord głośno — a z nim przyjdzie więcej takich, jak on, figur cudownych.

— Tak — lecz cóż mieliśmy zrobić? — usprawiedliwiał się dygnitarz brodaty, niejako imieniem wszystkich — przecież nie można mu było mniej powiedzieć, jak „do widzenia“. Zwykła uprzejmość — nic więcej.

Ten i ów przyznał mu rację.

Ale lord milczał jeszcze dłuższy czas, zły, rozstrojony. Tak, jakby stało się przecież coś bardzo przykrego. Tak, jakby mimo wszystko wzięła grota na siebie jakieś wprost niebezpieczne zobowiązania na przyszłość.

XVI.

Mały sąd czyli „młynek“, który późną jesienią, w pewnym dniu ciemnym i dżdżystym, miał załatwić pół tuzina spraw rozmaitych — między innymi także sprawę szeregowca Pioruna — rezydował w dwóch wynajętych smutnych ubikacjach.

Jedna z nich, większa, była salą rozpraw, druga zaś, mniejsza, pokojem obradowania dla trzech sędziów. Sala była niegdyś zwykłą stodołą, ale dzisiaj dusiło się w niej mnóstwo publiczności. Bo rozprawa była dla wszystkich, i w zasadzie cały lud mógł się jej przysłuchiwać, choć w rzeczywistości brakło do tego niestety miejsca.

Zresztą i z tych osób, które znajdowały się w sali, nie wszystkie były widzialne. Bo oprócz dwudziestu rzędów ławek dla bezimiennych, istniało także kilka łóż zasłoniętych firankami, które były aż nadto znane, lecz nie chciały być przedmiotem ciekawości szarego parteru.

Co się zaś tyczy trzech sędziów, to należała do nich także kobieta, która sprawowała urząd przewodniczącej.

Liczyła mniej więcej dwadzieścia pięć lat, a jednak już decydowała o życiu i śmierci. Miała włosy ciemne, krótko-ostrzyżone i twarz dziwnie, cokolwiek chorobliwie, piękną.

Około godziny jedenastej zawołano ją do jednej z łóż przysłoniętych. Zrazu zmarszczyła czoło, widząc w tem wezwaniu pewne lekceważenie swego stanowiska. Ale niebawem stała się jej twarz nadzwyczaj uprzejmą. Bo w łóż zastała samego Sprawiedliwego.

Uśmiechał się mile, a przytem nerwowo, jak zwykle, gdy rozmawiał z ładnymi kobietami.

— Winszuję Pani — zaczął i spojrzał uważnie na jej świeże usta.

— Czego?

— Jej pięknej karjery, którą zresztą doskonale rozumiem. Jak się Pani nazywa?

— Genowefa.

— Proszę Pani... co będzie teraz?

— Pewien arystokrata... Rzecz dosyć typowa, zwykła... Następnie wdowa po znanym dyrektorze banku... Zatajenie majątku.

— To wszystko mniej mię zajmuje. — A potem?... Czy nie rozpocznie się niebawem sprawa Pioruna? Żołnierza, który...

— Tak jest. To numer czwarty... a raczej piąty. Jeżeli jednak Ekscelencja sobie życzy, żebyśmy najpierw...

— Tak, obywatelko Genowefo, może mogłaby Pani zacząć zaraz rozprawę przeciw żołnierzowi. — Może Pani sobie pomyśleć, jak mało mam czasu...

— Naturalnie.

— A młynkowi Pani mógłbym poświęcić zaledwie kwadrans. Więcej czasu chyba Pani nie trzeba, żeby zasądzić tego zbrodniarza stanu. — Co?... Przecież rzecz przedstawia się dosyć jasno?

— Zupełnie.

— A świadków przesłuchiwać Pani zapewne nie musi?

— N... nie. Właściwie nie koniecznie. Co do głównego świadka, niejkiej Kory, to i tak... pewnie Ekscelencja słyszał.

— Co?

— Nagle umarła.

— Co Pani mówił... Co za osobliwy wypadek!... Nagle... Bezpośrednio przed procesem... Pewnie apopleksja, co?

— Apopleksja. W nocy przed tym dniem, w którym uwięziono Pioruna... A tamci świadkowie — dwóch żołnierzy i właściciel szynku „Pod czerwonym Ptakiem“, wcale nie są ważni. Mogę z nich zrezygnować.

— Tem bardziej ja — oświadczył wesoło Sprawiedliwy — więc będzie Pani łaskawa natychmiast zacząć.

— A nie wie Pani — zawołał jeszcze, kiedy odchodziła młoda prezydentka młynka — nie wie Pani, kto siedzi koło mnie, w tej łoży, na lewo?

— Mr. Blyte!

— Ambasador?

— Tak jest.

— Aha. Dziękuję Pani.

Za chwilę obwieścił jakiś urzędniczek:

„Sprawa szeregowca Pioruna oskarżonego o usiłowany zamach na kanclerza państwa.“

— Już? — rzekł Mr. Blyte zdziwiony do swego sekretarza.

— Widzę, że zmieniono nagle porządek z jakichś nieznanych powodów. Zresztą bardzo mi to naturalnie na rękę. I tak mało mam czasu.

— Zainteresowanie się sprawą jest wielkie — stwierdził sekretarz — zdaje się, że wszystkie łoża są zajęte.

— Kto siedzi w sąsiedniej łoży?

— Po tej stronie, podobno Sprawiedliwy.

— A! To ciekawe.

Zadzwieczał jasny głos Genowefy.

— Jak się nazywasz, obywatelu? — zapytała oskarżonego. Zdawało się, że odpowiedź na to była szczególnie trudną dla oskarżonego. Bo wahał się dziwnie

długo. Bądź co bądź była to największa pauza podczas całej rozprawy, tak niezmiernie krótkiej.

— Ależ to chyba wiesz, obywatelu — zauważyła przewodnicząca z pewną niecierpliwością wewnętrzną.

Tylko wewnętrzną. W głosie jej był spokój. Nie wiedzieć dlaczego, wstąpiła nagle otucha w serce żołnierza, który na nią patrzył. Był zachwycony swym sędzią. Oblicze jej było tak anielskie, a jej obnażona szyja tak pociągająca, że powiedział sobie w duszy:

— Teraz będzie dobrze. Nic mi się nie stanie. Ta ładna panienska powie zaraz: Mój drogi, to był tylko żart. A raczej sen. Tak jest, chcieliśmy Cię tylko troszeczkę nastraszyć.

Zamiast tego wszystkiego rzekła Genowefa:

— Przecież jesteś Piorun, szeregowiec 38. pułku piechoty, nieprawdaż?

— Rozkaz — huknął żołnierz, z niewiadomych powodów bardzo rozradowany.

— Masz lat dwadzieścia, nieżonatys, a z powołania ślusarz.

— Tak, w cywilu ślusarz — rzekł Piorun z zakochanym uśmiechem.

Po raz drugi w ciągu kilku minut uciuła Genowefa, jak ją mężczyzna oczami pocałował w usta. Ale ta drobna okoliczność nie zakłóciła jej spokoju. Nawet nie ruszyła głową, patrzyła mu dalej prosto w oczy.

— Są dowody — mówiła sennie, pomалу — są dowody, że chciałeś zastrzelić Niemego czyli kanclerza państwa.

— Tak jest — wyznał Piorun szczerze, jakby klęczał przy konfesjonale — to prawda, niema co... Ale pewnie Pani wiadomo, że ten psiakr... że ten komisarz, co jest, Pani wie, inspektorem przy budowie...

Przewodnicząca przerwała tę spowiedź.

— Tylko nie pleć znowu o komisarzu — rzekła z łagodnym wyrzutem — bo pokazało się już przy śledztwie, że to nie ma sensu. Z dochodzeń policyjnych wynika, że zastępca komisarza czwartego obwodu nigdy nie zachodzi do restauracji pod „Czerwonym Ptakiem“, a tem samem nie mógł tam z tobą nigdy rozmawiać. Zresztą udowodnił, że był wtedy gdzieindziej. To się nazywa alibi. Tak jest, spędził ten wieczór w domu publicznym.

O, jakże cudownie się wyraziła. Rzadkie słowo „alibi“ zaświeciło się różowo w duszy żołnierza. Właściwie nie wiedział, co mówiła Genowefa, tylko patrzył na nią i upajał się muzyką jej głosu.

— Alibi — powtarzał w duszy i zdawało mu się, że słyszy fortepian.

Przytem była nieskończenie wykształcona i mądra.

— Tak — ciągnęła dalej — komisarz był tam tylko w twojej fantazji. Nie chcę przez to powiedzieć, że kłamiesz, ale sam się oszukujesz. To się nazywa autosugestia. Bardzo być może, że tego wieczoru znajdowałeś się rzeczywiście w restauracji „Pod Czerwonym Ptakiem“, ale sam. Siedziłeś sam przy stole i myślałeś o zamachu, który miałeś wykonać na drugi dzień popołudniu. Tak się to wszystko tłumaczy. Ale to szczegóły podrzędne. Główna rzecz, że się wyraźnie przyznałeś do winy, t. j. do chęci zamordowania kanclerza. I dlatego byłoby tylko stratą czasu — nieprawdaż, panowie? — gdybyśmy przesłuchiwali jeszcze jakichś świadków.

Zwróciła się do swych sąsiadów po prawej i po lewej stronie, a oni natychmiast skinęli głową i tak samo szybko i cicho porozumieli się z nią co do wszystkiego

innego. Nie, w tym wypadku wysoki trybunał nie potrzebował udawać się na naradę do drugiego pokoju.

— ...skazany na śmierć przez powieszenie — mówiła Genowefa głośno.

Jakby zanuciła coś ślicznego swemi anielskimi ustami.

Ona co innego myśli, a co innego mówi — cieszył się w duszy szeregowiec Piorun — ona mi dobrze życzy, to pewne.

Tak; był w niej zakochany po uszy. Nikt o tem nie wiedział w całej sali. Ale ona sama wiedziała dobrze, odgadywał Piorun, patrząc na nią do ostatniej chwili.

Do aktów zaglądała, kiedy Pioruna wyprowadzano z sali. Nad wyraz poważnie i uroczco, jak dziecko, bawiła się w sędziego.

A on jeszcze raz, ostatni, u progu, oglądał się za nią.

Zdawało mu się, że wychodzi z ogrodu. Wieczorem, — pomyślał — bo ona ma, jak róża, głowę spuszczoną.

Potem uczuł silne uderzenie kolbą.

— Na śmierć przez powieszenie — powtórzył bezmyślnie, jakby z lekkim westchnieniem, Mr. Blyte, poczem zaraz się podniósł.

— To był rekord — zauważył sekretarz, podając palto swemu przełożonemu, — czy Pan wie, że cała rzecz trwała zaledwie pięć minut?

— Czy w młynkach zawsze pracują tak błyskawicznie? — dowiadywał się ambasador.

— Dzieje się rozmaicie. Tu niema właściwie reguł.

— Możeby poczekać chwileczkę — zaproponował cicho Mr. Blyte — bo nie chciałbym spotkać się na kurytarzu z naszym znakomitym sąsiadem.

Lecz i znakomity sąsiad zatrzymał się jeszcze — zapewne z tych samych powodów, co Mr. Blyte — w swojej

łoży. Bo kiedy wkońcu zdecydowano się wyjść, nastąpił przecież niepożądany karambol.

— O, Ekszelencjo! — zawołali dygnitarze równocześnie i z tą samą przesadną radością.

— Założyłbym się, że będzie burza — twierdził dyplomata.

— Tak jest, z pewnością — mówił żywo sternik państwa — bo jest za gorąco, za duszno.

Zderzenie trwało możliwie krótko. Kapelusze zaszumiały w powietrzu, jak dwa czarne ptaki.

— Mam pewne podejrzenie — zaczął Mr. Blyte, już w samochodzie, który ich wiozł do ambasady.

— I ja także — rzekł szybko sekretarz. — W tonie ich słów był jakby uśmiech. Ale twarze wyglądały poważnie.

— Kto wie, kogo byłyby skompromitowały zeznania świadków.

— Otoż to. Dlatego zjawił się on.

— Żeby temu nieszczęściu zapobiec.

— Właśnie. W dodatku najważniejszy świadek musiał podobno przedwcześnie zejść z tego świata.

Teraz uśmiechnęli się wyraźniej. Jakby ucieszeni tem, że się tak wybornie rozumieli.

Sekretarz, zawsze dobrze poinformowany, objaśniał przełożonemu:

— A jednak Genowefa należy raczej do grupy Niemego.

— Genowefa?

— To jest prezydentka młynka.

— Miły Boże, spodziewam się, że coś tak uroczego nie ma chyba przekonań politycznych.

— To nie, ale zato protektora.

— Czy jest nim — minister Roko...?

— Że też Ekszelencja wszystko musi wiedzieć —
zawołał sekretarz zazdrośnie.

— Wie Pan, być może, że raz, kiedyś o tem słyszałem.
Ale w tej chwili tylko zgadłem, zaręczam Panu. Dlatego,
że Pan wspomniał o tamtej grupie.

— Opowiadają, że Genowefa i on znali się już dziećmi.

— Naturalnie.

— Dlaczego naturalnie?

— Bo to w stylu. — Jedna z owych ulubionych
w tym kraju sielanek sentymentalnych.

— Potem jednak los bezwzględny na dłuższy czas
ich rozłączył.

— Jak w kinematografie.

— Nie, to podobno...

— Wierzę, to prawda. Tutaj kino jest rzeczywistością.
Ale... znowu się spotkali, co? I są z sobą szczęśliwi?

— Od kilku miesięcy. Roko dał jej tę piękną po-
sadę. W młynku Nr. 35.

— Niegdyś dostawały kolczyki lub broszki, teraz
dostają posady. Mojem zdaniem biżuterje były im jednak
więcej do twarzy.

— Ale trzeba przyznać, że wszędzie sprawują się
dobrze.

— A w każdym razie wszędzie ładnie wyglądają.
A propos, skąd Pan czerpie zazwyczaj swoje cenne
wiadomości?

— Dostarcza mi ich prawie zawsze tutejsza prasa.

— Przecież im prawie nic nie wolno drukować.

— No tak, ale jednak wszystko lubią wiedzieć.

— Co się mówi obecnie o Sprawiedliwym? Czy to
prawda, że chory? Podobno ma codziennie jakieś ataki...

— Tak, ataki — hipochondrji.

— Tylko to?

— Wogóle — boi się. Wszystkiego, od pewnego czasu. To także choroba.

— I to bardzo niebezpieczna.

— Nieprawdaż? — ucieszył się sekretarz — Eksce-lencja powinien bezwarunkowo napisać o tem prześlizgnięciu sprawozdanie do ministerstwa. Zdaje mi się, że Sprawiedliwy zaczyna już niejako spadać na dół. Bądź co bądź nie czuje się tak pewnym siebie, jak dawniej.

— Przejrzały jest — mruknął ambasador — już nieznacznie gnije. Gdyby teraz Niemy leciutko potrząsnął drzewem, to Sprawiedliwy zleciałby na ziemię.

— Nietylko sam Sprawiedliwy.

— Cały rząd obecny, naturalnie. Niemy to właściwie reakcja.

— Tak, tak, ale... Niemy wcale nie ruszy drzewa. Jeżeli do tej chwili nie zdobył się na odrobinę energii...

— Teraz jednak z pewnością jest wściekły.

— Czy tak Eksce-lencja przypuszcza? Dlatego, że znikł jego syn? Przecież to nie jest chyba winą Sprawiedliwego...

— Można się na to rozmaicie zapatrywać... Czy Pan zresztą wie, o czem chcę pisać głównie w moim następnym liście do ministerstwa? O tych, którzy znikli.

Zaświeciły mu się oczy. Sekretarz, zaciekawiony, spojrział na niego szybko.

— Jakto? Czyżby Eksce-lencja wiedział więcej w tym przedmiocie, niż rząd tutejszy, albo miał pewne przypuszczenia?

— Nie — odrzekł Mr. Blyte, jakby zdziwiony.

I roześmiał się.

— Nie. — Skądże! Lecz spodziewam się, że podczas pisania, przyjdzie mi coś dobrego na myśl.

— Tak — mówił Mr. Blyte, już w klatce schodowej — przekonałem się już nieraz, że rzeczy tego rodzaju trzeba improwizować. Najlepiej nie wiedzieć przedtem wcale, co i jak się napisze. Takie sprawozdania najczęściej są udałe. Także co do formy.

Sekretarz słuchał już jednym uchem. Strona artystyczna jego zawodu była mu dość obojętna.

Oświadczył ni stąd ni z owąd:

— Trzeba będzie wpłynąć odpowiednio na opinię w kraju.

— Co Pan chce zrobić?

— Trzeba rozpowszechnić plotkę, że morderca był tylko jego narzędziem. Że właściwym sprawcą on sam.

— Sprawiedliwy? Panie kochany, będą się nam w oczy śmiali. — To za grube.

— Dlaczego? Przecież Ekszelencja sam mówił, że nie można wiedzieć, kogo skompromitowałyby zeznania świadków.

— Tak, być może — niejedno się mówi... Do pewnego stopnia ma Pan może rację, ale... Tylko nie przesadzać, drogi Panie! Strzec się romantyzmu jak ognia! W to w całym mieście nikt nie uwierzy!

Ale sekretarz był dziecinnie uparty.

A jednak — myślał — jednak to zrobię. W tym czasie we wszystko ludzie wierzą. Nawet tak warjacki pomysł, jak mój, może mieć powodzenie. Nawet taki oczywisty nonsens.

Tak, młody był, przedsiębiorczy, ogromnie ambitny.

Lecz w tym wypadku — jak się potem pokazało — przecież mocno się przerachował. Bo jego „plotki“ nikt nie wziął za prawdę.

XVII.

Niemy począł znacznie goręcej kochać Spera, swego syna jedynego, odkąd mu się zdawało, że go stracił. I smutną, jak ta miłość spóźniona, była także atmosfera jego domu. Bo Katarzyna bezustannie płakała i łamała ręce.

— Pan Bóg odstąpił nas — skarżyła się — daje znaki, że jest przeciw nam. Bo Spera nam wziął. I o mało ciebie nie zabił, przez człowieka, który nazywał się Piorun.

— Na razie żyję — powiedział Niemy, tak jakoś markotnie i cicho, jakby nie było powodu, radować się życiem.

Chyba dotąd nie wiedzieli, co to nieszczęście. Aż tu nagle ściemniło się całkiem w ich domu.

— A pochodzi to stąd — rzekła Katarzyna — że zaprzedałeś się jemu. Djabeł zabrał ci duszę.

Dawno już wydalili rząd z kraju tak Pana Boga, jak djabła. Widząc jednak swoją żonę na klęczkach przed świętym obrazem, kanclerz nie gniewał się na nią, bo może czuł, że Katarzyna modli się za jego własną zaprzedaną duszę.

Lecz wymagał on porządku i konsekwencji we wszystkim, także w pobożności swej żony. A ona przyszła raz do niego o szarej godzinie i jęła mu opowiadać nieśmiało o jakiejś dziewczynie, znanej pono wróżbiarce, która odślaniała ludziom wszystkie tajemnice czasów terażniejszych i przyszłych.

— Czyta z dłoni i z ocz ludzkich i z kart wie wszystko, co jest i co będzie.

— Oszustka — odezwał się Niemy.

Widać było, że zły. Ale Katarzyna, odważna, bo nieszczęśliwa, broniła nieznaney sobie wróżbiarki.

— Nie, bo wcale nie interesowna. Nie dba o pieniądze, tem bardziej, że ma dobrą posadę. Czyni to jedynie dlatego, żeby ulżyć i dopomóc tym, którym jest źle na świecie. Gdybyś mi pozwolił, pójść do niej...

— Niel! — mruknął krótko Niemy.

Na chwileczkę zamilkła, - ale nie odeszła. · Jeszcze dodała cichutko:

— Naturalnie, że nie powiedziałabym jej, kto jestem. Broń Boże. Ale widzisz, tu chodzi o Spera. Żeby się spytać, czy on żyje.

Teraz Niemy wściekł się na dobre.

— Niel! Niel! — Albo się módl, albo idź do wróżbiarki. Ale jedno i drugie! Czy to się zgadza?! Czy to logiczne?!...

Spojrzała na niego ze strachem. Przypomniała to i owo, co wiedziała z katechizmu jeszcze, i nieraz słyszała od spowiedników. — Musiała przyznać, choć niechętnie:

— Może masz rację. — Może to zabobon, grzech...

Lecz kiedy wyszła z pokoju męża, serce bolało ją jeszcze więcej, niż przedtem.

A Niemy odczuwał to jakoś. Logika, której nauczył się od osób wykształconych i z bardzo mądrych książek, była bezwątpienia czemś cennem. Lecz teraz oto siedział sam w fotelu i o mało nie rozplakał się z litości nad kobietą, której nie pozwolił udać się do dziewczyny wiedzącej to, co jest i co będzie.

Kończy się dzień pochmurny. W pokoju jest już prawie noc. A kiedy kanclerz zdrzemnął się na chwilę, śni mu się Spero. Krótko to trwa. Przez kilka sekund,

nie dłużej, widzi syna swego stojącego na skale. Potem znowu się budzi.

O tym samym czasie stał Spero rzeczywiście na skale. W grocie, na stromym brzegu wielkiego jeziora. Wzrok jego płynął po wodzie, z czółnem poruszaniem siłą kilku-nastu ramion męskich i kobiecych. Młodzi wiosłarze rozmawiali z sobą żywo i głośno, lecz zbyt daleko od Spera... Słyszał ich głosy, ale nie wiedział, co właściwie mówili.

Zresztą nie była to wcale inteligentna rozmowa.

— Czy jeszcze wiecie — zapytała jedna z pańien — jaki zapach mają goździki? Czy nie byłibyście szczęśliwi, gdyby nagle spadł na nas deszcz ulewny?

— Zielone drzewa — rzekł ktoś tęsknie.

— Obłoki — westchnął inny.

— Raz, przypominam — odezwał się młodzieniec — siedziałem wieczorem przed domem naszym, a gdzieś, bardzo daleko, czekał pies.

To było całe jego opowiadanie. Ale słuchacze byli przejęci, głęboko wzruszeni.

Potem znowu inny:

— Gdyby tak można mieć tu... nasze konie... Czy wam nie żal strasznie za końmi?... Przecież mogłyby tu żyć, nie myślicie? Jeżeli my możemy... Pasłyby się na polance.

— Lord nie pozwoliłby nigdy. Powiedziałyby, że nas zdradzą rzeniem. Lord jeszcze gorszy, niż starzy.

Naraz kilku z nich wybuchło (i jakby płacz wielki rozległ się nad wodą):

— Puśćcie nas stąd! Na powietrze! Dosyć tej piwnicy!

To nawet Spero usłyszał.

A młodzież, choć niby dalej płynęła czółnem, jęła się zastanawiać i niechętnie patrzeć na jezioro.

— Wszak to błoto a nie żadna woda.

— Aż cuchnie z tego, że taka ciemna.

— I wcale nie żyje.

Wykrzyknął nagle jakiś podrostek:

— Coś wam powiem. Jeśli starzy nie chcą, to my sami rozpoczniemy wojnę z Sprawiedliwym.

— Nie durz siebie i drugich! Iluż nas jest? Czy nie wiesz, że „Nieprzyjaciele bogatych“ mają dużo wojska?

— Zato my mamy moc umarłych.

— Tak, jeśli zechcą naprawdę połączyć się z nami.

— Wtedy wygralibyśmy z pewnością.

— Pomyśleć, że jest ich, Bóg wie, ile milionów!

— Czy to prawda, że sami przyszli do starzych i zaproponowali im sojusz?

— Podobno — ale co z tego, kiedy starzy dotąd jeszcze się namyślają, czy przyjąć!

— To my za nich przyjmujemy.

Rozumie się! Powiemy nieboszczykom: nie potrzebujemy ni waszych wizyt ni serdeczności. Zamiast gaudania pokażcie nam czynem, że szczerze chcecie naszego dobra. Dajcie nam dziesięć milionów ludzi albo — niech was djabli biorą!

W tej chwili coś zawołało zdaleka:

— Hop! hop! Bracia, weźcie nas z sobą! Czy niema już miejsca w waszej łodzi?

Jakiś głos przykry, niesamowity. Z tamtego brzegu. Złął się Spero, bo nigdy w życiu czegoś podobnego nie słyszał.

A też i młodzi wioślarze zaczęli pytać się niespokojnie:

— Co to? Kto woła? Widzisz go? Gdzie stoi? Czy to mężczyzna czy kobieta?

Nikt nic nie wiedział. Człowiek wołający jakoś dziwnie był mglisty, niewyraźny. A gdy łódź zbliżyła się do tego miejsca brzegu, skąd pochodziło wołanie, spostrzegli wioślarze, że oczekiwało ich tam więcej takich niby ludzkich postaci, drażniąco niematerjalnych. Były to raczej cienie, ledwie dostrzegalne zarysy osób, jakby tylko pobieżnie naszkicowane ciała i twarze.

Bez kwestji byli to umarli.

— Weźcie nas z sobą — prosili — bo już dawno nie jechaliśmy czółnem. Chyba domyślacie się, kto jesteście? Zaprosiliście nas, więc przyszliśmy na cały dzień, żeby poznać was i waszą osobliwą grootę.

Milcząc przybili młodzi do brzegu. Powitali goście niezbyt owacyjnie, ale bądź co bądź wcale uprzejmie, nie odmówili im miejsca w łodzi, a nawet pomagali im — cokolwiek nerwowo — przy wsiadaniu. Ale jednak stracili niewątpliwie humor.

Tem większa była wesołość gości. Zaczęli, jak dzieci, wyć z uciechy, kiedy łódź zakołysała się na czarnem jeziorze. Zachowywali się tak, że młodzi gospodarze, ciągle ponuro milczący, wydawali się przy nich jak starcy.

Nikt z osowiałych wioślarzy nie korzystał jakoś z nadarzającej się po raz pierwszy okazji, żeby zawrzeć z nieboszczykami umowę polityczno-wojskową, czy też żeby im choć powiedzieć: „Dajcie sto miljonów ludzi — albo niech was djabli biorą!“

Mieli nad wyraz przykre uczucie. Tak jakby ledwie mogli znieść tych kilku „ludzi“, którzy teraz jechali z nimi. Goście musieli być niemiłosiernie ciężcy. Bo poruszano się z trudem, niesłuchanie powoli. — Nie tak lekko i gładko jak zazwyczaj.

Mimo to umarli, ogromnie rozbawieni, krzyczeli —

takim głosem, jakby pędzili z szaloną szybkością:
— A to jazda! — Jak parostatkiem!

— Hura! — darło się jakieś monstrum bez górnej szczęki.

Młodzi pocili się ze strachu. Błdzi wiosłowali z rozpaczliwym wysiłkiem, a łódź naraz, jakby ugrzęzła gdzieś na mieliźnie, wcale nie posuwała się naprzód. Panny drżące i białe jak kreda, tuliły się do siebie; słyszało się, jak biły ich serca. Zdawało się im wszystkim, że po raz pierwszy odczuwają chłód i smutek swego życia bez słońca.

Spero zawołał ze skały:

— Wasza łódź toni! Czy nie wiecie o tem?... Ładujcie póki czas, bo zginiecie.

Dopiero teraz zrozumieli, co się z nimi działo. Tu biały lęk zamienił się w czerwoną wściekłość.

— Dosyć tego! — krzyknęli bezwzględnie do swoich gości — wynoście się, albo wrzucimy was do wody!

Pokazała się cała ich niedojrzałość polityczna. Zapomnieli o sojuszu, o dziesięciu milionach wojska, o wszystkim. Bo niestety nie umieli grać dłużej komedji, jak kilka minut. Naraz napadła ich gwałtownie szczerłość, grzech śmiertelny w dyplomacji. Wszak powinni byli grzecznie zwrócić uwagę umarłych na niebezpieczeństwo, popłynąć do brzegu i wysiąść razem z nimi. Zamiast tego zwymyślali swych przyszłych sojuszników, wyrzucili ich na ląd — a sami pojechali dalej.

— Co tam! — mówili wesoło i lekkomyślnie — niech się obrażą! I bez nich damy sobie radę.

Zaczęli śpiewać. Swoją pieśń ulubioną, coś w rodzaju własnej kompozycji, której tekst i muzyka dziwnie się jakoś zmieniały.

Słuchał ich Spero (który właściwie ocalił im życie) i jakiś czas za nimi patrzył. I dopiero potem, kiedy już

znikli, przypomniał sobie, że ma towarzysza. Bo niedawno niego leżał Piotr na kamieniach. Niedawno temu zapoznali i zaprzyjaźnili się z sobą. Rzecz o tyle naturalna i zrozumiała, że obaj cierpieli na tę samą chorobę, t. j. na głód miłosny. Ale Spero był młodszy i nie tak cierpliwy, jak Piotr; jego miłość rwała się jak pies na łańcuchu i wyła.

Piotr już dawno się uspokoił. Tem łatwiej, że tęsknota była przecież jego stanem normalnym. Los dotąd nigdy go nie psuł, więc odzwyczaił się niejako od myśli, że można rzeczywiście to mieć, co się kocha. Czy kiedykolwiek w swoim życiu pocałował Genowefę? Od dłuższego czasu nie wiedział nawet, co się z nią dzieje. A mimo to nie przypominał dnia, który nie byłby jej dniem, pełnym myśli jasnych lub ciemnych o niej i o sobie. Dlatego właściwie nic nie tracił przez swój pobyt przymusowy w grocie.

Lecz Spero mu przeszkadzał; nie dawał mu spokojnie leżeć i marzyć.

— Pan jest tu już kilka miesięcy — stwierdził — a ja zaledwie dwadzieścia kilka godzin.

— Być może.

— Na pewne. Mimo to znam grootę znacznie lepiej od Pana. Bo Pan jest anormalny, Pan jest dziwolągiem. Czy rzeczywiście jest tam na górze jakaś istota, której pragnie boleśnie Pańskie serce? Trudno w to jakoś uwierzyć, gdy się widzi Pana oczy zaspane i ciągle Jego zadowolenie.

— Zadowolenie — powtórzył Piotr, wyraźnie dotknięty.

— Przecież musi być gdzieś drugi otwór. Słyszysz Pan! Oprócz tego otworu, dobrze strzeżonego, który prowadzi na polanę, musi być jeszcze drugi. A ja na miejscu Pańskim już dawno byłbym go znalazł.

— To nie jest tak łatwo, jak się zdaje.

— Nie rozumiem, jak Pan może leżeć cały dzień beczynnienie i dłubać w nosie. Dziś rano słyszałem nawet, jak Pan chrapał. Nie wstydzi się Pan? Niech Pan natychmiast wstanie i pomoże mi szukać! — W tej chwili coś spostrzegłem. — Widzi Pan, tam wysoko, o, ta czarna plama. — — Pan chyba większy ode mnie, co?

— Nie wiem — mruknął Piotr, ale wkońcu leniwie się podniósł.

Był za otyły, a szyja jego była cokolwiek za krótka; patrzenie do góry nie sprawiało mu zbyt przyjemności.

— Niech Pan uważa — komenderował Spero — ja się schylę — tak, a Pan stanie mi na plecach. Rozumie Pan? — Tu są zapalki. Musi Pan dokładnie zbadać to ciemne miejsce na ścianie. — Bo to może dziura.

Piotr westchnął: O, jego towarzysz był istną karą boską. Ani chwili nie dawał mu spokoju. Piotr gotów był znosić wszystko; cierpienia miłsne, choćby najokrutniejsze — owszem, godził się na to męczeństwo, nawet, gdyby miało trwać wieki. Ale pocóż drapać się przytem po skale albo stanąć komuś na plecach? Piotr wolał o całe niebo cierpieć w pozie siedzącej albo leżącej.

Nie, przekonał się po chwili, ciemna plama była istotnie tylko plamą. Chwała Bogu, rzekł sobie Piotr w głębi duszy (bojąc się niewygód gorszych w razie ucieczki). A kiedy w następnej chwili zainteresował się Spero gorąco jakąś inną częścią ściany, skorzystał Piotr skwapliwie z tej sposobności, żeby szybko, niepostrzeżenie czmychnąć. Tak dalece przedsiębiorczość Spera dała mu się we znaki. Dalej szukał, sam, ale nie „drugiego otworu“ tylko zacisznego miejsca, gdzie mógłby cierpieć tak spokojnie i biernie, jak niegdyś u matki, na fotelu, w kącie.

Ze wzruszeniem ją przypominać te czasy. Wtedy nikt mu nie przeszkadzał, kiedy chciał spokojnie siedzieć i myśleć o Genowefie.

Tylko czasem, stosunkowo rzadko, robiła mu matka niezbyt miłe wymówki. Albo Kora zbliżała się do jego kąta i mówiła swym głosem afektowanym:

— Pan będzie łaskaw... Wyjmę tylko kapelusz z szafy... Niestety muszę wyjść... Obowiązki...

Ale naraz stało się coś nieprawdopodobnego. W tej samej sekundzie, w której Piotr pomyślał o Korze i o jej głosie, rzeczywiście ją ujrzał i usłyszał. Cofnął się ze zdumienia. Czy to nie ona?

— Tak, to ja — odezwała się Kora, prawie równocześnie i uśmiechnęła się przytem pokornie, jakby przepraszając, że go przestraszyła. Strasznie podupadła, pomyślał Piotr, kiedy się jej przypatrzył. Jej twarz, jej biust, jej sławny kapelusz botaniczny — nie, to były teraz raczej symbole, niż fakty. Istniała może, ale tylko do pewnego stopnia; nad wyraz dyskretnie. Zresztą oświadczyła:

— Bo trzeba Panu wiedzieć, że Sprawiedliwy mię otruł. Z bojaźni, żebym nie powiedziała coś nietaktownego, gdybym wystąpiła jako świadek w procesie. A potem rozeszła się wieść, że umarłam na apopleksję.

— Jakto? — zapytał Piotr — przecież Pani jednak żyje.

— O nie — rzekła Kora łagodnie.

Poczem Piotr już na dobre się spłoszył.

— A pan co porabia? — dowiadywała się dalej, pogodnie i życzliwie. — Czy dobrze Pan się miewa, drogi Panie Piotrze? O, jakże cieszyłaby się Marta, gdyby wiedziała, że Pan zdrow i dobrze wygląda! Wybrałam się

dziś z moimi znajomymi z cmentarza na wspólne zwiedzanie grotty. Nie śniło mi się, że zastanę tu Pana. Ale...

Zawołała głośniejszym głosem:

— ...ale dlaczego Pan właściwie ucieka? Chyba nie boi się Pan mnie?... Przecież nie zrobię Panu nic złego. Panie Piotrze! Czy nie przyzwyczailiście się jeszcze do naszych wizyt?

Ale Piotr jej nie słuchał. Dotąd jeszcze nie przyzwyczał się do umarłych. Więc uciekł. Wielka szkoda. Bo Kora byłaby mu opowiedziała dużo ciekawych rzeczy. Może nawet coś o pięknej Genowefie.

XVIII.

Prawdopodobnie Mr. Blyte często i dużo myślał o czarnowłosej prezydentce małego młynka — choćby może tylko z politycznego stanowiska — bo w jakiś czas po zasądzeniu szeregowca Pioruna rzekł ni stąd ni z owąd do swego sekretarza:

— Ta Genowefa jest właściwie bardzo interesująca. Prawda Panie?

Sekretarz uśmiechnął się złośliwie. A po chwili odpowiedział:

— Niebrzydka. Gdyby nie ten jej zawód, stanowczo za poważny, za męski. — To ją bardzo, zdaniem mojem, szpeci.

— Niech mi Pan wierzy — zapewniał ambasador — że służba sądowa jest właściwie tylko jej ubocznem zajęciem.

Sekretarz jeszcze się uśmiechał.

— Bez kwestji — zauważył kpiąco — właściwe jej powołanie jest, rozumie się, to samo, co wszystkich innych ładnych kobiet.

— Genowefa nie jest wcale taka, jak wszystkie — twierdził Mr. Blyte — jej twarz jest dowodem niezwykłego życia psychicznego.

Zaczął szczegółowo opisywać jej twarz. Sekretarz zaś myślał dalej: naturalnie, Blyte się w niej zakochał.

I począł zastanawiać się, czy z tego nie wynikną jakieś niepożądane zawikłania, konflikty dyplomatyczne.

Lecz ambasador oznajmił mu:

— Ona wróży z kart, z ręki.

— Genowefa?

— Tak. Przepowiada ludziom przyszłość. Jak Pan widzi, mam nadzwyczajne źródła. Nie chwalać się. Mam rozmaitych ludzi, zaufanych, którzy mi przynoszą ważne informacje.

— Ważne? — szepnął sekretarz sceptycznie.

Zmarszczył czoło. Bardzo nie lubił półurzędowych źródeł i informacji swego przełożonego; był pod tym względem prawie zazdrosny.

— To jest właściwie tylko drobna sprawa prywatna — rzekł głośno — przecież to niema chyba żadnego znaczenia dla nas, Ekscelencjo.

— Owszem — sprzeciwił się dyplomata — w psychologii, która należy poniekąd do naszego fachu, nawet drobnostki mają znaczenie. Czy może Pan sobie wyobrazić mężczyznę, prezydenta sądu, któryby w chwilach wolnych zajmował się wróżbiarstwem? Prawda, że to wprost niemożliwe. A ta dziewczyna — — Kiedy widziałem ją po raz pierwszy, wtedy w „małym młynku“, w roli sędziego, zdawało mi się to samo, co Panu. — Powiedziałem sobie: nie, to za trzeźwe, za mądre, to nie żadna kobieta. — I cóż się pokazuje? Genowefa jest [zdemaskowana. Widać jak na dłoni, że tylko udaje, tylko „symuluje“ swój imponujący rozsądek. Że tylko bawi się w sędziego, jak kilkoletnia dziewczynka.

— No dobrze, ale cóż to wszystko ma wspólnego z polityką i z naszym zadaniem? Czy może Genowefa wróży swemu protektorowi i innym ministrom?

— Zdaje mi się, że nie — odrzekł Mr. Blyte całkiem poważnie — o ile mi wiadomo, tylko osoby tej samej płci, co ona sama, darzą ją zaufaniem swoim i zachwycają się jej sztuką. — Podobno czyni to wprost nadzwyczajnie i tylko z amatorstwa, niejako z potrzeby wewnętrznej... Tak, z potrzeby — bo jako kobieta musi mieć jakieś

rozkoszne szaleństwo w zamian za te kilka godzin trzeźwego rozsądku, jakie poświęca codziennie swemu urzędowi. Rozumie Pan? Inna zdradzałaby swego męża z drugim mężczyzną. Ona zdradza tylko swój urząd z kartami. A wczoraj była u niej między innymi — znana artystka Gema.

Sekretarz podniósł wzrok do góry.

— Co? Przyjaciółka Sprawiedliwego?

Teraz, dla odmiany, uśmiechnął się Mr. Blyte.

— Cieszy mię niewymownie — powiedział — że teraz i Pana rzecz zaczyna zajmować. Tak, bo to jednak zjawisko znamienne — metresa prezydenta państwa udaje się do wyroczni.

Chwila historyczna. Symptomat niewątpliwie ważny, choć minęły już dawno pogańskie czasy. Widać, że aktorka Gema instynktowo czuje, w jakim niebezpieczeństwie znajduje się jej ojczyzna.

— Albo mówiąc ściślej: ojciec tej ojczyzny. Hm... Czy Ekscelencja przypuszcza, że sam Sprawiedliwy posłał ją do wróżbiarki?

— Nie, to wykluczone.

— I ja tak myślę. On w takie głupstwa z pewnością nie wierzy.

— Choćby dla tego samego, że sam jest... za głupi.

Osobliwym trafem w tej samej niemal chwili powiedziała coś podobnego Sprawiedliwemu jego zazwyczaj tak anielsko łagodna i delikatna przyjaciółka Gema.

— Głupi jesteś, bezdennie głupi! — cisnęła mu w twarz, w najwyższym rozdrażnieniu — zniszczysz siebie i was wszystkich! Z próżności! Z fałszywego wstydu! Dlaczego nie chcesz mnie usłuchać, uczynić to, o co proszę? Bo zależy ci więcej na tem, co powiedzą o tobie drudzy, niż na mojej miłości.

Sługi stały za drzwiami i podsłuchiwały, że aż miło. Mimo to nie wiedziały, o co chodzi. Bo zaczęły dopiero wtedy interesować się dialogiem „między panią a panem“, kiedy Gema zaczęła krzyczeć. Ale i to sprawiało im niemałą rozkosz. Bo złotowłosa artystka zachowywała się tak dziwnie, jakby nagle postradała zmysły.

A niedługo potem wyleciał on z pokoju. Jak z procy. Zatoczył się, blady był, bezradnie mrugał oczkami, bo zapomniał u Gemy swoje niezbędne szkielek. Później, już na ulicy, przystanął i jął dopiero zastanawiać się nad tem, co zaszło — :

Co ona powiedziała? Jesteś bezdennie głupi?!... Jakże to?... Co to znaczyło? Mnie — żem głupi? Ależ to niemożliwe. — To jakaś pomyłka.

Nie tyle był obrażony, co raczej nad wyraz zdumiony. Przytem czegoś się bał. — Jakby groziło mu teraz niebezpieczeństwo. Jemu i całemu światu. Bo Gema przestała nagle mówić do niego z tym szacunkiem charakterystycznym, jak zawsze.

Nie mógł się dopóty zorientować, aż gdzieś w środku miasta salutował go policjant, Dopiero wtedy przyszedł do siebie, spojrzał na zegarek — odnalazł niejako swoje miejsce w czasie i w przestrzeni. I posłał kogoś do willi Gemy po zapomniane binokle.

Gema płakała długo, gorąco, ze złością. Kiedy jednak wybiła ósma, powzięła nagle ważne postanowienie. Kazała zawołać dorożkę i pojechała do pałacu Niemego.

Dała służącej swój bilet z zapytaniem, czyby pani Katarzyna nie zechciała przyjąć ją natychmiast w sprawie nie cierpiącej zwłoki.

I pani Katarzyna zaraz ją przyjęła. Żona kanclerza wyglądała tak, że się zaraz wiedziało o jej nieszczęściu. Bo pochodziła z ludu; jej twarzy brakło towarzyskiej ogłady.

Zapłakana, niedbale uczesana, wskazała ręką na jakąś potworną, familijną kanapę i usiłowała uprzejmie się uśmiechnąć.

— Nazwisko pani... naturalnie znam dobrze — zaczęła konwersację — chociaż sama do teatru nie chodzę. Zato mój syn...

Chciała wspomnieć o niesłuchanym talencie dramatycznym swego syna, ale nie mogła... Płacz ścisnął ją za gardło i zamilkła.

— Wiem — rzekła Gema prędko — wiem o wielkiem zmartwieniu Pani. I właśnie dlatego tu jestem.

— Jakto? Co Pani wie o tem? Na miłość boską, czy może przynosi mi Pani jakąś wiadomość? Może pociechę? Czy Pani zna mego syna?

— Tak, znam — — Spera. Znamy się już oddawna.

Brzmiało to trochę dziwnie. I matka zaraz ją zrozumiała. Zerwała się z fotela i znowu usiadła. Delikatnie dotknęła się swymi rękami gładkich rękawiczek aktorki. Jakby ją chciała pogłaskać.

— Zaraz zapalę lampę — rzekła.

Widocznie ciekawa była, jak wyglądała kochanka jej syna. Ale Gema poprosiła.

— Nie, niech Pani tego nie robi. Tak będzie mi łatwiej mówić otwarcie o wszystkim.

Bo rzeczy, o których chciała mówić, nie bardzo zgadzały się z elektrycznym światłem.

Zaczęła:

— Byłam wczoraj u wróżbiarki Genowefy, o której teraz tyle się mówi w całym mieście.

— O! — wykrzyknęła pani Katarzyna — to z pewnością ta sama, do której i ja chciałam pójść.

— Powinna Pani uczynić to koniecznie. Trzeba

zawsze słuchać głosu wewnętrznego. Tam dowie się Pani wiele ważnego o Sperze.

— Myślałam to sobie zaraz. Gdzie on jest? Czy żyje?

— Tak...

— O, Matko Najświętsza!...

— Niech Pani poczeka, niech Pani pozwoli, że skończę. Nie jest źle, ale i nie jest wcale tak dobrze, jak Pani może myśli. Ucieszyła się Pani... Nie lekceważy Pani nowiny, z którą przyszłam. To wiele znaczy, to mi dodaje otuchy. A gdy pomówi Pani z samą Genowefą, to wzmocni się jeszcze jej wiara. O, najdroższa Pani moja, ona to mówi z taką prostotą, jak niewinne dziecko. Mówi to tak, jakby wszystkiego, co wie, dowiedziała się wprost od Pana Boga. Dziś jeszcze, zaraz, Panią do niej zaprowadzę.

Ale żona Kanclerza powiedziała z płaczem:

— Przecież byłabym sama... byłabym już dawno poszła do tej kobiety, ale... nie wolno mi...

— Jakto nie wolno?

— Mój mąż mi nie pozwala.

— Aha. A więc ta sama historia! — zawołała Gema prawie z gniewem. — Czy Pani nie zdaje sobie z tego sprawy, że tu chodzi o jej rodzone dziecko?

— Tak, naturalnie, że sobie zdaję... I ja i mój mąż także. A mimo to — —

— Więc wszystko na nic — rzekła aktorka — wszystko na nic. Jeżeli mąż Pani — nawet on — zapatruje się na te rzeczy tak samo, jak... inni panowie należący do rządu, to niema rady, niema o czym mówić, nie otrzymamy nigdy tej pomocy, która jest koniecznie potrzebna do oswobodzenia Spera.

— Do oswobodzenia go — —?

— Tak, bo on prawdopodobnie sam nie może się

ruszyć z miejsca. Gdzieś go trzymają na uwięzi, pilnują go jak zbrodniarza.

— Gdzie?

— W jakimś ciemnym miejscu — rzekła Genowefa — w najbliższej okolicy miasta. Niech Pani pomyśli, Spero nie znajduje się dalej, jak godzinę stąd, a jednak nie można mu pomóc. Nie można, bo tak mąż Pani jak i inni mężczyźni...

— W ciemnym miejscu — powtórzyła Katarzyna — co to ma być? Co to jest? Piwnica? Więzienie?

— Może, może, cóż ja wiem — ona nie wyraża się tak, jak wszyscy ludzie, jak Pani i ja. — To nie są jej własne słowa, tylko... co ja wiem! — może mówi przez nią duch jakiś... Powiedziała: w miejscu bez słońca.

♦ — I w pobliżu miasta?

— Tak, to zdaje się pewne. Przypuszczam, że gdzieś niedaleko mojej wili. Bo powiedziała: zaledwie kilkanaście kroków od miejsca, w którym uwięziony jest Spero, mieszkają umarli.

— Chryste Panie!

— Czegoż Pani się przestraszyła? Ona ma na myśli cmentarz, do którego ode mnie jest tylko kwadrans. — O, jak Pani zbliła! Nie trzeba się denerwować, tylko spokojnie działać!

— No tak, ale... umarli... cmentarz... mówiła matka drżącym głosem — może to jednak znaczy, że Spero już...

— Powiedziała wyraźnie, że żyje. Czy to Pani nie wystarcza?... Żyje gdzieś koło cmentarza. Więc nie byłoby jeszcze powodu do rozpacz. — Lecz powiedziała dalej: nie łatwo dostać się do niego i za dużo osób go pilnuje. Ażebygo znaleźć i oswobodzić, potrzeba mężczyzn nie kobiet, i to wielu, silnych, dobrze uzbrojonych mężczyzn.

— Gdyby wysłać trochę wojska... — zaczęła nieśmiało żona kanclerza państwa.

— Ależ rozumie się — przerwała aktorka ostro, prawie sarkastycznie — o to właśnie chodzi. O nic innego. Jestto myśl nasuwająca się sama przez się, tak bardzo prosta, że i ja ją miałam, tak, nawet ja, i to zaraz, w pierwszej chwili. — Ale jakże ją wykonać, kiedy ci mężczyźni są zbyt dumni, zbyt ograniczeni, zbyt zarozumiali, żeby nam uwierzyli?! Trochę wojska — cudownie, ślicznie. Wystarać się o to nietrudno — dla nas, dla Pani i dla mnie — takby się przynajmniej zdawało. Dla kobiet, które łączą tak bliskie stosunki z najwyższymi dostojnikami w państwie i..:

Nagle ugryzła się w język. Spostrzegła, że już powiedziała cokolwiek za dużo.

A równocześnie zapytała zdziwiona pani Katarzyna:

— Jakto, więc i Pani ma... kogoś bliskiego w rządzie?

— Nie — to znaczy...

Przez chwilę aktorka walczyła z kaszlem, który ją nagle napadł.

— ...to znaczy... osobistość, którą ja znam, nie ma naturalnie takiej władzy, tak ogromnego wpływu, jak mąż Pani, rozumie się, to jasne — ale bądź co bądź ma wcale ładne stanowisko, ma różnych przyjaciół piastujących wysokie urzędy, i mógłby niemało zrobić, gdyby tylko chciał... Ale...

Znowu podniosła głos z oburzenia:

— on... nie chce! Dlaczego nie? Bo się wstydził! Znadto ceni swój własny rozum, żeby z powodu wróżby jakiejś tam głupiej gąski przedsięwziąć coś poważnego. Pomimo że mu przedstawiłam, jak niestychanie mi na tem zależyl! Czy pojmuje to Pani?! Odmówił mi, chociaż dotąd nigdy w życiu o nic go nie prosiłam, odmówił

mi, bo sam jest głupi, próżny, dziecinny. — Bo jest niewolnikiem swego mózgu, swego wykształcenia szkolnego, swych tak zwanych zasad!

Tak, znowu paliła się z gniewu i z oburzenia. A kiedy zapytała ją pani Katarzyna, kto jest ową wybitną osobistością, którą prosiła daremnie o pomoc dla Spera, odrzekła — teraz już pewna siebie, wcale nie zaambarasowana:

— Mój opiekun. Ale nazwiska jego powiedzieć Pani nie mogę. Bo aż nadto wyraźnie dałam Pani do zrozumienia, że nim teraz... pogardzam. Tak, pogardzam nim, a dzisiaj powiedziałem mu to w twarz. I nie żałuję tego, przeciwnie. — Odkąd znikł Spero, przestałam grać komedję w teatrze i w życiu. A następstwem mojej bezwzględnej szczerości była dzisiejsza katastrofa, zerwanie wszelkich stosunków między mną a... moim opiekunem. Do tej chwili uważałam go za przyjaciela, ale nagle widzę jasno, jak strasznie się łudziłam. On mnie nigdy nie rozumiał. Przez te wiele lat, jak go znam, nie rozumiał mnie ani jednej godziny, ani jednej minuty. I, niech mi Pani wierzy, to co mówię ma ogólne znaczenie. Tu nie chodzi tylko o mnie i o tego jednego mężczyznę — lecz o wszystkie kobiety i o wszystkich mężczyzn. Niema i nigdy nie będzie porozumienia między nami a nimi. Bo my, kobiety, jesteśmy ludźmi, myślimy i czujemy naturalnie, po prostu, tak jak wszystkie stworzenia boskie. A oni —?! To maszyny, chodzące przyrządy do robienia rachunków, interesów, aktów... To...

W tej chwili wszedł ktoś do pokoju.

— Czy to ty, Katarzyno? Tak, po ciemku?

Artystka powstała z kanapy. Gospodyni zapaliła lampę.

W pokoju stał Niemy.

XIX.

Rozmowa z kanclerzem była czemś w rodzaju sztuki. Nie każdy dawał sobie radę z tym problematem, a niemał wszyscy mieli przytem uczucie dziwnej niepewności. Bo mówiąc do niego, prawie nigdy się nie wiedziało, czy Niemy słuchał, czy był tego samego, czy też wręcz przeciwnego zdania.

Nietylko sławna jego nieporadność w wystawianiu się ustnem — powódź przewiska, którem go lud obdarzył — była komunikacyjną przeszkodą, ale i twarz jego zawsze nieruchoma, bez wyrazu, drażniąco nieprzejrzysta. Więc miało się mniej więcej takie uczucie, jak podczas konwersacji z osobą stojącą plecami do okna. Bądź co bądź mieli to uczucie — mężczyźni.

Ale teraz wszedł on do pokoju, w którym znajdowały się dwie kobiety.

A Gema ujrzała go zbliska po raz pierwszy w życiu. Przedtem wiedziała o nim tylko to jedno, że lubili go ludzie. I jeszcze coś, co zdaniem Gemy dowodziło, że ludzkie lubienie było głupie i ślepe; to, że żałował swej biednej żonie takiej niewinnej pociechy, jak wizyta u wróżbiarki. Więc mniemała, że to człowiek poniekąd podobny do Sprawiedliwego i że, jak tamten, ograniczony i tępy, co do uczucia.

Lecz mile była zdziwiona, kiedy przed nią stanął. Nie tyle powierzchownością jego ujęta, co tem, że się go jakoś nie bała. Dusza jej nie posmutniała, nie skurczyła się, lecz przeciwnie nabrała śmiałości.

Gema zaczęła swobodnie mówić. Najspokojniej w świecie powtórzyła kanclerzowi to wszystko, co przedtem oznajmiła jego żonie.

Bardziej zmieszany był... kanclerz. Niezbyt oswojony z ludźmi — pominąwszy tych, z którymi stykał się jako osoba urzędowa — w pierwszej chwili nawet nie wiedział, czego chciała od niego piękna i wyperfumowana dama. Zmiarkował tylko tyle, że chodzi znowu o „zabobony i czary“. O tę samą głupią sprawę, która była powodem, że musiał sprawić przykrość Katarzynie.

I prawie się ucieszył, że ma teraz sposobność — zmienić swoje zdanie. Bo już od kilku dni martwił się tem, że nie uwzględnił prośby Katarzyny. Więc słuchał trochę drwiąco, ale życzliwie, wywodów aktorki. Zdawało się już Gemie, że wygrała sprawę. Tem bardziej, że raz Niemy kiwnął nawet głową — i spojrzał na nią nadzwyczaj uważnie. — W chwili, kiedy Gema mówiła o tem, że Spero znajduje się w „miejscu bez słońca“. —

Kiwnął głową i pomyślał:

...Tak, połknęła go ziemia.

Te same dziwne słowa powtórzył w duszy, które nie tak dawno temu powiedział do ministra Roka. Zresztą zajmował się tylko krótko tą myślą, co najwyżej sekundę. Może nawet o tem nie wiedział, że poniekąd sam był...

Niestety jednak wkrótce potem popełniła Gema pewną nieostrożność. Jęła mówić o odmownej odpowiedzi, jaką dostała od owej wysokiej osobistości, która była „jej opiekunem i członkiem rządu“.

— Kto taki? — zapytał naraz Niemy.

— Bardzo żałuję, ale tego nie mogę powiedzieć.

— Aha. A dlaczego odmówił?

— Bo to jeden z tych strasznie wykształconych mężczyzn, którzy wyżej cenią logikę i konsekwencję niż

ludzkie życie! Dlatego! Odmówił mi z fałszywego wstydu. Bo mu nie wypada wierzyć w to, co jakaś tam kobieta wyczytała w kartach, czy też...

— A mnie to wypada?! — przerwał jej Niemy i nagle zaczerwienił się z pasji — co?! On za mądry, więc przychodzi Pani do mnie, co?!

Katarzyna, która go znała, tak jak nikt inny na świecie, wiedziała już, co się święci i mimowoli zmrużyła oczy, tak jakby za chwilę miał paść grzmiący strzał armatni.

Ale Gema nie czuła niebezpieczeństwa.

— Naturalnie, że do Pana przychodzę — rzekła zdziwiona — bo Pan jest ojcem Spera. Przychodzę, żeby Pan kazał wysłać oddział wojska, celem poszukania i oswobodzenia syna. Do kogóż mam się udać, jeśli nie do Pana?

— Rozumie się — pienił się kanclerz — do kogo, jeżeli nie do mnie. Ludzie inteligentni i wykształceni nie chcą o tem słyszeć... więc do mnie. Pani myśli: kanclerz to chłop. Jemu zaimponuje babska mądrość. — On nie wie nic o logice i o konsekwencji. —

Naraz mówił, jak zwykle w chwilach wielkiego rozdrażnienia.

— Ale Pani się myli — krzyczał — ja już nie jestem chłopem! Pani chyba nie wie, że mam kilkaset książek! Czy nauka to nic?! Niejedno znosiłem, dosyć się nacierpiałem... Czy Pani myśli, że na to poniosłem tyle ofiar, aby... Czy mam się skompromitować przed całą Europą?!... Przecież ludzkość jest celem naszym, rozumie Pani, szczęście całej ludzkości. Co znaczy Spero?! Ja mam myśleć o państwie! Czy Pani wie, że my chcemy zdobyć świat cały?! Ale co Pani wie o tem, Pani komedjantka!...

Zaraz skończy, pomyślała trzęsąc się Katarzyna, bo zaczyna już być ordynarny. —

— Co Pani rozkaże? Wojska?! Tylko tyle?... Żeby znaleźli Pani kochanka?!... Bo naturalnie, Pani i Spero... O nie!... Nic z tego! —

Naraz zwrócił się do swojej żony:

— Teraz idę na Radę.

— Wrócisz przed dziesiątą? — spytała Katarzyna dziwnie rzeczowo.

— Nie — odpowiedział i wyleciał z pokoju. Nawet wzrokiem nie pożegnał się z Gemą.

Ale artystka jakoś nie zdawała się obrażoną. Miała tylko coś w rodzaju zdziwionego uśmiechu na ustach. —

Ona go przejrzała, pomyślała Katarzyna i rzekła głośno:

— Mój mąż był niegrzeczny dla Pani.

— Istotnie.

— Ale to, proszę Pani, tylko dlatego, że jest nie-szczęśliwy z powodu Spera.

— Wiem.

— Proszę się nie gniewać. Znadto krzyczał. Ale to pochodzi stąd, że zazwyczaj nic nie mówi. Zresztą może być Pani pewna, że bolały go własne jego słowa...

— Wierzę.

— Niech Pani nie myśli, że on zawsze taki...

— Proszę Pani, ja się trochę znam na tem, bo jestem aktorką. On nigdy nie jest taki. On tak wymyśla i zaciska pięści i czerwieni się jak dziecko...

— Lecz uparty. Niestety nie zmieni już swego zdania.

— Lecz to zapewne... nie jego zdanie.

— O, jaka Pani mądra! Jak Pani wszystko odgadła! On jest pod wpływem tych djabłów. Postępuje tak, jak

oni go nauczyli... Sprawiedliwy. Nieprzyjaciele bogatych i ich logika przekłeta — Co, Pani już idzie?

— Tak, a Pani pójdzie ze mną.

— Dokąd?

— Do Genowefy.

— Ależ... on mi zakazał.

— Wtedy zakazał, jak się go pani spytała. Lecz teraz nikt nie będzie go pytał. Pani będzie łaskawa natychmiast się ubrać.

Katarzyna spojrzała na nią bezradnie.

— Ale ja mam sama pewne skrupuły... Pani się zdziwi, ale mimo wszystko jestem religijna...

— A cóż to ma z religją?

— Mój mąż mówi, że kto się modli do Boga, ten nie chodzi do wróżbiarki. Jedno nie zgadza się z drugim.

— Dla męża Pani, ale nie dla nas. O, żeby Pani wiedziała, co za różności zgadzają się z sobą w mojem życiu!... Co do spraw uczuciowych, to najmniej znają się na nich mężczyźni. Pan Bóg nie jest 'nigdy tak pedantyczny, jak wyobraża Go sobie mąż Pani.

Ostatecznie dała się Katarzyna namówić. A za pół godziny obie panie znalazły się w przedpokoju mieszkania Genowefy, gdzie ku wielkiemu swemu rozczarowaniu usłyszały od jakiejś starej baby, „że pani niema w domu“.

Przez co zmniejszyła się cokolwiek ich energja; choć to było właściwie głupstwo, nieznaczną zwłoką, od której z pewnością nie zależało powodzenie całego przedsięwzięcia.

— Dokąd poszła pani? — spytała Gema starej.

— Na wizytę.

— Do kogo?

Pokazało się, że do jakiejś wdowy Marty, nieznaney ani Gemie ani Kanclerzowej.

— Uboga kobieta — tłumaczyła sługa — jakaś dawna znajoma pani prezydentowej, która nigdy niema czasu i dlatego już od kilku miesięcy jej nie odwiedzała. Ale dzisiaj rzekła pani do mnie: muszę pójść do niej koniecznie, bo ona teraz całkiem sama; niedawno temu straciła swą przyjaciółkę, Korę, a teraz znikł znowu jej syn... Głównie w sprawie tego syna chciała pani pomówić z wdową, bo pani wie, gdzie on się znajduje.

Kanclerzowa i artystka spojrzały na siebie szybko.

— Wie, gdzie on się znajduje...? — powtórzyła Gema.

— Tak jest, bo nasza pani ma taką moc, taki dar osobliwy, że wie wszystko.

Nie namyślając się długo, Gema i Katarzyna pojechały do Marty.

I w mieszkaniu wdowy odbyła się potem wielka narada, w której wzięły udział tylko cztery kobiety, a która jednak miała bardzo poważne, ponieważ polityczne następstwa. Dostyc typowe i śmieszne zgromadzenie babskie, przy którym gadano, spożywano kawę i ciasta, płakano i strasznie intrygowano. Coś w rodzaju spisku przeciw mężczyznom, zdrowemu rozsądkowi i panującemu właśnie ustrojowi społecznemu.

Kobieta o krótkich czarnych włosach przewodniczyła temu zebraniu. Owa Genowefa, która była tak wszechstronna i tak pełna sprzeczności najrozmaitszych, jak bajka albo jak historia świata.

XX.

Przed nędzną i odrapaną rudera, w której wdowa Marta zamieszkuje jeden pokój, stoi mężczyzna. Zapewne sam nie bogatszy od mieszkańców domu, sądząc po jego ubraniu, no i po dziwnie brzydkim i dużym pakiecie, z jakim żaden dżentelmen (nawet w czasach bardzo demokratycznych) nie chodziłby po świecie. A mimo to wszystko wygląda jak pan, jak ktoś z towarzystwa, jak — lord.

Puka do drzwi, i otwiera mu Marta. Istotnie, pokój wcale nie wytworny, ale na stole jest kilka talerzy i pustych filiżanek. A powietrze tak ciepłe i gęste, jakby przed kilkoma minutami znajdowało się tu jeszcze parę osób, a między nimi co najmniej jedna, silnie wyperfumowana kobieta. ♀

Gość kłania się z miłym uśmiechem.

— Nie wiem, czy Pani mnie poznaje...

— Ależ naturalnie, lord! — zawołała Marta — prosiłam Pana o przesłanie mi tych kilku bagatelek, które mój syn Piotr pozostawił w Pańskiej restauracji...

— O, to bynajmniej nie moja restauracja — zauważył gość skromnie — jestem w niej tylko garsonem. Albo, jeśli Pani woli, starszym kelnerem...

— Nie śniło mi się, że Pan sam będzie się fatygował — mówiła Marta — proszę usiąść i wybaczyć, że tu taki nieporządek. Miałam u siebie właśnie gości, kilka pań znajomych...

Była jakaś podniecona, wydawała się niby o kilka lat młodszą. Tłumaczyło się to może niejako owymi

gośćmi — ale znać było, że to nie jedyny powód. Bo uśmiechała się tak zagadkowo, jakby oprócz tego spotkało ją jeszcze coś nadzwyczajnego.

Lord zaczął rozwijać pakiet.

— Zdaje mi się, że nie brak niczego — mówił — a w każdym razie tylko to znalazłem. To cała spuścizna po panu Piotrze, którego zawsze lubiłem.

— Spuścizna — powtórzyła pani Marta, a wrażliwy lord spojrzął zaraz na nią.

— Proszę mi darować — rzekł szybko — jeżeli wyraziłem się cokolwiek niezręcznie.

Marta milczała jakiś czas i mrugała przytem tajemniczo oczami, a wreszcie odezwała się:

— Niestety nie mogę być tak otwartą z Panem, jakbym chciała. Przyrzekłam moim znajomym, że nie zdradzę sekretu. Gdyby nie to, powiedziałabym Panu z prawdziwą radością nowinę, która zdziwiłaby go niemało. Tak, przede wszystkim Panu, ze względu na przyjacielski stosunek, jaki go łączył z moim synem.

— Nowina o synu Pani? zapytał lord bardzo żywo. Zdawało się Marcie, że aż pobladł z ciekawości.

Dodał drżącym głosem:

— Może Pani sobie wyobrazić, jak mię to ogromnie interesuje.

Teraz pani Marta nie mogła już zapanować nad sobą i powiedziała lordowi wszystko, co Genowefa wyczytała w kartach. A wiadomość radosna zrobiła na gościu tak niesłychane wrażenie, że... o mało nie zemdlął. Rzecz niepojęta. Bo zazwyczaj był aż nadto spokojny, chłodny, flegmatyczny. Musiał być rzeczywiście przyjacielem Piotra, skoro go tak silnie obeszło.

Pani Marta ukończyła już dawno swoje sprawozdanie,

a on jeszcze nie mógł przemówić słowa z nadmiernej emocji.

— Cóż Pan na to? pytała go Marta niecierpliwie.

A gładki światowiec spojrzał na nią, jak złodziej złapany na gorącym uczynku. Nietylko nic nie odpowiedział, ale nawet zrobił taki ruch, jakby chciał drapnąć. Lecz potem się uspokoił, zaczął się namyślać —

— Pan w to zapewne nie wierzy — przysłała mu Marta bezwiednie z pomocą.

— Nie... nie wierzę — odrzekł cicho.

— Naturalnie... Zgóry wiedziałam, że tak będzie. Bo Pan mężczyzna. Powiedziałyśmy sobie zaraz: mężczyźni nam nie uwierzą. Ale zobaczymy, kto silniejszy. Przekonamy was, wszystkimi możliwymi środkami. Niech się Pan ze mnie nie śmieje, bo tamte panie mają więcej wpływu ode mnie. Nawet żona Niemego jest po naszej stronie.

Lord jeszcze myśli. — Tak głęboko i z takim wysiłkiem, że na białym czole jego widać przesuujące się cienie, niby obłoki lecące ponad powierzchnią morza.

— To bardzo ciekawe — odzywa się — bądź co bądź ogromnie ciekawe.

I naraz kłamie żywo i zrećnie:

— Oddawna czułem nieprzeparty pociąg do okultyzmu, chiromancji i t.d. A oprócz tego obchodzi mnie ta sprawa osobiście. Bo i ja szukam od dłuższego czasu istoty niestychanie mi drogiej i bliskiej, która znikła tak, jak syn Pani i wiele innych osób. Teraz rozumie Pani, co się we mnie działo, kiedy usłyszałem cudowną wiadomość. Nadzieja wstąpiła w moje serce. Mówiłem, że nie wierzę? O, to nie było szczere. Bez wątpienia, jestem mężczyzną, ale... któż z nas nie warjuje, jeżeli chodzi o możliwość odzyskani astraconego szczęścia! Kto wie,

czy osoba, o której mówię, nie jest także tam, tam...
jak Pani mówiła?

— W mieście bez słońca. W pobliżu cmentarza. Mój Panie, niech Pan się nie boi, lecz uda się natychmiast do Genowefy. Z całym zaufaniem. Ona ma serce; nie-słychanie dobra. Ludzie oceniają ją fałszywie dlatego, że jest prezydentką „młynka“ i skazuje ludzi na śmierć albo na tortury. Ale niech Pan o tem wcale nie myśli. Kto ma czyste sumienie...

— Na szczęście nie poczuwam się do żadnej winy wobec państwa, czy też wysokiego rządu — zapewniał lord a twarz jego aż promieniała z politycznej czy- stości. —

— A więc! Odwagi! Niech Pan powie jej wszystko, jak brat siostrze. Przyjmie Pana z pewnością. Najlepiej pójść teraz, wieczorem.

— Gdzie ją zastanę? — zapytał lord.

— W jej mieszkaniu. Będzie sama w domu, bo minister Roko jest w tej chwili na posiedzeniu Rady. Dam Panu jej adres. Tam i my, kobiety, zejdziemy się jutro po raz drugi a może ostatni.

— Jutro — powtórzył lord mechanicznie i natychmiast wstał z krzesła.

— Niech Pan się spieszy — radziła mu wdowa — bo teraz jest Genowefa wolna, a kto wie, czy za godzinę nie przyjdzie do niej Roko. .

— A ja muszę być przed dziewiątą w mojej restauracji — przypomniał lord i pożegnał się z wdową, podziękowawszy jej gorąco „za wszystko.“

O Genowefie miał to samo wyobrażenie, co więk- szość innych ludzi nie znających jej osobiście. A więc mniej więcej: „kobieta-potwór“ (jak pisały zagraniczne dzienniki). Jedna z tych licznych histeryczek, które za

rządów Sprawiedliwego sprawowały w państwie funkcje sędziów, a częstokroć i katów. Przytem bez wątpienia jedna z najbardziej zdatnych, t. j. niebezpiecznych, skoro udało się jej zaskarbić sobie względy człowieka tak trudnego i nieprzystępnego, jak Roko. Zresztą lud mówi o niej więcej niż o innych kobietach na wysokich stanowiskach — więc prawdopodobnie pierwszorzędna piękność lub co najmniej stworzenie wyjątkowo uzdolnione pod względem płciowym.

Ale zdziwił się bardzo, kiedy przed nią stanął. Pensjonarka — było pierwsze jego wrażenie. Przyczem nie wykluczał możliwości, że mimo to była szelmą. Lecz prostota formy imponowała mu zawsze najwięcej we wszystkich ludzkich sztukach. Czuł, że ta panienska może być djabło niebezpieczna, i podwoił czujność swoją. Był zręcznym pod względem towarzyskim, a wobec kobiet zachowywał się nieraz wprost obrażająco rozsądnie, wiedział jednak z doświadczenia, jak łatwo może taka właśnie pierwotna niby i skromniutka istota podejść i pokonać najchytrzejszego męczyznę.

Lecz za chwilę się uspokoił. Bo zaledwie przedstawił Genowefie swą prośbę, radosna, naiwna próżność rozjaśniła i upiększyła jej oblicze. Była wprost śmiesznie dumną i zadowoloną z swego pierwszego klienta męskiego, który wyglądał tak wytwornie, a mimo to okazywał jej tyle szacunku i zaufania. Stała się gwałtownie szczerą i gadatliwą. —

— Tak — oświadczyła — czuję sama, że jestem powołana do wielkich rzeczy. Nie jestem zwykłym człowiekiem. Przysięgam Panu, że nie oszukuję, tylko wiem wszystko z własnej duszy, czyli z natchnienia, czyli... z kart. Jest we mnie coś osobliwego, jakaś łaska niepojęta, siła nadprzyrodzona. Gdyby Pan wiedział, jakie to szczęście!

Ukrywałam je dotychczas przed światem, zwłaszcza przed Rokiem, bo nie wiem, czy to się zgadza z mojem urzędowem stanowiskiem. Ale teraz, teraz... co mi na tem zależy! Gdybym nawet miała stracić przez to moją posadę! Co znaczy taka prezydentka „młynka“ w porównaniu z... Dziewicą Orleańską.

Do tego stopnia zaślepiła ją ambicja. Dotąd wróżyła niewinnie, jak dziecko; było to u niej coś w rodzaju funkcji naturalnej. Ale naraz przewróciło się jej w głowie. I teraz była słabą, podatną aż nadto — i łatwą do pokonania — zwłaszcza dla tak sprytnego przeciwnika jak lord.

Przeceniałem ją, pomyślał. A ona zaczęła tymczasem kłaść karty, żeby z nich wyczytać coś o losie jego „bliskiej i drogiej istoty“.

Nie bał się już teraz Genowefy. Czuł, że z nią da sobie z pewnością radę, że uda mu się w każdym razie ostudzić jej gorliwość, skłonić ją w ten lub inny sposób do zaniechania wszelkich kroków niebezpiecznych dla groty. Niepokoiło go tylko pytanie, kto zdradził Genowefie tajemnicę. Bo nie wątpił ani chwilę, że swoje informacje o „mieście bez słońca“ zawdzięczała prezydentka zdradzie jednego z członków podziemnej kolonji, lub też kogoś z owych „zaufanych“, mieszkających na górze, którzy potajemnie dostarczali grocie żywności. Bądź co bądź nie wierzył w „łaskę“ czy też w „siłę nadprzyrodzoną Genowefy.“

Ale prezydentka oświadczyła nagle:

— Pan nie ma nikogo tam na dole?

Lord uśmiechnął się, trochę zmieszany.

— Ależ mam, niestety. Przecież Pani powiedziałem wyraźnie, że od roku szukam daremnie kogoś..., mojej najlepszej, najdroższej przyjaciółki... Pani chyba nie przypuszcza, że chciałem z Niej zażartować... Zanadto

jestem smutny, zmartwiony, żebym był w stanie coś podobnego...

— Wierzę Panu — rzekła Genowefa, i spojrzała na niego bezradnie — wierzę, ale... niech Pan wybaczy... widzę właśnie, że i moja sztuka ma chyba swoje granice, bo jakoś tym razem... Przyjaciółkę — — ?

Jeszcze raz wzrokiem przeszukała dokładnie wszystko, zastanawiała się długo, zmieszała karty i po raz drugi rozłożyła je na stole i...

Znowu nic.

— Bardzo mi przykro — rzekła głosem wprost zawstydzonym, markotnym, ale nie widzę tu ani Pana, ani nikogo Mu bliskiego... Może ja umiem wróżyć tylko kobietom?!...

O, naraz była znowu małą i jakby zgaszoną. I w tej samej chwili lord odzyskał swą zwykłą pewność siebie. Zapytał:

— Więc dotąd nie wróżyła Pani jeszcze żadnemu mężczyźnie?

— Nie.

— Nawet ministrowi Rokowi?

— Nigdy.

— A czy i tej pięknej bajki o „mieście bez słońca“ nie opowiadała Pani dotąd żadnemu mężczyźnie?

Spojrzała na niego, jakby przerażona.

— Bajki... — powtórzyła cicho — bajki... Nie. Do tej chwili mówiłam o tem tylko z kobietami. Dopiero dziś, przed godziną, postanowiłyśmy wymóc na mężczyznach rozpoczęcie wielkiej, energicznej akcji. Ale...

Jęła mówić niemal płacziwie:

— ...naraż nadszedł Pan i straciłam cały humor, całą ochotę do walki. Pan mi odebrał odwagę! Zaczynam sama wątpić, czy moje karty istotnie są nieomyłne. — Może to wszystko rzeczywiście jest tylko bajką?

Lord popatrzył na nią długo, możliwie niebiesko i serdecznie.

— Czcigodna prezydentko, niech Pani myśli o mnie, co się Pani podoba, ale proszę mię uważać w każdym razie za jej przyjaciela. Wiem, że nie zasłużyłem na ten zaszczyt. Bo po raz pierwszy mam dziś niewysłowione szczęście widzieć Panią i z Nią mówić. A jednak proszę mi wierzyć, że życzę Pani jak najlepiej. Czy zechce przyjąć Pani łaskawie ode mnie radę?

Skinęła głową. Jednocześnie uczuła ukłucie niepojętego lęku w sercu.

A lord mówił:

— Proszę nie wykonywać owego postanowienia. Zaklinam Panią. Proszę nie mówić o tem mężczyznom. Proszę ich nie zmuszać do przedsięwzięcia jakichś poszukiwań lub akcji wojskowych. Proszę pójść także do tamtych pań — zaraz, jutro! — i zobowiązać je do milczenia. Bezwarunkowo. Bo to może źle wypaść... dla tych pań. Dlatego niech się mają na baczności, niech zważą, co ryzykują. Nie uda się wyprawa, pokaże się, że ta gro... to miasto, o którem Pani mówi, mimo wszystko nie istnieje.

Genowefa zaczerwieniła się i powtórzyła:

— ...nie istnieje

— ...to prezydent państwa rozgniewa się, całkiem zresztą słusznie, na wszystkich, którzy go namówili do tego nierozważnego i poniekąd ośmieszającego go kroku. Pani sama nie ma naturalnie powodu lękać się czegokolwiek. Panią opiekuje się potężny Roko —

— Co, Roko — potężny? — wyrwało się Genowefie — ależ gdzie tam! Cóż on znaczy! Sprawiedliwy jest wszystkim. To prawda, że Roko wystarał mi się o tę

piękną posadę, ale Sprawiedliwy może mi ją każdej chwili odebrać.

— Więc trzeba jednak... bardzo uważać — zauważył lord cicho, ale stanowczo.

— Kiedy Pan wspomniał o tem, że Sprawiedliwy mógłby się rozgniewać, zrobiło mi się słabo i ciemno przed oczami... O mój Boże, to byłby mój koniec —

Jej drobniotka, twarz dziecka czy laleczki pociemniała z przerażenia. Załamała ręce i powtarzała żałośnie:

— To byłby koniec.

XXI.

Lord był wcale zadowolony z wyniku swej rozmowy z Genowefą. Czuł jednak, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Gadatliwość kobieca, to czynnik ważny, z którym należało się liczyć. Więc mimo wszystko trzeba było pomyśleć o przygotowaniu skutecznej obrony na wypadek ataku nieprzyjacielskiego na grotę.

„Miasto bez słońca“ posiadało tylko jedno wejście, co ułatwiało znacznie defenzywę. Lecz przecież nie zniosłoby ono długo zbyt energicznego, bezwzględного oblężenia. Przedewszystkiem trzeba było się starać, żeby nieprzyjaciel wcale nie odkrył wejścia do groty i trzeba było wszystkimi siłami wstrzymać go, zanim się dostanie na leśną polanę.

Jeżeli znajdą naszą jaskinię, pomyślał lord, nie potrzebują bynajmniej jej zdobyć, żeby uniemożliwić nam dalszą egzystencję; mogą nas skazać poprostu na śmierć przez wygłodzenie.

Ale jakże zapobiec złemu? Jak oprzeć się wrogowi tysiąc razy silniejszemu?

W porę przypomniał sobie lord propozycję niesamowitego sąsiada. Teraz nie pozostawało nic innego, jak przyjąć ją bez zastrzeżeń; natychmiast zgodzić się na sojusz.

Zwrócił więc uwagę jednego z umarłych, wąłesających się od pewnego czasu niemal bezustannie po „ulicach“ jaskini, na atak grożący w danym razie kolonji.

Uczynił to nad wyraz niechętnie, jedynie z musu i nie mówiąc nic o tym kroku towarzyszom swoim. Lecz nie, uczynił tego daremnie. Wkrótce potem otrzymał uroczyste zapewnienie, że Cmentarz nie opuści groty w potrzebie i udzieli jej pomocy silniejszej, niż cała armja nieprzyjacielska.

Było to wielkie szczęście, jak dowiodły zdarzenia późniejsze.

Najmniej winną była Genowefa. Spełniła życzenie lorda i nie tylko nie zdradziła nic przyjacielowi swemu, ministrowi, ale i postarała się o to, żeby i tamte panie, należące do spisku, trzymały — przynajmniej na razie — język za zębami. Więc napozór nic się nie zmieniło. Katarzyna zaczęła znowu płakać, Marta znowu gotować.

Ale Gema warjowała dalej.

Była w takim usposobieniu, że nie przyjęła Sprawiedliwego, który chciał ją odwiedzić.

Prezydent przeżył dwa dni niesłychanie długie i przykre, a kiedy trzeciego dnia udał się do niej, powiedziano mu, że „pani jest chora i leży w łóżku“.

Pomyślał: nie przyjmie mnie już nigdy w życiu. Było to dla niego czemś w rodzaju wyroku śmierci. Od pewnego czasu brakowało mu — ludzi. A ludzie byli koniecznym warunkiem jego bytu. Oni obdarzali go myślami, kiedy do nich mówił. Mając ich, nie potrzebował rozmawiać z własną duszą, a nawet wprost nie potrzebował mieć duszy. Ogromna korzyść w życiu. Wola jego niczem nie była skrępowana, bo obce mu były skrupuły i wątpliwości, nie cierpiał na zbytek zrozumienia dla istot chcących czego innego, jak on sam. Więc był idealnym mężem czynu. Działał tak szybko, z tak bezwzględną i ślepą siłą jak żaden Europejczyk. Zawładnął znaczną częścią kontynentu, a ta część nie była już Europą, afe

zbiorowiskiem ludzi podobnych beznadziejnie do niego; jak on bez duszy, bez wzroku wewnętrznego, bez wyrzutów sumienia.

Bo do tej pory oszczędził mu los największego szczęścia, jakie mogło go spotkać — samotności.

Ale naraz i to przyszło.

Oprócz wielu urzędników, którzy go słuchali, miał niezliczonych sprzymierzeńców, którzy go nigdy nie widzieli, ale nie miał już żadnych ludzi, żadnych przyjaciół. Opuścili go z chwilą, kiedy choroba i niepowodzenia odebrały mu odwagę. Wówczas stał się dla nich aż nadto zrozumiały; nie zdradzili go, lecz go naraz przejrzeł. Bo nie oślepił ich już blask jego bezprzykładnego szczęścia zewnętrznego; nagle się dowiedzieli, kim był w istocie. Talent niesłuchany, który się żywił wyłącznie krwią obcą a nie miał własnej; dlatego zimny, dlatego nie mogący nikogo niczem obdarzyć.

Ostatnią istotą ludzką, która mu pozostała, była Gema. Osoba robiąca takie wrażenie, jakby tylko na to istniała na świecie, żeby drugim było cieplej i lepiej; słowem: kobieta. Jej zawdzięczał coś w rodzaju przytułku, niby własnego domu. Przy niej wypoczywał (jak mu się zda wało). A teraz zawdzięczał jej nowe uczucie, dotąd wcale sobie nieznane: uczucie skruchy.

Bo naraz żałował, że nie przychylił się do jej prośby, która teraz wydawała mu się prawie niewinną. Wszakże — pomyślał — nie prosiła mnie o nic innego jak o to, że bym jej dopomógł odnaleźć i oswobodzić jednego z obywateli państwa, przepadłych bez śladu. Właściwie nie chodzi tu o żadną łaskę, ale o spełnienie naszego obowiązku. Rząd powiniem i tak szukać tych biedaków, a rzecz naturalna, że użyje do tego wojska. Przytem będzie kwestją wprost obojętną, gdzie rozpocznie się poszuki-

wanie, czy w okolicy cmentarza, czy gdzieindziej. To, że ani ja, ani żaden inny wykształcony człowiek nie wierzy w wróżbiarstwo, nie ma nic do rzeczy. Przecież — robi się niejedno ze względów czysto praktycznych, — choćby wbrew swemu własnemu przekonaniu. A celem praktycznym jest w tym przypadku uspokojenie Gemy, pokazanie jej, że czyni się dla niej niejedno, czego nie uczyniłoby się nigdy dla drugich. Zresztą nie trzeba brać tego zanadto dosłownie i serjo; można trochę... markować, jak to robią w teatrze.

Na myśl, że właściwie jeszcze mógł cofnąć swoją odmowę, szczerze się ucieszył. Może po raz ostatni w życiu. Postanowił, poprawić natychmiast przykry błąd, jaki popełnił.

W gruncie rzeczy, powiedział sobie, nie chodzi tu bynajmniej o sprawy realne, tylko o zadokumentowanie t. zw. dobrych chęci, o pogodzenie się z Gemą drogą maleńkich ustępstw. W jakiegokolwiek dodatnie wyniki projektowanej ekspedycji rozumie się nie wierzył, i pewny był, że każdy urzędnik, któremu powierzy się wykonanie zamiaru, przyjmie rozkaz z uśmiechem wielkiego zdziwienia. Lecz tu przypomniał sobie, że istniał człowiek na świecie, który nigdy niczemu się nie dziwił a przytem, jak zwierzę albo automat, wprost nie umiał się śmiać albo uśmiechać. Ogromnie sprawny, doświadczony i dyskretny urzędnik policji, mąż zaufania w całym znaczeniu tego słowa. —

Sprawiedliwy poczęstował go drogiem cygarem (którego on nie przyjął) i rzekł swym najłżejszym i najmiłszym tonem konwersacyjnym:

— Otrzymałem zawiadomienie albo raczej donos anonimowy w sprawie tych licznych osób, których, jak Panu wiadomo, od dłuższego czasu bezowocnie szukamy...

owych zbiegów czy też ofiar zbrodni, któremi od miesięcy zajmuje się tak żywo opinja publiczna. — Autor listu utrzymuje, ogromnie serjo, że ci ludzie znajdują się w jakimś miejscu ciemnem, prawdopodobnie gdzieś w pobliżu cmentarza, że są zamknięci i tak dobrze strzeżeni, iż nie wydostaną się nigdy z owego ukrycia bez naszej pomocy. — Powtarzam: w pobliżu cmentarza...

Zaśmiał się drwiąco i dodał:

— To naturalnie nonsens, bo znamy wszyscy okolicę, o którą chodzi, i wiemy, że tam trudno ukryć i trzymać w zamknięciu kilkaset ludzi. —

— No, to nie jest tak pewne — odezwał się cicho dokładny i przezorny urzędnik — w każdym razie trzebaby przekonać się naocznie. —

Oblicze Sprawiedliwego rozjaśniło się.

— Otóż to. Podzielam Pańskie zdanie. Nie można, mimo wszystko, lekceważyć doniesienia. Trzeba je traktować serjo, żeby nam później nikt nie mógł zarzucić najmniejszej opieszałości. Dlatego proszę Pana o możliwie rychłe i sumienne przeprowadzenie tej rzeczy. Nie będzie Pan potrzebował do tego dużo ludzi, co najwyżej...

— Dwudziestu — powiedział urzędnik.

— Dobrze, niech będzie, dwudziestu. Ma się wiedzieć, należycie uzbrojonych, ale... nie znowu...

— Nie tak, żeby to zaalarmowało publiczność — uzupełnił inteligentny urzędnik — może dać im tylko rewolwery.

— Tak, Pan mię rozumie — rzekł zadowolony szef Państwa — chodzi o to, żeby, broń Boże, nie zajęły się sprawą za gorąco niepowołane i nieodpowiedzialne czynniki. Ludność nie potrzebuje wiedzieć o niczem. Proszę wybrać najzdatniejszych, nietylko silnych, ale przedewszystkiem sprytnych żołnierzy milicji. — I niech im Pan za-

każe surowo rozpowiadać o tem na mieście. Kto słówko piśnie...

— Rozumiem.

— Ale wyruszajcie jak najprędzej —

— Dziś wieczór, jak tylko się ściemni.

— Dobrze. A po wykonaniu rozkazu przyjdzie Pan zaraz do mnie, natychmiast, chociażby w nocy — będę tu czekał — żeby mi złożyć raport, a w danym razie...

Poklepał nieocenionego funkcjonariusza po plecach.

— ...przyjąć ode mnie nagrodę.

Zdania końcowego urzędnik jakby nie dostyszał. Widocznie mało był łapczywy.

Tego człowieka, pomyślał szef Państwa, nie trzeba ani chwalić ani wynagradzać. Bo i tak robi swoje.

Istotnie, mąż zaufania funkcjonował świetnie, ale bez wszelkiego uczucia. I ten brak sentymentu czy nerwów był właśnie jego zaletą pod względem czysto służbowym. Przez to się konserwował, niezależnie od tego, co się działo na świecie. Boć przecież służył już, tak samo pilnie i regularnie, za czasów panowania burżuazji, zawsze słuchał zwierzchnika, ktokolwiek nim był, tak jak słucha młot ręki albo ostroga nogi. A wszystko, co mu kazano, czynił tak nad wyraz rozsądnie, jakby mimo wszystko posiadał przecież swoją własną głowę.

Do przedsięwzięcia, które porучzył mu Sprawiedliwy, przygotował się mądrze i tak po cichu, że miasto rzeczywiście nie dowiedziało się o niczem. Bądź co bądź nie przedwcześnie; ani tego samego wieczoru ani w dniu następnym.

Przed wyprawą nie miał o niej naturalnie i lord żadnego pojęcia. Do północy obsługiwał, jak zwykle, z dystynkcją i pańskim spokojem bałaśliwych gości małej restauracji.

A sumienny urzędnik policji zjawił się już o jedenastej wieczór w gabinecie Sprawiedliwego. Prezydent państwa podskoczył z krzesła, kiedy go zobaczył. Bo urzędnik wyglądał jak upiór.

— Co, to Pan?! Już Pan wrócił — tak wcześnie?! Dlaczego Pan taki blady? Co się Panu stało, do diabła?

Upiór odrzekł, chłodno, obojętnie, automatycznie jak zwykle:

— Padło dwadzieście jeden ludzi.

Sprawiedliwy wlepił w niego wielkie, przerażone oczy:

— Jakto? Gdzie?

— Tam. Dokąd nas Pan wysłał.

— Przy cmentarzu?

— Niedaleko cmentarza, w lesie.

— Wszyscy — dwudziestu ludzi — ?!

— Wszyscy — dwadzieście i jeden.

— A więc Pan sam zdołał się jednak ocalić. Pan sam trzymał się chyba ostrożnie w tyle.

— Nie.

— ~~Jakto~~ Jakto nie? Co znaczy nie? Dlaczego nie powie Pan odrazu wszystkiego? Proszę mówić jak się należy, po porządku.

— Ja... nie mogłem się ocalić.

— Cóż to znaczy? Przecież stoi Pan tutaj?!

— Tak, stoję tutaj, bo Pan kazał. Tamci leżą jeszcze tam, gdzie polegli.

Sprawiedliwy krzyknął rozdrażniony:

— Dlaczego? Dlaczego nie zajęto się natychmiast trupami?

— Bo nie pozostał nikt, ktoby był mógł się tem zająć.

— A Pan?!... Przecież Pana chyba nie zabili?... Od kiedy chodzą umarli po świecie?

— Odkąd Pan, Panie prezydencie, zabija tyle ludzi.

Sprawiedliwy drgnął.

— Panie sekretarzu! — krzyknął. — Gdzie jest sekretarz?! — Natychmiast — do mnie!

Usiłował dosięgnąć drżącą ręką elektrycznego dzwonka. Daremnie. Zachwiał się, oparł się obiema rękami na biurku. —

Wszedł nareszcie sekretarz.

— Ten człowiek — mówił jękając się Sprawiedliwy — ten agent policji... zwarjował. Słyszysz Pan, czy nie?... Trzeba natychmiast wyprowadzić człowieka, który tu stoi... Panie sekretarzu!...

— Słyszę — odrzekł sekretarz — ale ten człowiek nie stoi... lecz leży.

— To obłąkany!

— Nie, on nieżywy!

— Co Pan mówi, co?!

Urzędnik, który, pochylony nad ciałem, trzymał jeszcze rękę na sercu, w którym nie było już życia, spojrzął podejrzliwie na swego najwyższego przełożonego. —

— Przecież widzi Pan sam, że to trup.

Powiedział to tonem, który dotknął do żywego Prezydenta Państwa. —

— Nie wierzy mi Pan?! — zawołał Sprawiedliwy — przed sekundą stał jeszcze tutaj, raportował — przysięgam! — Przewrócił się chyba w tej chwili, kiedy ja dzwoniłem na Pana. —

— To możliwe — zauważył sekretarz dość oschle — skoro Pan sam tak utrzymuje. —

Sprawiedliwy dostał wprost napadu wściekłości. —

— Powiedziałem, że przysięgam! To powinno wystarczyć. Przysięgam, że nawet go palcem nie tknąłem. —

Krzyczał i bił się w piersi. —

— Żeby mnie tak piorun... jeżeli kłamałem!... Dlaczego miałbym go... Jak pan śmie!... Ja Panu pokażę, ja Pana...

Sekretarz poprosił go wzrokiem, żeby natychmiast się uspokoił, bo zbiegła się służba, która właśnie podnosiła z ziemi zwłoki urzędnika. —

Więc zamilkł Sprawiedliwy, wewnątrz mocno jeszcze wzburzony i oburzony. — Bo co do tej jednej śmierci ludzkiej, to istotnie był — wyjątkowo — jak gołąb niewinny.

XXII.

Kiedy w ową noc pamiętną lord wrócił „do domu“, zwłoki poległych żołnierzy milicji już nie znajdowały się na łące. Sam cmentarz je pochował, czyli: wziął do siebie. Lecz oprócz wieści o zwycięstwie groty, otrzymał lord jeszcze jedną, znacznie mniej przyjemną dla siebie nowinę. Spero uciekł — w towarzystwie dwóch innych młodzieńców. Ciekawość straży przed wejściem do jaskini pochłonięta była wyłącznie bitwą, rozgrywającą się na łące, i z tego skorzystały skwapliwie lekkomyślne psy młode. Przedsiębiorcza trójka czmychła niewiedzieć dokąd, zapewne do miasta i niewątpliwie po to, żeby kark skrócić.

— Niechybnie złapią ich i z miejsca powieszą — oświadczył lord podniecony niezmiernie zdemoralizowanej reszcie męskiej młodzieży, a mówił tak, naturalnie, przede wszystkim ze względów pedagogicznych. Bo czuł, że to, co się stało, wpłynie nader ujemnie na dyscyplinę. Teraz jeszcze trudniej było powstrzymać ich od wszelkich głupstw bohaterskich, a lord był zdania, że obecnie powinni byli więcej panować nad sobą, niż przedtem. —

— Jeszcze trochę cierpliwości — radził im po ojcowsku — aż nadejdzie stosowna chwila. Bo sam znacznie był starszy od nich, choć, rozumie się, nie tak skrajnie i nieuleczalnie zachowawczy, jak zgrzybiała śmietanka groty, ktorej zasady tak ogromnie podobały się mieszkańcom cmentarza.

Nie mógł odżalować — mimo szczęśliwego wyniku „bitwy na leśnej polanie“ — że wezwał na pomoc

umarłych sąsiadów. Bo obawiał się, że teraz wzrośnie jeszcze ich przykra natrętność, a może później kolonja nie będzie już w stanie napędzić ich do stu djabłów. Nigdy już nie udam się do nich, przedsięwziął sobie. Z całego serca chcemy zniszczyć jak najprędzej „Nieprzyjaciół bogatych“ — ale nie za tę cenę, nie z pomocą upiorów.

— Wy — rzekł do owych zapaleńców i młodzieniaszków — wy, nasza siła najzaciejsza i nadzieja kwitnąca, wy sami zwróćcie nam światło słoneczne...

— ...Kiedyś — dodał znowu przezornie. Nie czuł, że „stosowna chwila“ właściwie już nadeszła.

Na górze działały się osobliwe rzeczy. W mieście wiało coś w rodzaju moralnego „Scirocca“. Rozdrażnienie ogólne, z przyczyn nikomu nie znanych. Bo przecież nikt nie wiedział, co się zdarzyło za miastem ubiegłej nocy.

A mimo to zaszło na jednej z ulic pryncypalnych, co następuje:

Szło dwóch żołnierzyków, Mucha i Łysy, i rozmawiali z sobą, niezbyt głośno, ale bardzo żywo —

Rzekł Mucha:

— Ty i ja byliśmy przytem i widzieliśmy wszystko. Alboż my nie świadkowie uczciwi i porządni? Sąd powinien nas być zawezwać i jak się należy przesłuchać —

— Ot co jest — zgodził się Łysy — świadkowie jesteście obaj, i nigdzie nie znajdują lepszych.

— Tu siedzieliśmy, a tam siedział Komisarz z narzeczoną swoją. Potem Kora odeszła, a Piorun poszedł do niego. Możemy przysiąc, że Piorun gadał i rozmawiał dobrą godzinę z Komisarzem. Dlaczego sąd o to się nie pytał i nie troszczył?

— Możesz naprawdę przysiąc? — zapytał żołnierza

człowiek z miotłą w rękę, a przy nim stanął drugi z kuferkiem na plecach, a później kobieta z dzieckiem przy piersi. A z tej trójki zrobiła się wkrótce trzydziestka. —

— Tak jest — powtórzył Łysy — widzieliśmy wszystko.

Właściwie nie mówiło już dużo ludzi, ale mówiła ulica.

Spytała ostro i głośno:

— Gdzie sprawiedliwość?

A Łysy odpowiedział:

— Rozdarta.

Poczem ulica czuła się zniewoloną, przedsięwziąć coś symbolicznego. Bo nagle zawrzało w niej oburzenie moralne. Ona, która przez kilka lat ostatnich przypatrywała się spokojnie, jak rozdierano to lub owo, naraz, niespodzianie się wściekła. Gdzie jej zwykła pokora, gdzie jej fatalizm, łagodny i senny?

Wszystko rozdarte.

Przecież niejedno już przeżyła ulica, przyzwyczała się dawno do strumieni krwi, do widoku mąk przerażliwych i do umierania ludzkiego — aż tu naraz przebudziła się i zaczęła bacznie uważać, dlatego, że stracono jednego człowieka (tylko jednego), nie zapytawszy się przedtem Łysego i Muchy o ich zdanie.

Co przedsięwzięła ulica? Spacererek na plac, gdzie komisarz doglądał budowy gmachu rządowego. Bo stał on się naraz ogromnie znany, stał się przedmiotem ogólnego zainteresowania.

— Oto on!

— Widzisz go?

— Tam stoi.

Komisarz oglądał się kilka razy niespokojnie. O co chodziło tym ludziom? Nie miał pojęcia.

Ulica patrzyła na niego. To wszystko. Ale komisarz dygotał z nerwowości. Bo czuł, jak ulica stała i patrzyła. Czerwienił się, jak dziewczyna w ogniu tysiącznych spojrzeń miłosnych. A zainteresowanie się ulicy coraz bardziej rosło i rosło. Aż nagle wykrzyknęła:

— Powiesić go! Powiesić komisarza!

Wtedy zbladł śmiertelnie.

To był szczególnie jaskrawy przypadek. Gdzieindziej nie odczuwało się Scirocca tak silnie — lecz wiał on potroszę wszędzie. Także w pokojach Sprawiedliwego. Nie było to nic określonego, namacalnego. Ale i jemu dokuczały nerwy. A rozstrojenie szefa udzieliło się mniej więcej wszystkim urzędnikom.

Najdziwniejszym objawem było jednak to, że Niemy stał się naraz prawie rozmowny. Gdzieś koło południa, w czasie, kiedy zazwyczaj pracował w urzędzie, wpadł niespodzianie do pokoju żony, i — znalazł ją łzami zalaną.

— Naturalnie — irytował się — znowu siedzisz sama i... jeszcze myślisz... o tem. Ciągłe o tem samem. Nie chcesz zrozumieć, że ja... że ty...

— Czego chcesz ode mnie? — jęczała żona — daj mi święty spokój. Przecież już nic nie mówię, o nic już ciebie nie proszę...

— Ale... nie dasz się przekonać. Nie chcesz uznać, że... ja mam rację. Myślisz, że potwór.

— Ty nie. Boisz się tylko potwora. Boisz się tego... mordercy Spera. Nie chcesz nic czynić bez pozwolenia jego.

Wybuchła znowu płaczem spazmatycznym, który był dla Niemego istną męczarnią. Ale właściwie sam wszystkim był winien — bo po kiego licha ciągle do niej przychodził i przypominał kobiecie jej okrutne nieszczęście?

Lecz on czynił to dlatego, że niezawodnie sam nie-

słuchanie się trapił i dręczył. Zapewne sam nie mógł sobie przekonać, że miał rację.

Pobiegł znowu na górę, do pokoju, w którym urzędował. Ale tam nie chciał ani przyjmować żadnych interesantów ani tknąć żadnego aktu.

Zatelefonował do Sprawiedliwego.

Prezydent siedział właśnie przy biurku, trzymał jakąś suplikę w ręce i pytał z rozdrażnieniem swego sekretarza :

— Cóż to za hałas w przedpokoju? Czego chcą ci wszyscy ludzie, którzy tam czekają?

— Wszyscy chcą tego samego. Także podanie, które Pan Prezydent trzyma w ręce odnosi się do tej sprawy. Sprawiedliwy uderzył pięścią w stół.

— Dlaczego nie udadzą się do kogoś innego? Dlaczego wszyscy do mnie? Czy są to wyłącznie krewni milicjantów? To niech ich pan pošle do dyrekcji bezpieczeństwa publicznego.

— Byli już i tam. Ale nie otrzymali żadnej informacji, gdzie się znajdują ich krewni. Zresztą dałem się sam połączyć z dyrekcją i z ministerstwem. Tam nic nie wiedzą.

— A więc skądże ja mam wiedzieć?!

Sekretarz rzekł cicho, patrząc przełożonemu bardzo ostro w oczy:

— Ci ludzie utrzymują, że Pan Prezydent sam zawezwał do siebie żołnierzy i porучzył im jakieś szczególne, nadzwyczaj trudne zadanie.

— To nieprawda — oświadczył szef mrugając oczami. Aparat zadzwonił, Sprawiedliwy wziął słuchawkę do ręki.

— To nieprawda — powtórzył ciszej — niech ich Pan zaraz napędzi.

Sekretarz stał dalej, chmurny, niezdecydowany.

Sprawiedliwy mówił do telefonu:

— Co?... ty sam mówisz, kanclerzu?... Owszem, bardzo chętnie, ale może zaraz. Tak... przyjdź natychmiast, bo potem muszę wyjechać. Tak. A więc oczekuję.

— Niemy przyjdzie do mnie — rzekł do sekretarza — proszę to oznajmić tym... państwu w przedpokoju. Powiedzieć im pro prostu, że teraz nie mam dla nich czasu.

— Nie mam czasu! — wrzasnął gniewnie, głosem dziwnie wysokim, niemal kobiecym — Co to znaczy?... Niech ich djabli wezmą!... Powiedzieć im, że już sami zrobimy dochodzenia.

Sekretarz wzruszył ramionami i wyszedł. Sprawiedliwy nasłuchiwał. W przedpokoju hałasowali dalej mężczyźni i kobiety.

Na dole zajechał samochód. Sprawiedliwy miał naraz uczucie dużego strachu. Zapalił cygaro, żeby się uspokoić.

— Co za straszny dzień! — rzekł prawie płaczkliwie do Niemego, który wszedł do pokoju.

Kanclerz oświadczył bez wstępu:

— Nie chcę dłuższej odpowiedzialności.

— Odpowiedzialności — — za co?

— Za to co się dzieje. Tu i w całym państwie. Dosyć tego. Jeden z nas musi ustąpić — ja albo Ty.

— Co się stało? — zapytał nieprawdopodobnie słodko Sprawiedliwy.

— To... wiesz sam, lepiej ode mnie. Nie udawaj. Ci, co czekają w twoim pokoju, mówią aż nadto wyraźnie. Znowu gdzieś znikli ludzie.

— Być może... ale o tem dowiedziałeś się dopiero w tej chwili, nieprawdaż? Więc chyba nie dlatego do mnie przychodzisz?

— Nie pleć, nie gadaj! — wybuchnął Niemy — nie usiłuj ogłupić mię znowu twemi pytaniami bez sensu! — Dosyć tego!... Oddaj mi mego syna!...

— Syna twego? Przecież ja go nie...

— Czy ty mi go wzięłeś, czy ktoś inny, w każdym razie tyś winien! Wszystkiemu złemu, co się teraz dzieje, tyś winien! Zbrodniarzem jesteś! Oddaj mi syna — albo... zgmiotę cię, zdepczę. Złożę cię z urzędu! —

— Twego syna niema już od tygodni, dlaczego przychodzisz do mnie dopiero dzisiaj?

— Dosyć gadania, mówię! Dosyć pytań! Teraz odpowiadaj, albo...

Podniósł groźnie swą silną, chłopską pięść do góry.

Sprawiedliwy był biały, jak ściana, ale uśmiechał się dalej, łagodnie, po kobiecemu.

— Pst, nie, nie... — prosił cicho — nie tak. Przecież zaraz wszystko ci wytłumaczę — ale usiądź, słuchaj spokojnie. Zdziwisz się — — tak. Zdziwisz się, jak ci powiem, że w ostatnim czasie nie zajmowałem się niczem innym, jak tylko trudnym problematem odnalezienia ci syna. Wiemy już, gdzie on jest. A ponieważ przypuszczamy, że jest uwięziony, więc spowodowałem wczoraj wyprawę milicji, aby go oswobodzić.

— Czy nie kłamiesz? — zapytał Niemy.

— Przysięgam! Wiesz co to za ludzie, którzy znikli ostatnio? To ci sami, którzy wyruszyli wczoraj na mój rozkaz, żeby odszukać ci Spera. — Wszyscy padli. Ani jeden...

Chciał powiedzieć: Ani jeden nie wrócił. Przypomniał sobie jednak urzędnika policji, który powrócił jedynie dlatego, żeby mu zdać sprawę z wyniku ekspedycji a zaraz potem sam umrzeć. Ale w tej samej chwili uczył: nie, to nie tak było. Ten człowiek już nie żył, kiedy przyszedł tu z meldunkiem. I dopiero teraz ogarnął go na tę myśl strach obłąkany.

— A mój syn? — pytał Niemy — mój syn?

Tu zwiększył się jeszcze hałas w przedpokoju. Tak jakby znajdowały się tam teraz całe tłumy ludzi. Drzwi otworzyły się raptownie i wpadł do pokoju mężczyzna z rewolwerem w ręce.

— Spero! — zawołał kanclerz.

— Tak, ja! — zabrzmiał piękny, patetyczny głos aktorski — jestem, żeby zabić to zwierzę niebezpieczne, i zawezwać ciebie, ojcze, w imieniu wszystkich do objęcia rządów.

Strzelił w Sprawiedliwego.

Ale właściwie był ten wielbiciel zdrowego rozsądku i wróg tamtego świata już przedtem zabity. Przez to, że musiał nagle uwierzyć w coś, co zdaniem jego nie miało sensu.

Że musiał uwierzyć w powrót umarłych.

XXIII.

Po tym występie aktor zeszedł ze sceny.

Właściwie spisał się wcale nieźle, pominawszy tę drobną przesadę, że właściwie nie był upoważniony działać „w imieniu wszystkich“.

Bądź co bądź potem ulica zatwierdziła jego enuncjację. Zrobiła Niemego swoim najwyższym władcą. Przedewszystkiem oczekiwała od niego, że da jej tyle jadła, ile potrzeba. Dalej życzyła sobie — ponieważ sprzykrzyły się jej już dawno ustawiczne emocje i strach przed śmiercią — trochę pogody słonecznej i ciepła; tak, znowu trochę szczęścia małżeńskiego i rodzinnego... zamiast owych „młynków“ i innych, równie miłych urządzeń wolnościowych.

Mimo wszystko jednak i era słodkiego spokoju rozpoczęła się iście piekielnym chaosem. Jeżeli Spero dopuścił się pewnej przesady, to ulica jąła przesadzać sto razy więcej.

Patrz, jak bojaźliwi chowają się znowu (po raz nie wiem który od stworzenia świata) w domach swoich, jak zamykają bramy i okiennice. Bo otwiera się znowu dziura między jednym czasem a drugim; pauza między dwoma poważnymi punktami programu historii powszechnej.

I występuje głupi August. Tym razem ubarwiony na czerwono, a nie jak zwykle na biało. Płata swoje znane psie figle przystosowane do okoliczności. Przypomina sobie tradycyjne wieszanie na latarniach. Pędzi

dziko przez wewnętrzne, najwytworniejsze dzielnice miasta i zgładza sumiennie z tego świata wszystko, co zbyt podobne do dnia wczorajszego. Bo mści się niejako w imieniu dnia nowego. Przytem oddaje się namiętnie temu, co nazywa „śpiewem“. Ryczy i wrzeszczy z wszystkich, sił, bo za czasów Sprawiedliwego musiał milczeć.

A cóż władza —? Jest właśnie w garderobie, przebiera się. — Jeszcze kilka chwil zajmie się własną metamorfozą. Ale niezadługo wyjdzie na deski, i rozpocznie się numer następny.

Dopóki czas, przypatruje się temu zajmującemu intermezzu wdowa Marta. Może spacerować do woli, bo odtąd nie potrzebuje gotować dla nikogo, jak tylko dla swego domu.

Jest znowu tak, jak było: Każdy gotuje dla siebie. Dopiero niedawno straciła swą jedyną przyjaciółkę; mimo to nie widać smutku na jej twarzy, lecz raczej wielką ciekawość. Jej zdumione usta uśmiechają się młodo i świeżo. Nie chwali, ale i nie gani. Przyjmuje zmiany bez oporu, jak zawsze w swem życiu, prawie gościnnie; tak jak drzewa i krzaki witają wietrzyk poranny.

Zresztą nie jest w tej chwili sama. Idzie z nią mężczyzna, niezbyt wykwintnie odziany, a jednak arystokratycznie wytworny, co do wyglądu i ruchów —

— Niech się Pani przyzna — zaczął lord — czy Pani nigdy nie żał tego, co było?

— Nie — odpowiedziała, jakby zdziwiona pytaniem.

— Myślałem to sobie. Stąd pochodzi zdrowie Pani. Jej pozazdrosczenia godna siła żywotna. Zresztą widzi Pani, właśnie przechodzi koło nas gromadka dawnych towarzyszy z grotty. Warują znacznie więcej od innych, choć należą do najlepszych rodzin w kraju. Głowa im się kręci, bo odwykli od świeżego powietrza. Ale nieba-

wem ustatkują się i zmądrzeją; dostaną odpowiednią pracę, będą razem z innymi budowali przyszłość.

— Jakżesz to jest? dopytywała się Marta — przecież to tylko młodzież. Czy w tej grotcie, o której Pan opowiada wcale nie było starych?

• — Owszem, byli... ale zanadto tęsknili za tem, co minęło. Zachowali się mniej więcej tak, jak żona Lota.

— No i cóż? Co się z nimi stało?

— Nie wiem... — rzekł lord zamyślony — nie wiem nic pewnego. Kiedy dzisiaj żegnałem się na zawsze z naszym „Miastem bez słońca“, byłem ostatnim. Nikogo tam już nie było; ni młodych ni starych.

— Więc cóż Pan przypuszcza?

— Myślę, że starzy przenieśli się na cmentarz. Bo zawsze łączyła ich z umarłymi wyraźna sympatja. Byli pod niejednym względem do siebie podobni. A teraz niema już między nimi żadnej różnicy.

Marta spojrzała mu w oczy. — Roześmiała się.

— Ach tak... Dopiero teraz zrozumiałam, że Pan ze mnie żartuje. Całe Pańskie opowiadanie to bajka. Teraz nie wierzę już ani w grotę ani w nic — —

— Ale w to że syn Pani wrócił, to chyba Pani wierzy. Bo znacznie Pani weselsza, niż wówczas, kiedyśmy się poznali.

Marta spoważniała.

— Tak — rzekła — widziałam się już z Piotrem, ale był u mnie zaledwie godzinę. Potem poszedł, Bóg wie dokąd, — Oświadczył, że ma bardzo ważne i pilne interesy.

— Istotnie, bo szuka dalej... swego ideału.

— Genowefy?

— Właśnie. Swego ideału.

Lecz po kilkunastu minutach spotkali Piotra na ulicy.

Odbijał dziwnie od otaczającego go tłumu kipiącego i rozpasanego; wyglądał niezadowolony, roztargniony, zajęty najwidoczniej czemś, co nie miało nic wspólnego z historyczną chwilą.

— No cóż? — zapytał lord.

— Nie znalazłem jej dotąd.

Matka zwróciła się do nowego znajomego :

— Gdyby Pan, drogi lordzie, zechciał być tak dobry i pomóc trochę memu synowi. — On taki nieporadny, a przytem nie ma jakoś szczęścia. —

Więc lord zlitował się nad biednym niezdarą i zaprowadził go do mieszkania Genowefy.

— Tu? — zdziwił się Piotr, bo dotąd nigdy jeszcze tam nie był, gdzie rezydował ideał.

Zresztą pokazało się niestety, że ideału nie było w domu. Więc lord zaprowadził Piotra do pałacu Roka.

— Jakto? — zapytał błądy marzyciel — tutaj? Przecież to ministerstwo oświecenia publicznego.

Bo naturalnie nic nie wiedział o przyjaźni swego ideału z ministrem.

Ale i tu powiedział im portjer :

— Nie, u nas jej niema. Przed godziną udała się do swego „młynka“ i dotąd jeszcze nie wróciła.

— Do swego młynka... — powtórzył Piotr, nic nie pojmując — ona?... Genowefa?

Bo nie śniło mu się, że ideał spełniał w Państwie funkcje sędziego.

Lecz odpowiedź odzwiernego zaniepokoiła niemało lorda. Czarnowłosa wróżka, którą poznał niedawno, prawdziwie mu się spodobała. A obecnie znajdowała się z pewnością w niebezpieczeństwie, o ile wogóle jeszcze żyła. Bo było wprost szaleństwem, przebywać w taki

dzień obłąkany w miejscu najbardziej znienawidzonym przez ludność.

Bądź co bądź poszli i tam. A po drodze miał Piotr ujrzeć znaną sobie osobistość, która przypominała mu Korę, upiora z groty, niegdyś serdeczną przyjaciółkę jego matki. Osobistość ta wisiała — może już od kilku dni — jak zmięty, pusty garnitur męski — na słupie latarni i poruszała się łagodnie na wietrze.

— Dobry znajomy, nieprawdaż? — zauważył lord z pewnem współczuciem.

— Tak — odrzekł Piotr, i mimowoli dotknął się brzegu swego kapelusza, tak jakby się kłaniał inspektorowi budowy gmachu rządowego.

W dali śpiewała ulica.

— Tu — zauważył lord, kiedy stanęli przed domem „młynka“. Zawahał się. Spoglądał nieufnie na dziwne istoty, które opuszczały właśnie gmach sądowy. Miały wszystkie wypieki na twarzy, a niektóre także ręce pokrzwawione.

Lord rzekł do Piotra na wszelki wypadek:

— Zresztą być może, że się omyliłem. Może zamieniłem Pańską damę z jakąś inną Genowefą.

Ale Piotr wszedł już do bramy, a lord za nim. Weszli do sali, która niegdyś była stodołą, a w której teraz odbywały się sądowe rozprawy. Wnętrze było puste, nie-miłosiernie zniszczone. Przez okna powybijane wiało lodowate powietrze. Ławki były zdruzgotane, tak samo fotele sędziowskie stojące na podwyższeniu. Tu i owdzie widać było dziwne małe kałuże, jakby czarnej krwi albo ciemno-czerwonego atramentu. Z łóż przeznaczonych dla osobistości wybitnych (które nie chciały być widziane przez gorszą publiczność) zdarte były dyskretne firanki, i nie było w nich już żadnych tajemnic.

A w jednej z łóż siedział, jak dekoltowana dama w Operze, wyprostowany, nagi, zbezczeszczony trup kobięcy. Prawa ręka damy spoczywała na balustradzie, dość nienaruszona, a na jednym palcu widać było nawet pierścień, który tam pozostawiono przez zapomnienie albo z ironji. I poznał lord natychmiast, że to był pierścień wróżbiarki Genowefy. Spojrzał niespokojnie na Piotra, który jednak widocznie niczego się nie domyślał.

Stał Piotr przed swoim ideałem, nareszcie stał przed swoim ideałem i — nie poznał go. Bo był zwalany, oszepecony. Bo był przez ulicę krwią obryzany.

— Chodźmy — rzekł lord — tu jej niema.

— Tu jej niema — powtórzył Piotr.

I poszli dalej.

A ulica szalała jeszcze przez trzy dni i trzy noce. Potem przyszło na nią, znużenie; popadła w tępość, obojętność.

— Znowu jest spokój, jak za dawnych czasów — meldowano Niememu.

A on tylko kiwnął głową. Bo teraz Niemy znowu był niemową. Jak zazwyczaj. Jak lud — w spokojnych dniach powszednich.

KONIEC.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42**

INSTYTUT WYDAWNICZY BIBLIOTEKA POLSKA

poleca następujące wydawnictwa własne :

- BALZAC, Fizjologia małżeństwa czyli rozmyślenia eklektycznego filozofa nad małżeńską dolą i niedolą (przeł. Boy), 2 tomy (592 str.).
- BALZAC, Małe niedole pożycia małżeńskiego (przeł. Boy) (308 str.).
- BALZAC, Ostatnie wcielenie Vautrina (przeł. Boy) (372 str.).
- BALZAC, Stracone złudzenia (przełożył Boy) (496 str.).
- BERENT W., Próchno, powieść współczesna (409 str.).
- BOY, Słówka (356 str.).
- DIDEROT, Kubuś fatalista i jego par (przeł. Boy) (342 str.).
- KADEN-BANDROWSKI J., Piłsudczycy (186 str.).
- KADEN-BANDROWSKI J., Proch, powieść (398 str.).
- KADEN-BANDROWSKI J., Wiosna 1920, okładkę ilustrował J. Mehoffer (126 str.).
- KASPROWICZ J., Hymny (158 str.) brosz. i opr.
- LIGOCKI E., Historje o Panu Bazyliu (124 str.) z ilustracjami.
- LIGOCKI E., Nemezis, dramat (84 str.)
- LIGOCKI E., Nowa Legenda (168 str.) z mapą.
- LIGOCKI E., W ogrodzie róż, poezje (80 str.).
- MAKUSZYŃSKI K., Awantury arabskie (230 str.).
- MAKUSZYŃSKI K., Perły i Wieprze, wyd. IV (232 str.).
- MEREŻKOWSKI D., Carewicz Aleksy, tragedia w 5 aktach (przeł. W. Rogowicz) (122 str.).
- MILASZEWSKA W., Veni Creator (180 str.).
- MUSSET A., Komedje, 2 tomy (przełożył Boy) (740 str.).
- MUSSET A., Spowiedź dziecięcia wieku (przeł. Boy) (330 str.).
- ORKAN WŁ., Drzewiej, powieść (224 str.).
- ORKAN WŁ., Wesele Prometeusza (188 str.).
- ORKAN WŁ., W roztokach, powieść (2 tomy) (484 str.)
- PREVOST X., Historia Manon Lescaut (przeł. Boy) (256 str.).
- RABSKA Z., Ręka Fatmy (208 str.).
- RITTNER T., Duchy w mieście, powieść (140 str.).
- ROUSSEAU J., Wyznania, część I (424 str.).
- STAFF L., Południca, dramat w 3 aktach (159 str.).
- STAFF L., Sny o potędze (152 str.) brosz. i opr.
- STAFF L., Szumiąca muszla (148 str.) brosz. i w oprawie.
- STAFF L., Tęcza łez i krwi (200 str.) brosz. i w oprawie pl.
- STAFF L., Wybór poezji (320 str.) broszurowane, w oprawie pl. i w oprawie pólskór.
- STENDHAL, Czerwone i czarne (przeł. Boy), 2 tomy (728 str.).
- WEYSENHOFF J., Cudno i ziemia cudeńska, powieść (328 str.).
- WEYSENHOFF J., Soból i panna (338 str.).
- WEYSENHOFF J., Żywot i myśli Z. Podfilipskiego (334 str.).
- WORONIECKI E. M., Waly graniczne, opowieść z kresów ukraińskich (310 str.).
- ŻEROMSKI ST., Ponad śnieg bielszym się stanie, dramat w 3 aktach (141 str.).
- ŻUŁAWSKI J., Na Srebrnym Globie, powieść (332 str.), broszurowane i w oprawie kart.
- ŻUŁAWSKI J., Zwycięzca (308 str.), brosz. i w oprawie kart.

F

2884